w dzień Imienin

B....e D.....j

AMERYKANKA

w POLSCE.

[Tyszyński Al.]

AMERYKANKA W POLSCE.

ROMANS.

Któż jestem, o Walery! jaki jest cel mego bytu? jaki cel mego zesłania?..

CZĘŚĆ PIERWSZA.

St. PETERSBURG.
W Drukarni Karola Kraya.

1837.

ПЕЧАТАТЬ ПОЗВОЛЯЕТСЯ

съ тѣмъ, чтобы по отпечатаніи представлены были въ Ценсурный Комитетъ три Экземпляра. С. Петербургъ, 7. Авг. 1835.

Ценсоръ П. Гаевскій.

Nestorowi Kukolnikowi

na pamiątkę

przypisuje

Autor.

Nestorze Kukolnik! witamy się znowu. Rok mija dwudziesty piąty jako w tych samych murach pierwsze ujrzeliśmy słońce. Tych samych Cerkwi wierzchołki pierwsze nam uderzały oko, pod tychże domów ścianami pierwsze stawialiśmy kroki; te same pieśni, pamiętasz, dzieciństwo nam usypiały; równi wiekiem i myślą, rękę trzymając

w ręku, postępowaliśmy w danym biegu razem; równe nam były dnie życia i wspólne świata wrażenia. Ale czas nastał, a nowe, odmienne pędy, w różne pognały nas strony; i poszliśmy po skorupie ziemi, po śladach dawnych pokoleń, spoglądać na zbiegłe czasy, w nowe wrażenia urastać. Tyś wody Dniepru przepłynął i patrzał na brzegi Desny, kędy ślady pomieszkań dawnych Siewierzan, Suliczan; jam poszedł nad brzegi Niemna i tam mą młodość przepędził. I widziałem gród Gedymina i wieków dalekich zamki,

nogami deptałem zgliszcza i trawy gajów Perkuna, słyszałem szum dawnych jeziór i Wajdelotów śpiewania.

Minęły lata i spotykamy się znowu; też same biją w nas serca ale zmieniły się twarze; na dnie serc jedne uczucia lecz inne ręki obróty. Widzimy się na północy patrząc na los nasz radośnie, bo oto przyszła godzina w której zakwita Północ, i zajmuje miejsce Zachodu jak ten był zajął Południa. Zaiste, nieskąpe nam w podziale dostały się władze, przedmioty. Ty władasz języ-

kiem Rossijan, śpiewnym i uroczystym; ja mową lackich i chrobackich plemion, językiem siły i dumy. Tyś się ujrzał śród wielkich żywiołów i przygotowań; ja pośród literatury ze starą ogromną głową, pokilkakroć powstającą s coraz odmienną twarzą, i znowu głucho niknącą. Możne siły, ciekawe pola i do zajęcia miejsca.

Twój głós, Nestorze, już się o ucho odbił, a cała ci zgodnie Rossija długim odpowiedziała oklaskiem. I *Tasso* i *Skopin Szujskij* i *Ręka Wszechmocnego*

zbawiła Ojczyznę, nowe, nieznane dotąd dały poznać wdzięki. Jakiż los dany jest dla mnie? Drobne karty żywota są nieprzewidziane. Ale gdy się widzimy, pozwól cię powitać czém mogę. Niosę ci dla pamiątki kilka krótkich wspomnień z owego com poznał kraju, kilka drobnych obrazów s krainy jego piękności. Darujesz nieładowi i szczupłościom uwag; jest to, jak widzisz, zbiór tylko kilkunastu oddzielnych listów, niecałych, nieciągłych, niepełnych, nie jedną pisanych ręką, najwięcej ręką kobiety, którą zrządze-

nia dziwne na ląd nasz stary zagnały, a o której rodzinnym stanie, wstęp, herold listów, obwieszcza.

Wstęp.

1802.

Długa, szeroka deska, jedyny wspaniałego okrętu ostatek, leciała pędzona wiatrem po oceanie zachodnim. Jako mur biały leżał na niej człowiek. On leciał dniem i nocą, lecz kędy leciał nie wiedział, oczy jego nie miały wzroku; czoło jego nie miało myśli, nie myślał w co się obróci; nie czuł pragnienia ni głodu, on stracił wszelkie uczucie. Leciał na nagiej desce bardziej przybity wiatrem jak własną oparty siłą; błądził oczyma, mieszał się pamięcią i samą tylko czuł rospacz. Stan taki był okropny, stan nieokreślony; i jeśli w godzinę śmierci, kiedy ostatniém okiem na przebyte spójrzymy chwile, pojąć go nie będziemy mogli: podnieśmy się słabi, wynieśmy do góry ręce i Niebu dzięki zaszlijmy!

Jednak po czasu upływie przestał oczyma błądzić, one mu się zamknęły; błądzącą pamięć stracił do ostatka; i czy tak długo zostawał nie wiedział; ale gdy się przebudził,

ujrzał się leżącym na ziemi, na nieznajomém miejscu, pod nieznajomém niebem! — Byłaż to ziemia czy niebo? — długo nie mógł rospoznać podróżny, i długim snem pokrzepiony, od okropnej przepaści wolny, tak z razu zapytywał siebie. Ale skoro się przecknął zupełnie, podwójnie obrzucił okiem i stan swój prawdziwy uczuł; — »o ziemia to tylko, ziemia!« zawołał.

Potém się podniosł i siedział. Ale kiedy patrząc w około widział tylko drzewa nieznane, a skoro słońce zaszło rozległy się głosy nieznajomych źwierząt, i z za bliskiego drzewa ujrzał wychodzącą miedzianą człowieka postać, który na głowie czarne prosto opadłe włosy, a pod nosem wiszącą miał blaszkę; ach, jestże to tylko ziemia? pomyślił na pół przytomny. Czekał w milczeniu i nieruchomy swojego losu z rąk nowej istoty; z razu zamyślał się bronić, ale zdala za drzewy ujrzał kilka innych podobnych postaci, i s przerażeniem oczekiwał końca.

Przerażenie było daremne.

Byli to bowiem dobrzy lubo dzicy Indijanie, którzy uratowawszy go z wody, przychodzili mu się przypatrzyć ciekawi, i czyli nie odżył obaczyć.

Dwa dni minęło. I cudzoziemiec w go-

ścinnej chałupie odzyskał siły i pamięć. Nie rozumiał on słowa z gospodarzów mowy, starał się jednak poznać gdzieby się znajdował. Dzicy wytłumaczyli mu giestem i mową, że ziemia na której się znajdują długa jest i bez końca; że na niej są osady wielu Europejskich krajów, że nawet oni sami są, jak im mowią, poddani jednego z Europejskich królów. Opowiadali mu wreście, jak go uratowali z deski pędzonej wiatrem s południowej strony.

Okręt ów zatopiony, od którego się nieznajomy odbił, krążył ze zbrojną flotą około Antillów, — »A więc jestem, pomyślił, już na nowym świecie, jestem pomiędzy dzikim północnej Ameryki ludem.«

Przeminęło dni kilka. Nie chciał być nieznajomy długo ciężarnym gościem, pożegnał dobrą chałupę i w dalszą puścił się drogę; miał on z razu na myśli dójść do angielskich osad, a stamtąd na stary ląd wrócić, jednak przywykły do podróżnych trudów i ciekawością wrodzoną budzony, nie mógł się myślą nie cieszyć że świat ogląda nowy, i bliżej go nie poznać, nie zwiedzić. Zamiast więc na południe, puścił się drogą na północ, i odpoczywając po drodze po gościnnych Indijan chałupach, posuwał się dalej, patrzał na

nowe ziemie, i wszedł na nieźmierzone pustyń Kanady przestrzenie.

Stare są i samotne północnej Ameryki lasy; razem z ziemią stworzone, rosną spokojne i kwitną; mnogie w nich drzewa żyją bez imienia, nietknięte nigdy okiem człowieka — tyrana. Widzą tylko niebo i chmury i prawie im przytykają, widzą słońce i miesiąc jak na przemiany świecą; widziały też niegdyś wodę nad swe wzniesioną wierzchołki, i jak cudowna arka nad niemi się przesunęła.

Podróżny przechodził te lasy i oglądał dumne ich drzewa; widział cedry, jawory, topole, białe jesiony i czerwone dęby; przelatywały nad nim orły, sokoły i sępy; drogę mu przebiegały łosie, jelenie, niedźwiedzie, łasice i czarne lisy; i nieraz zadrżał na widok siedzącego na gałęzi *Karkadżu* *), albo na widok ziela *Poligaty* **), bo go to ostrzegało o bliskiej grzechotnika bytności. Słyszał on za to śpiew *białego ptaka* — skowron-

---

*) *Karkadżu* źwierz mięsożerny z rodzaju kotów, z ogromnym ogonem którym się w kilkoro okręca. Z drzewa wpada na łosia i ogonem go dusi.

**) Wszędzie gdzie jest wąż *grzechotnik* rośnie trawa *Poligata Seneka*.

ka i słowika amerykańskich lasów, widział *ptaka muchę* najpiękniejszego s ptaków natury.

Długie mijały miesiące, cudzoziemiec nie kończył podróży; toz uprzejmym i dzikim przewodnikiem, to z samym zapasem żywności i określeniem drogi, puszczał się na pustynie i lasy; to się posuwał na północ, to się na zachód kierował; znakomitym bowiem przedmiotem ciekawości jego był sławny Niagary wodospad.

Cudzoziemiec przez czas podróży postąpił wiele w poznaniu zwyczajów, obyczajów, a nawet języka niektórych indijskich pokoleń; nawykł do ich przykrego na pierwszy rzut oka pozoru; oswoił się z miedzianą ich nagości barwą, z ich kresami po twarzy i po całém ciele, s prostémi ich włosy na głowie i obrączkami pod nosem; jednak to długie życie pośród podobnych istot, bez odpoczynku dla oka i powiernika myśli, nieraz go silnie zmęczyło, i przejmowało żalem i rodzajem trwogi.

W takim raz serca stanie, kiedy już słońca nie było a ukazał się miesiąc i gwiazdy, podróżny zmęczony drogą i czując serce ściśnięte, lubo już widział zdala cel swojej drogi — chałupę, usiadł jednak na trawie, na

brzegu ogromnej rzeki, i patrząc na wielkie jej wody w żałośne wpadł zadumanie.

»Słonce zaszło, pomyslił, zaszło już dla nowego świata a poszło świecić nad starym; teraz promienie jego znane mi widzą twarze, na znane ich patrzą zajęcia. O czemuż, choć na dzień jeden, jednym s tych promieni nie jestem! spójrzałbym tylko na dóm mój rodzinny, przypomniałbym lica mojej świata części, i znowubym z nowémi powrócił tu siły. Piękna tu i wielka natura, ale nie sam jej widok ludzkie nasyca życie; mamy nałogi dzieciństwa, które są dla nas milsze nad tę noc wspaniałą; są to rozmowy, obcowania, są to zabawy s podobnymi sobie, których żaden widok, żadne cuda natury zastąpić nam w życiu nie mogą.«

Gdzież jestem? mówił do siebie, jaki mię wyrok tu zagnał?.. Kiedym maleńkie dziecko biegł po domowej trawce, albo pod gankiem usiadły przesypywał piasek, ach, nie myśliłem wtedy że przyjdą w mém życiu chwile w których tak oddalony od ściany domowej będę!.. że będę gnieść sobą kwiaty których imienia nie znam, i spoglądać na wody o których nie wiem s kąd płyną!«

Cudzoziemiec nie wiedział nad jaką usiadł

był wodą, była to ogromna Ameryki północnej rzeka Ś. Wawrzyńca.

Spójrzał na nią i myślał o bogactwie amerykańskiej natury.

Ameryka ma najstarsze, największe na ziemi lasy *), najdłuższe, najwyższe gór pasma **), największe na świecie rzeki ***); po ziemi jej biegają liczniejsze źwierzęta, w licznych jej górach obfitsze kopalnie, na powietrzu wspanialsze ptaki.

»Lądzie nowego świata! pomyślił, tyś ulubieńcem natury... ale dla czegoż ludzie, te pierwsze z istot na świecie, w tak dzikim pierwiastkowym zostają na tobie stanie? Czyliż powietrze twoje nie wlewało ruchu w ich umysł? Mieszkańce starego świata byli także s początku ubodzy, niemi i nadzy, nie mieli domu ni szaty, nie znali pisma ni mowy.«

Istotnie zakryty jest powód, dla czego gdy jedne ludy zostają w dzieciństwie, inne s takiemiż siłami tak postępują daleko. Egipt, Fenicija, Grecija, stały się matką nauk, przemysłu, wielkości, a ludzie na nowym świecie ani się przybliżali do podobnego końca.

---

*) Lasy Ameryki północnej.

**) Andy, Kordyliery.

***) Rzeka Amazońska i Rio de la Plata.

Że bowiem na amerykańskim lądzie byli już ludzie od niepamiętnych czasów, to zdaje się być pewném. Starożytni pisarze nieraz o dzisiejszej Ameryce czynią wyraźne wzmianki. Fenicijanie zagnani burzą na ocean Atlantycki, znaleźli *wielką wyspę* na zachód Libii. Dawniej jeszcze zaszli tam byli pod wodzą Atlasa, lecz wtenczas mało jeszcze znaleźli mieszkańców.

I Tyryjczyków zagnała tam burza za Salomona czasów, kiedy jechali szukać złota do Ophiry.

Kartagińczykowie podobnie znaleźli wyspę za kolumnami Herkulesa, ale Senat zabronił przenoszenia się do niej, lekając się wyludnienia Rzeczypospolitej *).

Są wprawdzie którzy niedawną epokę zaludnienia Ameryki zakreślać się zdają, dowodząc że ludzie przeszli na nią s północy **), s Kamczatki, Tartarii; dowody ich jednak dostatecznie przekonać nie mogą. — »Dzicy Amerykańscy, mówią zdania tego stronnicy,

---

*) *Platon* wykład *Crantora:* (Autor Księgi *De mirabilibus audit.*) Etjopczyk *Marcel* nawet *Diodor Sycylijski* i *Pauzaniasz*. — Perizonius, Celarius. — Krócej: widzieć *Horniusa* De origine gentis Americanae (1652).

**) Mianowicie Strahlemberg.

muszą pochodzić od Tatarów i innych północnej Azii mieszkańców: bo Algonkinowie wiodą życie błędne, a Kalifornianie chodzą nadzy jak ludy północnej Azii; bo wielbią Złego Ducha jak Tunguzowie, Ostijaki; bo północ Ameryki bardziej zaludniona; bo Ameryka jak Tartarija obfituje w tygrysy, lwy i niedźwiedzie« i t. p. Ameryka nie tylko obfituje w tygrysy, lwy i niedźwiedzie, ale obfituje w wiele innych organicznych istot które są innym krajom i częściom świata właściwe; obfituje *np* w jodły, jak Litwa; jednak nie idzie s tego że ludzie tam przeszli z Litwy. Północ Ameryki dotykająca północnej Azii, nie jest bardziej zaludniona nad inne jej strony; owszem, jedyne państwa które na amerykańskim lądzie znaleziono urządzone i ludne, nie są wcale na jego północy. Nie tylko Algonkinowie i Kalifornianie, ale całej prawie powierzchni amerykańskiej mieszkańce, i wiodą życie błędne i chodzą nadzy; nie dla tego to jednak zapewne że od Tatarów lub od Ostijaków idą, ale iż to własnością jest ludzi w pierwiastkowej dzikości zostających stanie. Wszyscy oceanu zwłaszcza spokojnego wyśpiarze, wszyscy prawie mieszkańce południa i środkowej Afryki, chodzą także błędni i nadzy, a przecie ani od Tatarów ani się od

Ostijaków wywodzą. Zrobić tu nawet wypada uwagę, że ani Tatarowie, ani Tunguzowie, ani żaden lud Azii północnej nie chodzi nago, ale się latem w skórę a zimą w futro (najczęściej reniferów) odziewa. Cała też północ Azii wyznaje Złego Ducha, ale to nie tylko jak Tunguzowie i Ostijaki, lecz nawet jak Hottentoci *(Tukoa)*, lubo ci nie w północnej Azii ale na południu Afryki mieszkają. Z istoty zaś wiary swojej, amerykańscy Indijanie podobni są raczej Zelandczykom dzikim, którzy w równém niedbalstwie o cześć i wyznanie całe swe życie spędzają, i w jedną tylko ogólnie wierzą najwyższą Istność, aniżeli Sibiryjskim plemionom, śród których wiara Szamanów i najpowszechniej wielobóstwo krąży; tak, sami ci Tunguzowie wierzą w boga myślistwa, w boga podróży, w boga opiekuna dzieci *(Mundi)*, w boga opiekuna ich reniferów *(Sokyowa)* i t. p. Że mieszkańce Ameryki mogli miewać z mieszkańcami Azii stosunki to być bardzo może, stąd też niektóre podobieństwa w imionach ludzi i rzeczy *), nawet w

---

*) *Teu* Bóg, *Tepec* góra (podobnie jak w języku dawnym tureckim). Imiona Meksykańskie kończą się nieraz na *an* i *ax* jak u Tatarów i Indijan wschodnich (*Coa-*

architekturze, polityce i religii *). Epicerini, lud Kanadyjski, opowiada, że oddawna przyjeżdżali do nich z zachodu kupcy, bez brody i w jedwabnych szatach.

Że nawet z rozmaitych części świata i krajów przybywały do Ameryki osady **) to pewna, sama zadziwiająca różność języków jest tego najlepszym dowodem; ale że te wszystkie osady są bardzo dawne, to powiadamy, i tego nam mocno dowodzą: 1-ód, Starożytnych pisarzy wzmianki. 2-re, Miejscowe amerykań-

---

tlan, *Hezatlan*, *Tatarax*, *Stalderax* i t. p.) Sławna tatarska roślina *Ginseng* jest i w Kanadzie i zowie się *Garant-ogan* (łydki ludzkie), co właśnie znaczy po tatarsku *ginseng*. Podobnie Hollendrzy s ciaśniny Magiellańskiej przywieźli biała głowę majacego ptaka i zwanego tam *Pengin*, co właśnie w jezyku bretońskim biała głowę znaczy. Wreście te podobieństwa moga być przypadkowe, jedność pobudek albo sam prosty przypadek mogły na nie wpłynać. Te urywkowe trafy małym sa dowodem. Tak, utrzymuja niektórzy że Amerykanie iść musza od Persów albo Sabinów, od Greków albo Latynów, bo rozdzieraja szaty na znak boleści, co właśnie we zwyczaju u owych ludów było.

*) *Meksyk*, *Muiski*, *Peru* i t. p. patrzeć najnowszych podróżopisarzy.

**) *Lafitau* dowodzi że Amerykanie ida od Pelasgów. *Manasek ben Izrael* że od Hebrajczyków.

skie podania. 3-cie, Rozwaliny miast starożytnych *). 4-te, Podobieństwo wielu słów amerykańskich do dawnych fenickiego i hebrajskiego języka **). 5-te, Odróżnienie się skądinąd amerykańskich dialektów od wszystkich znanych starego świata ***). 6-te, Podobieństwo cech głównych, moralnych i fizycznych, wszystkim mieszkańcom amerykańskiej przestrzeni wspólne ****). Oczewiście albowiem

*) Rozwaliny ogromnych miast *Kulhakanu* (Palenke) i *Tulghi*, niezliczone kurhany, czworokątne twierdze, okopy warowne, popiersia, bałwany znajdywane śród ludzi koczujących, nieznających podobnego przemysłu, a także czaszki głów rożniące się od czaszek pokoleń dzisiejszych, wyraźnie dowodzą dawnej Amerykańskiej przeszłości.

**) Podróżopisarze przytaczają amerykańskie słowa podobne do dawnych fenickiego i hebr. jęz., jak to *np.* *caraibes neketali* (człowiek umarły), *hilaali* (umarł), *dżeneka* (naszyjnik) it. p.

***) Potworzone w nich nawet dźwięki pismem staroladowém wyrazić się nie mogą. Missionarz *Basler*, 10 lat bawiąc w narodzie Ameryki północnej *Abenaki*, mimo najtęższej uwagi, nie potrafił oddać głoskami ich wyrazów. Missionarz *Chaumort*, bawiąc między Huronami lat 50, nie mógł podobnie wyrazić ich języka.

****) Charakter, sposób życia, obyczaje i pozór pierwiastkowych Amerykanów, w całej prawie Ameryce

długich potrzeba wieków, aby sąsiedztwo i klimat jednémi obyczajami, jedną powierzchownością ciała i naturą umysłu tak różne i dalekie połączyły plemiona. Mógłby tu kto powiedzieć, iż klimat nie wpływa wcale na zmianę cery i sposobu życia, Hiszpanie bowiem, Anglicy i Francuzi są tacy zawsze w Ameryce jak byli w Europie; uważmy jednak iż ci osadnicy mieszkają po krytych domach, i własne wykształceńsze przynieśli zwyczaje. Aby istoty stworzone wpływ klimatu i słońca uczuły, powinny być na działania jego nago wystawione *), jak to widzimy *np.* na roślinach i ptakach z dalekich przywożonych krajów. Czworonożne też zwierzęta i ludzie, jakkolwiek z rozmaitych przybyłe części świata, pod jednêm żyjąc niebem i jednêm łącząc się prawem

---

jeden. Są melancholijni, najwięcej cenią honor. Małoprzemyślni, nie trudnią się nawet rolnictwem, żyją z myślistwa. Miast nie mają i wiodą koczujące życie. Żyją pokoleniami. Płeć prawie wszystkich miedziana, postać spłaszczona, włosy czarne, twarde, długie, proste.

*) Najlepszym dowodem wpływu klimatu na zmianę ludzi nago nań wystawionych, jest wypadek s czasów pierwszych Ameryki odkryć. Kiedy s polecenia *Velasqui*, Kortez na czele floty wypłynał z wyspy Kuby ku widzianemu przez *Grijalvę* Meksykańskiemu Państwu,

staną się wreście zupełnie sobie podobni (dawna Grecija, Rzym i t. p.). Prawda że im ląd obszerniejszy, tym na to dłuższego wieków potrzeba ciągu. Lecz to właśnie jest zdanie któreśmy założyli.

Utrzymujemy zatém, że ląd nowego świata prawie w jednym czasie zaludniał się ze starym *), i że myśl owa, która nieznajomego na amerykańskiej ziemi leżącego uderzyła, godną jest dalszej uwagi. Nie będzie tu odpowiedzią klimat; klimat dzisiejszej *np.* Galii i Bretanii jest dzisiaj takiż jaki był w tych krajch za czasów dawnej Grecii i Rzymu, gdy jeszcze w barbarzyństwie były.

---

zatrzymał się najprzód na wyspie *Cosumel*, znalazł on tam Hiszpana imieniem Aquilar, przed ośmiu laty śród Indijan pozostałego, a który nic już w sobie Europejskiego nie miał; chodził nago, a jego postać, *kolor ciała*, układ włosów i obyczaje zupełnie indijskie były. Psy przewiezione na ląd nowego świata, tracą władzę szczekania.

*) Niektórzy dowodzą nawet, że dzicy Amerykanie idą od Lamecha syna Matuzalowego, potomka Kainowego, i że nie ulegli potopowi; inni znowu że od przodów Adama (*Whiston, Perein*). Sami jednak Ameiykanie mają własne o potopie podania, o zostaniu po nim dwóch ludzi, których potomkowie (dodają) byli krepóki mi, ich gołąb' nie nauczył mowy.

Właśnie w podobne uwagi zapuszczał się nieznajomy, gdy po za bliskim krzakiem lekki posłyszał szelest; rzucił w tę stronę okiem i ujrzał młodą Indijankę z naczyniem w ręku stojącą. — Byłażby to Indijanka?.. Czy nie Anioł to raczej, myślał cudzoziemiec, zstępuje z niebios aby mi dać odpowiedź? Indijanka! a lice jej tak białe, nieporanione ciało, i włosy tak ozdobnie po bokach czoła leżące?

Dzikich mieszkańców Ameryki zowią Indijanami, bo za pierwszém nowego lądu ujrzeniem miano go za Indije rosciągające się aż na zachód. Owa młoda Indijanka, a raczej Huronka, którą cudzoziemiec ujrzał, istotnie rzadkiego wdzięku zdała się być dziewicą; płeć miała białą, przynajmniej przywykłemu do brudnej miedzi oku mogącą się tak wydać. Dzicy Amerykańscy mają upodobanie w płci brudnej, i smarując swe ciało tłustością niedźwiedzią bardziej jeszcze je szpecą. Niektórzy jednak z mieszkających bliżej Europejskich osad, tracą powoli ten zwyczaj; z liczby tych być musiała i owa młoda Huronka.

Była ona ubrana jak wiele mieszkanek Kanady; miała na sobie skórzaną spodniczkę, nad którą powiewała krótsza lniana sukienka; ręce jej były nagie, tylko na plecach miała zarzucony płaszczyk; na nogach jej rodzaj

pończoch, na stopach mokassinki *); włosy rozdzielone na dwoje i we dwa wielkie pukle zwinięte. Schyliła się ona nad rzeką i zanurzała naczynie, ale ujrzawszy przypadkiem nieznajomą leżącą postać, nie doczerpała wody i w osłupieniu stanęła. Życie odludnych i samotnych rodzin spokojne jest i jednakie; żyją i umierają nie znając nad kilku ludzi; zima, wiosna i lato, zajście i wejście słońca, są to jedyne prawie tego ich życia wypadki. Ujrzenie zatém męża, męża tak dziwnej szaty i tak nowego lica, nie dziw że młodą pustyni córkę zadumieniem i z razu trwogą przejęło.

Długo stała na miejscu niema i nieruchoma, nie śmiejąc ust otworzyć ani kroku ruszyć; nieznajomy podniosł się dopołowy, także nie mówił słowa i na szlachetną postać zdziwioném spoglądał okiem.

Powoli obraz się zmienił; nieznajomy postąpił bliżej, dziewica chciała się cofać, ale stanęła znowu i niezmieszana oczekiwała końca. Serca spokojne i młode, co jeszcze nie znały burzy i nie widziały ciosów, serca takie nie wierzą w przygody, nie widzą nigdzie bojaźni, i nieraz jak młody gołąb' nieostrze-

*) Obuwie, rodzaj trzewików.

żony przez matkę, bespiecznie i s czułością przed oczy jastrzębia lecą. Szczęśliwa lasów mieszkanka, więcej s ciekawém zdumieniem niżeli bojaźliwie na nową postać patrzała, i czekała spokojnie coby nastąpić miało.

— »Czyli jestés tej ziemi, czy innych światów córką, daruj śmiałości mojej, a kto jestés? skąd jesteś? powiedz.«

Tak się odezwał nieznajomy; dziewica zrozumiała i rzekła:

— »Jestem ja córką Takczysa, a moje imie Karista. Chałupa, którą widzisz, jest pomieszkaniem naszém. Nie znamy my innych ludzi nad pokolenie swoje, i nasze lasy, o cudzoziemcze, pierwszy raz widzą twarz białą.«

— »Bądźże mi przewodniczką, dostojna dziewico, bądź proszę przewodniczką dalekiej ziemi synowi; śród wielu ziomków waszych miałem już schronienie, i teraz błagam o wasze.«

— »Ojciec mój, Takczys, odpowie dziewica, jest pokolenia wodzem. Tyś Europejczyk zapewne, my znamy białych s powieści. Ojciec i brat mój i cała rodzina moja, cały wasz ród nienawidzą. Chodź jednak cudzoziemcze, ja przewodniczką ci będę. Nie ma brata mego Atzlana, a dobry mój ojciec sam nas naucza w powieściach, jak gościć przychodniów należy.«

Cudzoziemiec wziął rękę dziewicy, długo

w jej oczy patrzył, a potém s całą mocą przycisnął ją do siebie. Zadrżała młoda dziewczyna, wzruszenie odjęło jej mowę, i tylko, trzymając w ręku dłoń nieznajomego, wiodła go do ojcoskiej chałupy.

Na widok Europejczyka, stary Takczys powstał poważnie i szukał nieznacznie broni, ale skoro zrozumiał iż ten nie jako wróg skryty, lecz daleki przybył wędrownik; uśmiechał się wesoły, gościnnie ofiarował na spoczynek chałupę, i prosił aby w niej jak we własnej przebywał, dopóki zapragnie.

Cudzoziemiec usłuchał ochotnie. Upłynął dzień jeden i drugi, upłynął tydzień, upłynął nawet miesiąc, a okoliczne gościnnej chałupy ścieszki śladów nieznajomego jeszcze na sobie nie miały.

Swiatłe Europy damy dobrze te tajnie znają, iż jako każda piękność, tak równie i piękność ciała jest nieopisaną, zależną; owa która tu ćmiła swej urody blaskiem, tam wydaje się więdłą i ciemnego lica, ta znów do której tu żaden nie przemówił słowa, gdzieindziej jakby nie ta jaśnieje, ujmuje. Stąd też w podobnych celach widzimy dobierane towarzyszki domu, w podobnych celach usuwane inne. Młoda Huronka Karista chciałaby się jak słońce w oczach cudzoziemca wyda-

wać, ale nie miała potrzeby przybierać albo usuwać; ona była istotnie kanadyjskiém słońcem. Jej wdzięki ciała, jej przymioty duszy, znane były po wszystkich pustyń pokoleniach; słyszały Algonkiny, słyszały o niej Iroki; a cudzoziemiec szczęśliwy, który z nią codzień obcował, widział ją piękniejszą od słońca, dobrą jak anioł na ziemi. Chciał on się był oddalić, już był pożegnał rodzinę, ale zaledwie noc jedną przebywszy w męczarni, znów do chałupy wrócił. Wracając zastał bolesny, niespodziewany widok; zaledwie się przybliżył, posłyszał płacze w mieszkaniu; stali wszyscy nad łożem ledwie już żyjącej Karisty, rzucającej się w obłąkaniu i po imieniu wołającej jego. Skoro tylko wszedł cudzoziemiec, ojciec ze łzami w oczach rzucił się do niego, i cała go rodzina porwała na ręce, do łoża Karisty wiodła, i jak anioła zbawcę witała. Istotnie w godzin kilka odzyskała przytomność dziewica, a za dni kilka dawną wesołość i zdrowie. Odtąd ich rozłączenie było niepodobne. Europejczyk umyślił wreście prosić o rękę Karisty.

Dobry starzec zapłakał, prosił o dni kilka namysłu, bo czekał i lękał się syna; nie doczekał go jednak i musiał dać zezwolenie.

Cudzoziemiec poślubił Karistę. Obrząd

ślubny mieszkańców Kanady jest nader prosty i obrazowy. Złamano zieloną rószczkę na tyle części ile było osób przytomnych, a każdy na dnia pamiątkę część sobie daną zachował. Cudzoziemiec Chrześcijanin przysięgał wierność swej żonie, i na świadectwo przysięgi przyklęknął i wezwał Boga.

Dzikie Ameryki ludy, równie jak inne dzikie, zbyt mało uprawę słowa posuniętą mając, migami tłumaczą się więcej, a w wypadkach ważniejszych symbolicznémi znaki. Jak niegdyś u dawnych Greków, na znak skończonej wojny, rószczkę ukazywano oliwną, tak bój wiodące amerykańskie ludy, za godło zawartego pokoju obrały fajkę, s której wspólnie palą. Przy ogłoszeniu wojny stawią na ogień kocieł, i rozsyłając swym sprzymierzeńcom konchy, zapraszają do picia krwi nieprzyjacielskiej. Na przeciwne obrazy mają także znaki. Zakochany chcąc poznać czy jest kochany wzajemnie, do *próby* udajesię *światła*: z zapaloną pochodnią staje nad łożem swej lubej, która śpi lub udaje śpiącą, i jeśli obudzona światło jej zagasi, znakiem to zgody serca, i następuje wesele. Tego wesela obrządek, jakeśmy właśnie widzieli, jest symboliczny także; jest on krótki i prosty, stąd też i rozwód łatwy; aby go mieć, dosyć jest ze-

brać rozdane kawałki i wrzucić je łącznie do ognia.

Wszystkie te szczegóły właściwe są mianowicie dzikim Kanady mieszkańcom. Francuz imieniem *Cartier* odkrył Kanadę 1534 roku i zajął ją dla Francuzów. 1763 ustąpiona Anglii. Obszerność jej prawie Europejskiej równa, nie mieści jednak nad 2000 pierwiastkowych mieszkańców. Ci mieszkańce, jak wszyscy dawni Amerykanie, żywią wieczną nienawiść ku Europejczykom. Charakter ich jest pospolicie silny. Są lub namiętni przyjaciele albo namiętne wrogi. W zasadach religii swej słabi, lecz razem nienawidzący obcej; i w żadnej stronie na ziemi nie znaleziono tak zawziętego przy nawracaniu oporu, jak na amerykańskiej północy. Ciekawe o tém lubo nader okropne szczegóły, wydarzone w początkach wieku bieżącego, widzieć można w dziele Wiliama Browna: Historja Missij Chrześcijańskich, *The history of the propagation of Christianity etc. Wiliam Brown. London. T.* 2.

Ci z dzikich Amerykanów, którzy w bliższych zostają z osadnikami związkach, nabierają też nieraz wyższego ich światła, niejakiej wiadomości dziejów, i za powrótem do chałup stają się swych pokoleń wyrocznią, nie

stając się jednak wcale Europejczyków przyjaciółmi.

S pomiędzy wielu, podobnym był Atzlan. Z wrodzoną nienawiścią ku całemu rodowi białych, widoku ich znosić nie mógł, ale przymuszony był wchodzić w handlowe z nimi związki i nieraz między nimi wieść życie. Więcej już dwóch miesięcy nie było go w domu; bawił on to śród białych, to śród przyjaznych pokoleń, i oto otrzymawszy cel swoich życzeń najmilszy, powracał od jednego z wodzów s prośbą o rękę ulubionej siostry.

Zaledwie stanął na progu, wieść go okropna uderza. Ta ulubiona siostra była już żoną białego!.. Jęk tylko wydał straszliwy, upadł z rospaczą na ziemię, tarzał się po niej i krzyczał. Potém zerwał się wściekły, chciał lecieć z dobytym nożem, lecz powstrzymany padł znowu na ziemię, i potok łez mu się polał.

»Ojcze! cożeś uczynił?, zawołał z rospaczą, natożeś wydał na świat i twą wychował córkę, aby ją potém oddać w krwawe białego dłonie?.. natożeś ją wydał piękniejszą nad inne, w tyle przymiotów ozdobną?. O siostro moja! kiedym cię tak kwitnącą, tak pełną nadziei widział, czym przewidywał wtedy tak okropny koniec? Myśliłem sobie: ona będzie pychą Huronów; przyjdzie tu wróg nasz, przyjdzie

Europejczyk, ujrzy ten dóm którego będzie panią, ujrzy rodzinę której będzie matką; i odejdzie zdumiony, i szeroko cnoty nasze rozniesie; a dziś... o Duchu Przeklęty!. .dziś one przejdą w dóm wrogów!....«

»Ach wrogi!.. wołał dalej z szaleństwem, na pół z obłąkaniem, my znamy dzieje męczarni pokoleń naszych... Pamiętamy cię dobrze Krzysztofie Kolumbie, pierwszy tyranie i kacie... pamiętamy cię dalej Fernando Kortez i ciebie Franciszku Pizaro!.. Minęły wieki od owego czasu, ale w nas pamięć nie ginie... następcy wasi was nie odstąpili... niewielu już nas zoztaje po pustyniach i lasach rozsianych, ale męczarnie daremne; katujcie nas, wypleniajcie, nie przywiążecie do siebie... ach!. (dodał wreście s coraz ognistszą twarzą i coraz dzikszém okiem) gdyby ta cała ziemia, Ameryką przez nich zwana, pokryła się od wschodu do zachodu trupem, gdybyśmy wszyscy padli, i jedna tylko drżąca pozostała ręka; i ta ręka szukałaby jeszcze piersi potomków Kolumba!«

Tu zagorzały młodzian utracił prawie przytomność, tarzał się znowu i krzyczał. Ojciec i siostra płakali. Cudzoziemiec patrzał zdumiony.

Atzlan uspokoił się wreście, trzymał wzrok

w jednej mierze, i znowu zawołał:»Raduj się ojcze! już nie zrozumiesz twych wnuków. Ty przyjdziesz i zapytasz: czy znają czyny swych ojców? a one ci mową wrogów:« nie wiemy czego chcesz od nas,« powiedzą. One zapomną na wielkiego Ducha, a bogom białych kłaniać się tylko będą.«

— »Bracie..« rzekł nieznajomy, biorąc czule za rękę Atzlana. Ale się Atzlan wyrwał jak s paszczy źwierzęcia, i pobiegł, pochwycił siostrę i z rąk jej wypuścić nie chciał. I nie chciał wypuścić dopóty, dopókiby jej zgody na prośby które czynił nie zyskał. Widzieliśmy jak jest łatwy Amerykanów rozwód, owoż Atzlan zaklinał ojca, siostrę, a nawet nieznajomego, aby zerwali ten związek.

— »Atzlanie! rzekł cudzoziemiec, ja nie mam gniewu ku tobie, lecz tyś mię jeszcze nie poznał. Europejczyk jestem, to prawda; jestem ja z rodu białych, nie przeczę; ale daleka jest ziemia moja od tych które waszych katów wydały. Gdy po raz pierwszy Kolumb, gdy potém innych tysiące krwią oblewali się waszą, my z oburzeniem srogich słuchaliśmy wieści i na los wasz łzy wylewali.* Atzlanie! daj proszę mi rękę; nie jestem ja synem francuskiej ani angielskiej ziemi, nie jestem wcale Hiszpanii lub Portugalii mieszkańcem. Wy

mojej ziemi nie znacie; lecz gdybyście poznać ją mogli, ujrzelibyście natenczas, że nigdy matką wrogów waszych nie była.«

Słowa te cudzoziemca uspokojły trochę Atzlana; puścił on siostrę, chciał go uścisnąć za rękę; ale znów łzami się zalał, znów siostry wypuścić nie chciał, i znowu o rozwód błagał. Nie mógł się cudzoziemiec od żony odłączyć, ale widział zostając chwilowie, dnie swoje, a nawet jej życie, niepewne. Z rąk zapaleńca dzikiego wszystkiego spodziewać się trzeba. Atzlana dotykało to jedno, że siostra jego opuści rodzinną ziemię, że pójdzie mieszkać śród białych; nieznajomy więc przystał na zamieszkanie w lasach; zbudował osóbną chałupę, założył nowe domóstwo i żył szczęśliwy s towarzyszką swoją, nie zostawiwszy snać na stałym lądzie mocniejszego szczęścia nadziei.

Amerykanka w Polsce.

—

LIST I.

Walery do Henryka.

Turogród. Maj. 182..

Dziś ledwie, kochany Henryku, jedną znalazłem godzinkę, w której ci słów kilka napisać i za twoje dziękować mogę. Swiadkiem mi dnie i noce żem nie miał dotąd wolnej. Całe te dwa miesiące, nowy mój obowiązek zajmował mi dzień i wieczór; dopótym siedział zajęty nad znanym ci moim stolikiem, dopótym się topił w papierach, dopóki mię sen nareście wzroku i pamięci nie zbawiał. Mógłżem więc pisać listy? niepodobieństwo mię wymawia: *nemo tenetur ad impossibilia.* Ale dla czegoż wymowki? czyliż się dobrze nie znamy; trzy lata spędzone razem, spędzone w trzech, prawie nierozdzielnie, czyż tak się prędko zapomną? O prawdziwie, to ludzkie serce zanadto nawet do ubiegłych czasów się

wiąże! ni zmartwień, ni byłych przykrości, samą tylko roskosz pamięta. Kiedyście, drogi Henryku, dziewięć tygodni temu, opuścili mię ze Zbigniewem, i każdy w swoją udali się stronę, zdało mi się że cały świat mię opuścił, że całe mnie szczęscie odbiegło; ulice miasta wydały mi się dzikie, wszystkich znajomych twarze jakby nieznajome; były godziny przechadzki i jam się iść nie odważał, przyszły godziny widowisk a jam i nie myślił o nich; bo cożbym jeden rozumiał, jak jeden dawał oklaski, lub jakbym wady poznawał? Ciężkie mi były dnie pierwsze, dalej zajęcie całe te dnie połknęło, od rana do wieczora siedziałem nad niém bez przerwy; początki zawsze nie lekkie. Pierwszą wolną którą znalazłem chwilę, poświęciłem był pisaniu do was, ale zaledwiem słów kilka do Zbigniewa skréślił, kiedy mię powołały nowe obowiązki. Cieszę się mocno żeś i na nowém miejscu znalazł żądaną wesołość, lękam się jednak aby w dalszym dni ciągu nie znikła z niektórych serc naszych, lubo trzy lata tak w każdym niewyczerpana się zdała. Prosiłem Zbigniewa aby mi co doniośł o swoim pobycie wiejskim, przysłał mi na to odpowiedź; jest to jakby opisowe poema wiosną i wsią natchnięte. Wiem że wstręt czujesz do poe-

tycznych wiosny opisów, ten jednak posyłam tobie, jako znajomej ręki; posyłam w oryginale, nie mając czasu przepisać, s prośbą o odesłanie nazad. Spodziewam się dalej więcej miewać wolnego czasu; ale już druga blisko, więc kończę, i Zbigniewowi jeszcze kilka słów winienem. Przyjaźń i pozdrowienie. *Walery.*

Zbigniew do Walerego.

(*List w poprzedzającym zawarty*).

Piszesz do mnie, Walery, abym doniósł tobie,
Czy wesoło mi teraz i co na wsi robię:
Ach, śród wiosny, powiadasz, i pod słońca okiem,
Jak cudnym człowiek na wsi bawi się widokiem.
I jam niegdyś tak mowił, dziś więc moje palce
Na wiernej owo szczęscie wystawią ci szalce.

Mówili ci zapewne przyjaciela ludzie,
Że ubrawszy się w surdut wyjechałem w budzie,
Wiesz jeszcze, i dla tegom nie rzekł na początku,
Że wyjeżdżałem z miasta do swego majątku;
Miałem do ujechania wiorstek s półtorasta,
Ale mniejsza...

Tym czasem, gdym wyjeżdżał z miasta
Dzień jasny i pogodny mile się uśmiechał;

Gdym wyjeżdżał, powiadam, lecz nie gdym
wyjechał.
Bo oto ledwiem minął ostatnie rogatki,
I zostawił za sobą turogrodzkie tatry,
Jak uderzyły na mnie lube wiejskie wiatry,
Ledwiem zdążył do góry obrócić łopatki.
Coż porząć?trzeba cierpieć, pomyśliłem sobie;

Cierpię milę i drugą, tymczasem i słońce
Już upadło za ziemię, ledwie tylko końce
Widać jasnych promieni, niestety, coż zrobię?
Coraz wietrzniej i zimniej, próżno plecy zżymasz.

— Pawle, wołam, przy pierwszej karczmie się
zatrzymasz!
I stanęliśmy w kwadrans. Wskakuję do chaty,
Gospodyni żydówki witam słodką postać.
— Herbaty dać mi, wołam, — »Czego?« —
Dać herbaty!
— »Nie ma herbaty« — Jak to? a, żebyż
was katy,
Żeby i tego nie mieć, coż tu u was dostać?..,
— »Może ryby, jegomość?«
Otoż przyjacielu,
By cię dłużej nie nudzić opisem podróży,
Ciągle było podobnie, nim wreście u celu
Nie stanąłem mej drogi.
A jako śród burzy

Gdy przypadkowém okiem rzucisz po nad siebie,
A kawałek niebieski obaczysz na niebie;
Tak i jam się ucieszył zlany dżdżu potokiem,
Kiedy cel mojej drogi stanął mi przed okiem.

Wyskakuję przed domem z rozjaśnionćm czołem,
Właśnie padał na ziemię mrok wieczorny, szary,
Spać się chciało, więc padłem, ale... nim zasnąłem,
Długo, niemiłosiernie brzęczały komary.

Sen minął, myślę wstawać skąsany obficie,
— Zapomnij o tém wszystkiem, rozum mi powiadał,
Dzień ci wiejski noc wiejką nagrodzi sowicie,—
Wstałem więc, lecz niestety, cały dzień deszcz padał!
— To był tylko przypadek, zapomnij i o tém,
Mowił rozum, miej tylko cierpliwość owieczki; —
Jeszcze tedy dni kilka przeczekałem potém,
Lecz całe te dni kilka lał się deszcz jak z beczki.

Jakże wesoło wtedy biegły mi godziny!
Cztery ściany pokoju były dla mnie światem;
Krowy, woły, cielątka z bydłem nierogatém
Poić pędzone, widok stawiały jedyny.

Czasem moje sąsiedztwo umysł smutny, chory,
Na kasyno, na teatr, na znajomych mieni;

Chwytam kapelusz, ruszam, i wychodzę z sieni,
Lecz zamiast na kasyno, trafiam do obory!

Ależ oto raz wstaje, patrzę, aż nie fraszki,
Słońce na szafirowém jasno świeci niebie,
Na trawkach duża rosa, a poranne ptaszki,
Śpiewają że dzień nastał po nocy pogrzebie.

Patrząc która godzina na moim kompasku,
By się lepiej ogrzało czekałem troszeczkę,
Potém wziąłem kapelusz i moją laseczkę,
I w minucie już byłem na drodze do lasku.

Wkładam me rękawiczki, idę między płotém,
I myślę jak przechadzkę będę miał przyjemną;
Ale niestety, właśnie kiedy myślę o tém,
Baranki i świniątka kurzą tuż przedemną.

Za świnkami szedł chłopiec, kuzynek murzyna,
Ten chłopiec był pastuszkiem, imie miał Kasperka,
A co szła obok niego, ta brudna dziewczyna,
Była to, o Karpiński! była to pasterka.

Rozminąć się s tém gronem jakoś trzeba było,
Dalej szedłem wesoło najmniej kroków dwieście;
Iść, myślitem, po piasku, nie jest prawda miło,
Lecz do miłego lasku dobrałem się wreście.

Teraz to, myślę, ujrzę pewno widok rzadki,
Wybiegnie na me wejście młoda Nimfa wiosny,
Zaśpiewają słowiki, zaśmieją się kwiatki,
Spójrzę — aż tu koło mnie same głupie sosny!

Sosny tylko? — cóż rzekłem? — Dałyby to lasy
Aby w nich sama tylko sosna się znalazła!
Spójrzę—aż tu koło mnie biegą mrówek massy,
Wstaję — aż oto jedna w bót mi już zalazła.

A innych że owadów i nieznanych miastu,
Ileż to i błyszczących i co mają rogi;
S tego jednego drzewa, przyjacielu drogi,
O którem się był oparł, wyszło ich dwunastu,

Musiałem tedy powstać i opuścić drzewo.
Szedłem dalej po trawce i po czarnym piasku,
I pochodziwszy trochę to w prawo to w lewo,
Obróciłem się nazad i wyszedłem z lasku.

A gdym szedł, i był bliski do domu przybycia,
Postrzegam blisko miedzy bławatków bukiety,
Te więc, myśliłem sobie, zerwę dla użycia
Jednej wiejskiej roskoszy; zrywam, lecz niestety!
Pszczołeczka się z obsłonki kwiatuszka wykradła,
I w sam, nielitościwa, paluszek ujadła.

Nic już o dalszej drodze nie mam rzec nikomu,

Wracałem od bławatka prosto już do domu,
I wróciłem nakoniec s przybytkiem — na palcu.

Ale.... jeszczem zapomniał o żuku zuchwalcu,
Który mi w samo czoło zadał ranę nową,
Właśnie gdym ustępował spotkawszy się s krową.

I jeszcze.. gdym dochodził pod domowę ścianę,
Widziałem jak na trawce co dziedziniec kryje,
Pasły się na dwóch łapkach gąsiątka kochane,
I gęsior, co to długą wyciągnąwszy szyję
Chwyta ciebie za nogę, i syczy okropnie.

Lecz oto już na ganku wstępowałem stopnie,
Syty porankiem wiosny i szczęściem doznaném.

Otoż masz, moj Walery, opisane wiernie,
Wiejskie szczęście wiosenne, któreś tak niezmiernie
Wynosił, i żałował żoś nie jego panem.

LIST II.

Walery do Zbigniewa.

Turogród. May.

Darujesz mi, Zbigniewie, kiedy ci powiem, że z weselem czytałem ten list wktórym mi znudzenie opisujesz swoje; darujesz mi je-

szcze że to opisanie znudzenia twego, więcej we mnie zazdrości niż żalu ciebie wzbudziło. Może to taki los już człowieka, że to czego nie ma wydaje mu się lepszém, ale każde twe słowo wsią i wiosną tchnące, te same żuki, komary, miły dziecińswa naszego przypominają mi obraz. Czekam niecierpliwie nowego twojego listu.

Lubo cię każdy wypadek, rzecz każda, nie s tej co wszystkich uderzają strony, nie wierzę abyś w swém nowém życiu jakiej radości nie znalazł; wszakże sam nieraz mówiłeś, że jak wesele, tak równo smutek lub nuda, ciągłe być nie mogą; że w życiu twojém jedno i drugie nad dni pięć nigdy nie trwają; czekam więc listu Zbigniewie, wszakże już nie raz owe pięć dni minęły. Od Henryka miałem list wczoraj; Henryk teraz jak zawsze, o plecioném szczęściu człowieka zdanie twoje zbija, on zawsze szczęśliwy i wesół; kiedyś ty chodził jeden i nudy przemagał wiejskie, kiedym ja po trzyletnim życia z wami nałogu, ledwie mógł przełknąć biegące nowe godziny, on w nowém swojém mieście najszczęśliwszy śród niego chodzi, i znalazł już przyjaciela w którym podobał nieźmiernie. »Poznałem się z nim, pisze, nazajutrz po przybyciu mojém, w teatrze; choć grubo gada i

oklaski nie nazbyt trafnie daje, ale ubiera się ślicznie, i w towarzystwie, osobliwie męskiém, jedyny.« Imie jemu Władysław. Ale już druga bije, dłużej pisać nie mogę, wszak znasz godziny obowiązku mego. Zdrowia i powodzenia! *Walery.*

LIST III.

Zbigniew do Walerego.

Elin. Czerwiec.

Jak dziwne mamy serca, kochany Walery; tak jednakowo bijące i zewsząd okryte ciałem, prędzej niż samo ciało gną się na wpływy zewnętrzne. Wypadki, biegi czasu, położenia nowe, nie na jedną zmieniają je chwilę. Ja, którym cienia czułości niegdyś znośić nie mógł, ja, którym słysząc wyrazy: mój miły, mój luby, mój drogi, czuł mocną chętkę ciśnienia, na mówiące je usta, kamieniem; a niżlibym sam je wyrzekł, spodziewałbym się pierwej zmysłów odjęcia doznać; dziś na początku listu piszę: kochany Walery, i kreśląc te czułe słowa prawie nie czuję wstrętu. Niegdyś każde uczucie, każde wrażenie nowe, głucho cisnąłem w sobie, jak ziemia umarłe ciała; a

oto dzisiaj od rana tak rzewne uczuwam chwile, tak miękko bije mi serce, iż wszystko com tylko widział, i to com widząc doznawał, pragnę na papier wylać, uczucia swoje podzielić. Samotność to pewnie i spokojność wiejska podobnych godzin jest matką; nie tylko więc sądzę, Walery, że list ten będziesz miał długi, ale że równie nie krótki nieraz odbierać będziesz. Prawdziwie, te rzewne chwile mają i roskosz w sobie; opisując com widział, myślę i o tym który czytać będzie, przewiduję wrażenia, kocham go więcej za to, i o chwilach co zbiegły nam razem roskoszniej wspominam sobie. Ale dosyć już o tém, przebieram miarkę rzewności; idźmy do drugich.

Pierwszy mój list, Walery, jeżeli dobrą mam pamięć, zawierał szczery obraz mojej wiejskiej nudy; nie pozostawało mi nic więcej jak zacząć odwiedziny sąsiedzkie; jak zacząć jeździć aby znaleść ludzi. Te jednak wizyty wiejskie mają wiele przykrości, bo oto *najprzód:* trzeba jeździć i nieraz daleko; *powtóre:* przyjechawszy nieraz nie zastać; *potrzecie:* zastawszy, nieraz widzieć wybierających się gdzieindziej, albo do przyjęcia gości nie gotowych i zakłopoconych; w podobnych razach w mieście, daję kilka kroków

i jestem gdzieindziej, lecz na wsi — już dzień stracony.

Mimo jednak to wszystko, umyśliłem probować losu, i (było to właśnie wczoraj) wybrałem się po obiedzie do Państwa Hrabiów Orlińskich.

Wyjechałem z domu o 3-cj i stanąłem szczęśliwie przed gankiem. — Czy PP. są w domu? nie wysiadając pytałem. — »Są« odpowiedzieli lokaje, wysadzili żwawo i wszedłem. Pierwszy pokój był próżny. W następującym bawialnym znalazłem kilka osób, na kanapie i krzesłach siedzących.

— »A, Pan Zbigniew, Pan Zbigniew!« odezwało się kilka głosów.

Witałem się ze wszystkimi ukłonem lub uściśnieniem.

— »Dawnoż to z miasta P. Zbigniew?« zapyta Pani Orlińska.

— Więcej tygodnia, Pani, jak jestem już na wsi.

— »Miło zapewne odpocząć po tylu długich pracach, teraz zwłaszcza dnie takie! kilka dni takich na wsi, trzyletnie prace wynagrodzić może.

— Tak, w samej rzeczy, rzekłem, ślic4zne się dnie zaczęły... pięknie się miesiąc zaczął.

— »Żal tylko, odezwie się młody Karol

Orliński, który się mocno ucieszył i ożywił przybyciem moiém, żal tylko że dobre zaczęcie nie zawsze wróży równie dobry koniec; żywo mi teraz stanęło w umyśle, kiedym cię ujrzał Zbigniewie, jak kilka lat temu szczęśliwie razem z wami zacząłem słuchać praw kursu, a kto mógł wtedy przewidzieć, że w rok zdarzona słabość stanie mi nadal zawadą.«

— Można, rzekłem, i na wsi, podobnie jak w mieście, czynić miłe postępy w umysłowym kraju.

— »Kraj ten nie dla każdego jest równie potrzebny, odezwie się jakiś jegomość wcale powszednim głosem, na co to dla bogatych nauki?.. nauki, Panie Dobr. dla tych to nie przeczę, co się utrzymać nie mogliby bez nich; ale...«

— Jeżeli nauki, przerwałem, nie są potrzebne, dla bogatych, możnych, to dla nauk potrzebni są możni, co właśnie w końcu na jedno podobno wyjdzie, widzimy bowiem jak liczne korzyści sami bogaci z ogólnego postępu nauk i umiejętności odnoszą. Nadto, osoba możnego bardziej jest widoma, do wyższych powołana czynności. Jasność imienia nie oślepi oczu. Kto owszem nie wie, dodałem, jak jest boleśny zawód, szukać spotkania męża dawne i sławne imie noszącego

i ujrzeć tylko nikczemną, ograniczoną postać, to dawne imie hańbiącą.

Pani Orlińska pytać mnie się zaczęła i wypytywała się długo o wielostronnych nowinach miasta. Młody Hrabia wypytywał się o ciebie; rozmowa szła miło i żywo. W parę godzin P. Karol, mając mi wiele jeszcze zadać nowych pytań, poprosił nas mężczyzn do siebie, gdzie w miłym fajek obłoczku długieśmy wiedli rozmowy, w czasie których turkot zajeżdżających pojazdów nieraz nam słyszeć się dawał. P. Karol wybiegał i wkrótce do nas powracał; nie miałem wielkiej ochoty iść do nieznanego mi grona, gdy jednak wszyscy zwolna się wynieśli, nie mogłem dłużej zatrzymywać sam gospodarza, i poszliśmy znowu razem.

Idąc myślałem, Walery, jakich też nowych ludzi, jakie ich poznam odcienia. Jedni mówią, że dosyć być z jakim dawnym lub nowym Teofrastem w ręku, aby znać dobrze świat cały; inni, że dosyć pamiętać dziesięć Lawatera tomów; inni znowu, że ludzie tak do siebie są podobni, że dosyć jest znać jednego aby razem znać wszystkich. Szekspir, mówią krytycy jego, nie ludzi ale klassy malował. Lecz, o wyrodki zdań ludzkich! Ludzie, przeciwnie, tak są od siebie różni, iż gdybyśmy

na tysiącu ich miljonów, 999 tysięcy poznali jeszczebyśmy żadnego z pozostałej ilości od razu poznać nie mogli. Odcienia charakterów są niewyliczone. Jak dwóch podobnych liści, dwóch podobnych kwiatów, tak dwóch równych twarzy na świecie, dwóch równych umysłów nie mamy. Dla tego więc idąc, Walery, wiodłem się ciekawością poznania nieznanych mi dotąd ludzi, nieznajomych ich rysów i myśli. Weszliśmy do pokoju. Ujrzałem mnóstwo dam i mężczyzn. Na kanapie siedziały mężatki, na krzesłach po różnych stronach widać było siedzące panienki i kawalerów kilku. P. Karol pośpieszył do kąta pokoju, gdzie rozmawiało kilka poważnych osób.

Przypatrzyłem się bliżej zebraniu, i uderzyła mnie najprzód niesprawiedliwość ludzi. Wszyscy zebrani byli około jednej panienki, a jedna z nich opuszczona siedziała przy kanapie. Wpatruję się bliżej, panienka przy kanapie równie jest ładna jak i otoczona; dziwiła mię i gniewała niesprawiedliwość taka, przypominając ową niesłuszną matkę, co pieści jedno swe dziecko, a do drugiego, równie pieszczoty godnego, niezrozumiane oddalenie czuje.

Chciałem tedy naprawić tę niedorzeczność

ludzką, zwróciłem się ku kanapie, i przy Pannie Sylwestrze (było to jej imie) usiadłem; zmieszało mnie jednak trochę, gdym zamiast ucieszenia znaku, coś przeciwnego dostrzegł na jej twarzy.

— Jak dzisiaj piękne słońce! — powiedziałem.

— »Dosyć« — odpowiedziano mi sucho. Sądziłem że Panna Sylwestra będzie rada zręczności i zechce rozwinąć rozmowę, odpowiedź ta także trochę mnie zmieszała.

— Pani lubi przechadzkę? — zapytałem znowu.

— »Nie.« — odpowiedziano jak wyżej.

— Czyliżby to, rzekłem, być mogło? — Lecz na to mnie nie odpowiedziano i odwrócono się do przyjaznej obok siedzącej damy. Zdaje się iż otrzymano jakąś maleńką przestrogę, bo obrócono się i patrzano na mnie, jakby się nawet wdzięcząc.

— Pani zabawę pokojową przenosząc nad inne, musi być zapewne przyjaciołką muzyki? odezwałem się raz jeszcze; lecz zamiast odpowiedzi tak się niedorzecznie, lubo z niemałym na ustach wdziękiem, s tych moich słów śmiać zaczęto, żem nareście zrozumiał, że podobne opuszczenia osób, jak to s którego ratować chciałem, nie są koniecznie skutkiem

narowu sądzących; i śmiechem lekkim odpowiadając śmiechowi, podniosłem się zwolna, a oddalając się, nieznacznie zbliżyłem się do koła otaczającego panienkę drugą.

Była to Panna Leonilda.

Panna Leonilda była jasna, piękna, rumiana, żywo prowadziła rozmowę, żywémi patrzyła oczyma, umiała dać własne pytanie i odpowiedzieć na cudze, i zdało się że wszyscy tak Panną Leonildą zadowoleni byli, jak Panna Leonilda była sobą.

Nie słyszałem początku rozmowy, łatwo się jednak zbliżając domyślić mogłem, iż była jej przedmiotem blisko nadchodząca tańcowa zabawa.

— »Jeżeli Pani nie będziesz, to i z nas pewnie żaden, żaden s całego tego jej wielbicieli grona,« powiadał z przesadą i tryumfem blisko siędzący, z mocno pomadowanym włosem, w błyszczącym jak woda fraku, kawaler, wyciągając i rostrząsając s kieszeni chustkę, pełną lanych zapachów.

— »Zapewne!« rzekła żwawo Panna Leonilda, niby wcale nie wierząc.

— »Słowo!« powie kawaler s twierdzeniem. (Mowił to Pan Kajetan).

— »Słowo!« powie drugi. (Był to Pan Hilary).

— »Obaczymyż, powie Panna Leonilda, bo wcale być nie myślę.«

— »Żarty, powie Pan Hilary, Pani nie zechcesz zguby tak pełnej nadziei zabawy.

— »Owszem, wcale nie będę obaczymy.«

— »Ach, wolne próby z nas biednych, odpowiedział tenże, ale nie wierzymy abyś Pani tak miała okrutne serce, i tak rzadkiemu w naszej stronie zebraniu blask cały odjąć pragnęła.«

— »Owszem, wcale nie będę, obaczymyż czy będą Panowie.«

— »Kroku nie damy do sali,« powiedział trzeci kawaler.

— »Nawet nie damy do sieni,« powiedział Pan Hilary.

Pan Kajetan cóś na ucho do sąsiada szeptał nic nie odpowiadając.

Panna Leonilda rzucała nań ciągłém okiem.

— »Obaczymyż czy będą Panowie?« powtórzyła głośniej, niby nie dosłyszawszy pierwszych odpowiedzi.

Chciałem się pierwej wmieszać, ale ujrzawszy w ten sposób zbyt sobą zajęte strony, musiałem i tu odstąpić, a odstępując myślałem: tylkom co zaczął był wierzyć ogólnemu ludzi sądowi, i wiara moja znowu chwiać się musi; tak jest, jednakże rodzaj sądu od

rodzaju sędziów zależy; nie pomawiam tych przecie na których teraz patrzę, myśliłem, wiem że okoliczności zbyt na nas mocny wpływ mają.

Tak pomyślawszy prędko i pokrótce, obróciłem się i szukałem aby usiąść krzesła, ujrzawszy zaś wolne i niedaleko stojące, zwróciłem się i zwolna przystępowałem do niego. Przystępując zbliżałem się do młodej panienki, Panny Melanii Lińskiej; siedział przy niej średniego wieku, miłej postawy mężczyzna, i uśmiechał się prowadząc rozmowę. Kiedym przystąpił i usiadł, rozmowa na chwilę ustała.

— A Pani, rzekłem, czy będzie na tej, o której tak wspominają, reducie?

— »Zależy to od mojej Mamy« odpowiedziała skromnie panienka, i zarumieniła się zmieszana.

Nie potrzebuję ci mówić, Walery, jak mię te słowa mile uderzyły i to zmieszanie się ujęło; nie znając, uczułem szacunek ku temu jegomości który to tak miłe towarzystwo obrał. Nie mogłem się nacieszyć mém miejscem, nie dawałem ustać rozmowie, i możebym się tak cieszył cały wieczor, gdyby nie nadszedł P.Karol i nie wziął mię za rękę, mówiąc że chce mię przedstawić poważnym sąsiadom

swoim, którzy w drugim pokoju do kart się już zabierali.

Niedziw że ci sąsiedzi byli istotnie poważni; — jeśli nie wierzysz Walery, pytaj się okolicy całej—a wszyscy co do jednego byli to wielcy ludzie

S pomiędzy nich największym był, bez zaprzeczenia, Pan B.—Postawił on na drodze przed kilku laty karczmę, i sam jej nadał nazwisko; dzisiaj nie znaleść osoby coby jej tém nazwiskiem już nie nazywała, a to nie tylko w sąsiedztwie, nie tylko między jadącémi z miast bliskich, ale nawet dalekich. Przed kilku dniami przejeżdżał po trakcie Kirgiz, i na drodze o karczmę pytał po imieniu; co większa, na nowo odbitej czy odbić się mającej mappie, jak o tém sam Pan B. rospowiadał (na dowód list wyciągając s kieszeni), nazwisko owej karczmy ma być umieszczone. Przy Panu B. siedział Pan S. — Pan S. utrzymywał i czytał zagraniczną gazetę. Niektórzy Pana S. stawiali wyżej niż Pana B., a to mianowicie dla tego, że w każdym roku na wielkość ponosząc wydatek, coraz ją jakby odnawiał i coraz dalej posuwał; mylili się jednak grubo; pomiędzy Panem S. a między Panem B. różnica była wielka, bo oto *najprzód:* Pan B. postawił na trakcie karczmę,

zaś Pan S. nie postawił żadnej; *powtóre,* co idzie s tamtego: Pan S. czytywał tylko nazwiska rozmaitych miejsc naszej ziemi, przeciwnie Pan B. sam je nadawał i tworzył; *potrzecie* więc i nakoniec: Pan S. jak inni ludzie był tylko na tamtym nieśmiertelnym świecie, zaś Pan B. był nim na obu.

Wszyscy ci poważni Pana Karola sąsiedzi siedzieli w pokoiku pośród którego stał zielony rozłożony stolik, i jeszcze prowadzili rozmowę kiedyśmy weszli s Panem Karolem. Dla miastowego przybylca wieśniacy są pospolicie grzeczni, i kiedyśmy weszli, wszyscy (wyjąwszy dwóch poważnych na kanapie siedzących staruszków) powstali ze swoich siedzeń i mnie przedstawianego witali; zawiązaliśmy nawet rozmowę; wypytawano się mnie o mieście, o zbożu, maśle i o teatrze; jedni pytali o dawnych znajomych swoich, inni o murach i ulicach miasta. Odpowiadałem na wszystko jak tylko mogłem najkrócej. Zaczepiono nareście i naukowy przedmiot. Zaczęto nawet mówić o stanie umiejętności i Europejskich nauk; jedni we wprowadzanych licznych jak do jednych tak i do drugich nowościach, widzieli jak zwykle dziwactwa; inni przyznawali bezstronnie, że bez nich ginąłby postęp.

— »Jednakże, powie Pan B., walka z nałogiem zbyt trudna; ilem razy w mej wiosce nową zaprowadził drogę, ilem razy inaczej przezwał jakie miejsce, ludzie zawsze dawniejsze powtarzają imie, i dawną lubo krzywszą jeżdżą zawsze drogą. Bieda wielka, Panowie, z nałogiem prostaków!«

— Co do nałogu nazywania, rzekłem, nie sami nawet prości są mu nieraz podlegli; wiadomo dzisiaj naprzykład, że pieśni Ossiana nie są pieśniami Ossiana, tak jednak nazywamy je ciągle; wiadomo że Xenofonta opis sławnego odwrotu Greków nie jest Xenofonta opisem, nie przywykniemy jednak uważać go inaczej; i wreście, rzekłem, (stosując nowiny dniowe do ogólnych uwag) dowiadujemy się dzisiaj że sławny atlas Lesaża nie jest atlasem Lesaża, ktoż jednak inaczej go nazwie?

— »Jest-że to atlas dawny?. »zapyta Pan B. (z zajęciem się widocznėm).

— »*Journal des Débats* nic o tém niewspomina« powie poważnie Pan S. (o wszystkiem najpierwej wiedzący).

Podobnie ciągnęliśmy jeszcze blisko półgodzinki rozmowę, lecz wkrótce zawołani, musieliśmy powracać do liczniejszego zebrania. Poszliśmy tedy do dam, a wielcy ludzie siedli do bostona.

Dosyć wesoło spędziliśmy wieczór; jedzenia, picia, rozmowy i gry towarzyskie plotły się naprzemiany. Pytałem się Pani Lińskiej, matki Panny Melanii, czy będzie na reducie? odpowiedziała: że córka jej jeszcze za młoda aby występować na publiczne zabawy miała; możesz się jednak domyślić żem nie oszczędzał wymowy aby odmienić zdanie. Dopomagało mi wielu.

Panna Leonilda ciągle była ta sama.

Ilekroć było złożone do gry jakiej koło, dopiero po złożeniu postrzegaliśmy że nie ma w niem Panny Sylwestry, i dopiero wtedy zapraszali.

Należeli też do zabawy naszej, rozumie się jako widze, dwaj owi staruszkowie, których w bostonowym pokoju na kanapie najpierwej postrzegłem. Są to dwaj przyjaciele od najmłodszych lat swoich; jeden się nazywa Rajecki, drugi Odorski. Oba jako staruszki są wiele sobie podobni, trochę się jednak różnią. Pan Rajecki ma więcej powagi, Pan Odorski więcej żywości; w mowie pierwszego więcej zbudowania, w mowie drugiego pociągu. Oba są mili i nie mający wad wieku; w Panu Odorskim chciałbyś mieć przyjaciela, w Panu Rajeckim chciałbyś widzieć ojca. Pan Odorski ma syna który bawi w

mieście; Pan Rajecki miał żonę, ale ta bezpotomnie umarła; nie mając więc dzieci ni krewnych, sądzą iż umierając temuż Pana Odorskiego synowi majątek swój przekaże. To ci powtarzam mniej pewnie potrzebnie, ale cóż mam począć, kiedy mi dama jakaś, wątpię czy nie matka Panny Leonildy, tę ostatnią okoliczność najmniej dwadzieścia powtarzała razy.

Lecz dosyć!..

Dziwne wrażenia wiejskie!

Oto ledwiem, Walery, z nowemi cię ludźmi zapoznał, gdym ledwie do połowy czy raczej do początku opis mój dowiódł wieczoru; nagle pióro się skręca, serce się zmienia, i inne powstaje uczucie.

O dziwne wrażenia wiejskie; pamiętasz dobrze Walery trzy naszych nauk lata? nie były to trzy doby, ani trzy tygodnie, były to długie, dosyć dlugie lata, a czy przypomnisz dzień jeden w którymbyśmy smutni lub zamyśleni byli? radość i sama radość była nam wszystkim wspólna; żarty, zabawy, swawole, od początku do końca były towarzyszami naszemi. A teraz, oto miesiąca jeszcze nie bawię na wsi, a nieraz w mało znaném widzę się uczuciu. W mało znaném?.. tak, w mało, ale jednakże znaném!... Walery! może się próżno dziwię? w owych ubiegłych trzech latach wyście mię nie

poznali, ja sam nie znałem w nich siebie. Wspomnienie ich dla mnie miłe, o zaiste, najmilsze dla mnie! ale już nieraz spotykały mnie chwile, w których mi moja dawniejsza od nich przeszłość nazbyt się rzewnie stawiła. Stawały mi w oczach owe dnie wiejskie, spokojne, tak pełne miłych i cichych marzeń; ten stan dumania, pokoju, widział mi się jedynie myślącej istoty być godnym; i wtedy wesołość nasza zdawała mi się głupstwem, nasze śmiechy szaleństwem, nasze uciechy zbrodnią. Gdzież jesteś o melancholio! wołałem; gdzie jesteś duszy mej dziecko, myśli mych matko, opiekunko młodości mojej? Czyż władza twoja, w dalekie ubiegła strony, w dalekie i bez powrotu?

I oto dziś wraca; wraca gdy jej nie wołam, gdy rozerwania szukam, gdy wesołe kreślę wspomnienia.

Ty mię nie poznajesz, Walery, ale z biegącym czasem wszyscy odróżnimy się znacznie. I w tobie już widzę odmianę. Ludzie lat pierwszej młodości, jednémi złączeni mury, jednym spojeni celem, jednych dni wpływ czujący, zupełnie są sobie podobni; dopiero dalsze życie, nowe każdego dzieje, oddzielny charakter rozwiną, i albo dawny odgrzebią, albo nowy stworzą.

Mój jednak nie stworzył się jeszcze.

Na chwilę zmienia się tylko; ale zostaje dawny; zostaje dawny, wam znany, trochę za zmienny może. Bądź zdrów.

LIST IV.

Zbigniew do Walerego.

Elin. Czerwiec.

Biorę się za pióro i papier lubo zaledwie co wstałem. Oczy jeszcze zamknięte, serce jeszcze ściśnięte. Wczorajszy wieczór poświęciłem szaleństwu, byłem na reducie. Reduta wiejska w niczém się nie różni od miejskiej, tém chyba tylko że rzadka. To samo różnorodne zebranie, rodzaj obłąkania ten sam. Wiesz-że, kochany Walery, za kim lataliśmy wszyscy, jaka tancerka miała przed innémi pierwszeństwo?.. Panna Leonilda. Jej kształtna postać, jej jasne oczy i rumiane lice, gasiły wszystko do koła. Serce mi się ściska gdy wspomnę żem Panią Lińskę tak silnie namawiał; ach, prawdziwie, brzydkośmy zrobili, wstyd mi się teraz będzie pokazać na oczy. Czy uwierzysz, Walery, żeśmy przez

cały wieczór ani pomyśleli o Pannie Melanii, nie wiem czy choć jednego tańcowała tańca. Bo też zebranie, mianowicie panien, liczne było do zbytku; pomiędzy niemi siedziała Panna Melanija, mała, blada, że zbyt gładko zaczesanym włosem; dobrze mówiła matka, że jej córka jeszcze za młoda do publicznych zabaw. Ale czemuż nie dotrzymała? Przyznam ci się Walery, że nic mię tyle nie gniewa jak gładko w górę podczesane włosy; jest to okropna krzywda budowie ciała czyniona; na równo by wyszło podwiązywać nos w górę, albo wierzchnią wargę; włosy utworzone naturą spadają z góry na dół, dając cień oczom i licu; jeżeli strojna kobieta, dbała o sztukę i powab, zawinie je w strojne pukle, łacno to darujemy, ale widzieć wzniesione do góry z obnażeniem lica i skroni, nie jestże to kalectwo natury? Jeżeli zaś w latowym kodexie, w czasach w których żyjemy, nie dozwolono młodym panienkom twarz zdobić wijącémi się włosy, to dobrze, znowu powtarzam, mówiła Panny Melanii matka, że jej córka jeszcze za młoda. Ale o coż się gniewam? Znaczno, Walery, że się do winy czuję.

Tymczasem Panna Leonilda prawdziwie była ładna, prawdziwie ładna, Walery, jak mile spędziliśmy wieczór! jutro jadę do Brań-

ska; jutro? czemuż nie dzisiaj? *nie ma zabawy bez jutra*, mówi przysłowie francuskie, cóż byłoby przeciwnego gdybym pojechał dzisiaj? . . Pomyślisz że się kocham? tego nie powiadam, za stare serca nasze do uczucia nowej miłości; jednak, Walery, sam niepojmuję siebie, może to tylko ostatki żywo ubiegłego wieczoru. O, że żywo ubiegł to prawda; tańcowałem dwa razy s Panną Leonildą, i żadnego innego nie opuściłem tańca; wiesz że tańcować nie lubię, mianowicie na salach publicznych, a jednak widzisz, tańcowałem ciągle.

Zaraz przy wejściu na salę uderzyła mnie mocno Panna Leonilda, zdało mi się więc zaraz że równiem ją mógł uderzyć; przybliżyłem się do rozmawiających przy niej i swoje mieszałem słowa; Panna Leonilda upuściła chuteszkę; podniosłem; podziękowała wdzięcznie; rozumiem, pomyślilem z uśmiechem, co znaczą te upuszczenia. Młody hrabia Orliński rospoczął mazurka s tąż Panną Leonildą. Figura pierwsza była wybierana. Rzuciliśmy się wszyscy do koła; nie wiem dla czego, ale byłem pełny nadziei; Panna Leonilda rzuciła się, nie myśliła ani momentu, i wybrała — Panna Kajetana. Wróciliśmy niezbyt weseli. Nie bawiła mnie moja tancerka, którą na oślep wziąłem gdy koło już było stanęło, wo-

łałem się przybliżyć i rozmawiać s P. Karolem. Pan Karol przedstawił mnie swojej, wielce mu byłem wdzięczen, miałem już prawo mówienia; jakoż gdy pobiegł po chwili na drugi koniec sali; usiadłem na jego krześle.

— »Pan lubi tańce?« zapytała mnie Panna Leonilda.

— Nie lubiłem ich, rzekłem, do dnia dzisiejszego.

— »Do prawdy? do dnia dzisiejszego? cóżby to miało znaczyć? »niby nierozumiejąc rzekła.

Najmniej nawet ukształcone kobiety, lubią te najlepiej grzeczności których się mogą domyślić, natarczywie nastają o ich wyjaśnienie; ale zaspokoić natarcie, jest to zakończyć swój tryumf. Nie myśliłem więc tłumaczyć się jaśniej.

— Jest to odmiana, rzekłem, której prawdziwie sam wytłumaczyć nie mogę.

— »To tedy Pan lubi tańce?«

— Dzisiaj przynajmniej.

— »Jakiż taniec najlepiej.«

Byłbym wielce szczęśliwy gdybym mógł odpowiedzieć że ten któren nastąpi.

— »Prawdziwie nierozumiem« odpowiedziała P. Leonilda, lubo poznałem ze źle ukrytego uśmiechu, że rzecz mieć się musi odmiennie.

— »Prawdziwie nie rozumiem, rzekła, dla czego następujący mazurek miałby się różnić od tego.«

— To też jest moje nieszczęście, odpowiedziałem.

Tu jakiś kawaler wybrał P. Leonildę do tańca.

— »Pan dawno na wsi?« rzekła, po przetańcowaniu siadając.

— Więcej miesiąca, rzekłem; nie myśliłem wcale opuszczając miasto, że wieś mieć może liczniejsze powaby.

Panna Leonida uśmiechnęła się.

— »Zdaje mi się że widziałam Pana pierwej nim nas P. Karol zapoznał. Czy nie w niedzielę u PP. Orlińskich?«

— Tak jest Pani, odpowiedziałem, i dzisiaj miałem szczęście zrobić jej maleńką przysługę.

— »Co takiego?« zapytała z nieudaném zdziwieniem.

— Ręce me miały szczęście podnieść jej białą chusteczkę.

Panna Leonilda z zastanowieniem się spójszała na mnie, i poznałem, że nie wiedziała istotnie czyje to były ręce.

Jakaś młoda panienka uwolniła ją od odpowiedzi, wybierając mię do tańca. Wybór ten ucieszył mnie mocno, bo *najprzód* był

nieznajomej panienki, *powtóre* był w oczach P. Leonildy; ale zyskując taniec straciłem moje miejsce, którem już znalazł przez P. Karola zajęte.

— Jakże jestem szczęśliwy, rzekłem do znalezionej w tłumie Panny Sylwestry, że dzisiejsza zabawa tyle miłych pozwala chwil widzieć, i stanąłem za P. Sylwestry krzesłem; zacząłem rozmowę o tańcu, o tańcujących, o niej, o sobie, póki nie nastąpiła jej tańcowania kolej. P. Sylwestra mając wybierać, stanęła na chwilę pośrodku, potém nagle pobiegła, przybiegła do mnie i wzięła mię do tańca. Tego też właśnie chciałem. Dobre panienki, nieraz myślicie że to wdzięki wasze gromadzą do was w tańcu tłum rozmawiających, trochę się jednak mylicie; idzie im o wasz wybór, to prawda, nie dla waszych to jednak, lecz innych, które go widzą, oczu. Nastąpiła figura druga nie mieszcząca żadnego wyboru. Nastąpiła figura trzecia; mężczyźni robili koło; dama z swego szaliku zrobioną koronę kładła na wybranego głowę. Panna Leonilda zaczynała, i włożyła ją na moję.

Na tém i list mój kończę, ten mi roskosznie w myśli stojący wypadek, był pierwszym zapewna celem i pierwszém był jego natchnieniem. Tańce następowały jak zwykle. Do czwar-

tej bawiliśmy zrana. Dodam tylko że drugiego mazurka tańcowałem s Panną Leonildą, i przypomniałem zlekka iż to najszczęśliwszy mój taniec.

(*Nazajutrz*).

Napisałem list wczoraj zapomniawszy że dzień niepocztowy; wiele w nim dziś widzę wyrazów którebym pragnął wypalić; nie myśl proszę żem się zakochał w P. Leonildzie, smak nasz już dosyć daleki. Rozmowy salonowe zbyt są drobne i łatwe, od każdej jednak odpowiedzi, każdego P. Leonildy pytania, chcielibyśmy słyszeć inne, że nic nie wspomniemy o głosie. Kiedy mnie po raz pierwszy »czy pan lubi tańcować?« zapytała, było to głosem tak nagłym, żem ledwie nie utracił chęci odpowiedzi.

LIST V.

Walery do Henryka *).

Turogród. Sierpień.

Nie, mój drogi Henryku, twoja wesołość innej natury wcale. Twoja wesołość jest szczera,

*) List ten pokazuje że go kilka innych, tak od Zbigniewa do Walerego jak od Walerego do Henryka, poprzedzić musiało.

otwarta jak twoje serce. Otwartość, mówisz, Zbigniewa widziałeś i w jego oczach, każdy jego uśmiech był ujmującym dla ciebie i każde jego słowo; od pierwszej poznania się chwili zdało ci się, powiadasz, jakbyś go znał od dzieciństwa i razem się z nim wychował. O, nie ufajmy zbyt swemu wzrokowi. Nie tyle jest niebespieczny skryty, mówi charakterysta sławny, jak ten który jest na pozór otwarty: strzeżemy się bowiem pierwszego, ale drugiemu ufamy. Nie wspominam ja to dla tego abyśmy się strzedz mieli Zbigniewa, ale przywodzę świadectwo że są podobne rysy. Wesołość Zbigniewa z nami może nie była udana, zbyt jednak bliską była tego; jeżeli on śmiał się, nie było to tyle skutkiem skłonności wewnętrznej, jak tego, żeśmy mu płakać nie dawali. I ty i Zbigniew byliście zawsze pełni i śmiechów i żartów; ale zasadą twoich była wesołość serca, zasadą żartów Zbigniewa skryta złośliwość, szyderstwo. Zbigniew jest teraz na wsi, i umysł jego zostawiony sobie,nie tylko obleka się w smutek, ale dziczeje nawet. Jedyne uczucie któreby go ożywiać, utrzymywać mogło, już mu się zdało przekwinąć. Zaprawdę, patrzyliśmy na to. Traf, że w uczuciach swoich zawsze natrafiał na tę, która mu swoje poświęcić w

swém przeznaczeniu miała, zbyt prędko go nasycił, i serce marzeniom zamknął. Raz jeszcze wreście powiadam, pozornej wesołości nigdym nie wierzył Zbigniewa, i dostrzegałem w niej nieraz melancholijnych uczuć. Otwarty na pozór i w przyjaźni szczery, widziałem dobrze iż nigdy nie czuł prawdziwej, czuł nawet raczej wstręt do jej nazwiska. Dziś daleki, ponury, sam to w swych listach wyznaje, nieraz nawet żałuje że mu to uczucie nie dane.

»Wczoraj, pisze on do mnie, byłem w sąsiedztwie moiém, widziałem tam szczęśliwego. Siedział on w gronie przyjaciół, a patrząc na ich uśmiechy, sam się uśmiechał do nich. O! takie szczęście nie dla mnie. Każde słowo czułości, każde wylanie serca, sprawia mi wstręt i odrazę.

»Pamiętam, pisze mi dalej, pamiętam, i nigdy dzień ten nie wyjdzie mi s pamięci, kiedy godzina jedna tyle mi szczęścia przyrzekła. Dzień był pogodny, pamiętam, szliśmy z Henrykiem przez miasto. Nagle pokazał mi Henryk idącego ku nam nieznajomego mi dotąd Augusta; August się zatrzymał, ścisnął Henryka za rękę i rospoczęli rozmowę. August mię ujął od razu, był to najmilszy dowcip w piękną i męską wcielony postać; serce

mi bić zaczęło by jego przyjaźń pozyskać, zacząłem się do rozmowy mieszać; August spoglądał na mnie, i jużem był pewny wygranej. Nadeszło pożegnanie, s całém wylaniem serca pragnąłem je złożyć; August ścisnął tylko za rękę Henryka, odwrócił się i odchodził, a ujrzawszy przypadkiem gotowy mój przyjacielski i otwarty ukłon, obrócił się do Henryka raz jeszcze, i na pół się s tryumfem na pół z szyderstwem uśmiechnął. Jam uczuł ogień w mém sercu; s początku ogień gniewu, lecz dalej ogień szlachetny, chęć pozyskania serca, przełamania szyderstwa i wstrętu. O, dnie to były szczęśliwe. Kiedym się budził byłem dniem moim zajęty, nie nudziły mię trudy, bom miał im cel zakreślony. Widywałem codzień Augusta, chodziliśmy i czytywaliśmy razem, czyniliśmy razem wspomnienia, mówiliśmy o cudzych utworach i nieraz tworzyli własne. Lecz oto nie minął tydzień, a August w jednej rozmowie naszej ścisnął mię za rękę i rzekł: »O przyjacielu! Pierwsze jest twoje serce którem napotkał w mém życiu a którem ukochał tyle; jakaś nieznana siła wiąże mię do ciebie.« Te jego słowa zdały mi się sykaniem węża, te jego dłonie katowném żelazem; zginęło w mgnieniu oka całe moje szczęście; ten, o

którego przyjaźń tak silniem się starał, stał mi się po tych słowach wstrętem i nienawiścią.«

Oto masz, przyjacielu, otwarty charakter Zbigniewa, ale otwarty w piórze a nie w uśmiechu i oczach. Jeśli on do mnie pisuje i przyjacielem być moim zda się, sądzę iż to jedynie dla tego że mię nie widzi. Wyobraźnią palącym się sercom oddalenie jest najśilniejszym bodcem. Staram się też w moich listach słowa nigdy nie wspomnieć przyjaźni.

Bądź zdrów, moj drogi Henryku, kiedyż ujrzemy się z sobą.

LIST VI.

Walery do Zbigniewa.

Turogród. Wrzesień,

. . . .
. . . .

Henryk się nie nacieszy swoim Władysławem, ledwie mu nie przyznaje daru ukazywania nadnaturalnych zjawisk. »Chodzimy z nim razem, pisze, po domach i po ulicach, on u mnie codzień a ja u niego, zanadto nie-

raz nawet bywamy weseli. Dni temu kilka, przyszedł on do mnie, paliliśmy fajkę, ja leżałem na łożku, on siedział przy oknie. Kilka ładnych dziewczynek miejskich przechodziło w tym momencie mimo okna.

— »Ach, ach, patrz, jakie ładne,« zawoła razem Władysław.

— Mniejsza o nie, odpowiedziałem, (pisze to wszystko Henryk).

— »Ho! ho! co mówisz, mniejsza. Panieneczki!.. nie wytrzymam, zawołam.«

— Co robisz, wszakże dzień biały, wezmą cię za waryata.

— »Niech biorą. Ha! Panieneczki! a przeklęte.... uciekły do jednej!«

— Dobrze zrobiły, rzekłem, czy wiesz że już mię nudzą; minęły dawne chwile żywe, zapalone, ciągle jedno a jedno powszednieje wreście.

— »Ho, ho! nie powszednieje... a! żeby ich!... nie widziałeś.«

Tu Władysław odstąpił od okna.

— Wszystko swoje i swoje rzekłem, to także nie bawi, żeby już choć Turczynkę, żeby już choć Hiszpankę obaczyć.

— »Obaczyć? sztuka niewielka, odpowie Władysław, jeżeli chcesz, to ci nie tylko Hiszpankę ale Amerykankę pokażę.«

— Ho, ba, Amerykankę...

Wszystko to pisze Henryk, ale nie na tém koniec; donosi on ze zdziwieniem dalej, i ze zdziwieniem słusznem, że istotnie Amerykankę, a nawet dwie ich widział; Władysław pokazał mu je w kościele; ubrane były tak jak Europejki, płeć ich tylko ciemniejsza i twarze trochę za płaskie. Młodsza uderzyła go mocno swym wzrokiem, chciał się nawet zapoznać z niemi, ale odpowiedział Władysław, że nie mieszkają u siebie, że nadto wyjeżdzają stąd wkrótce; dodał, że już tu bawią od roku, że bawiły tu przy swej krewnej, dopóty niechcąc wyjeżdżać na wieś i pokazywać się na świat, dopókiby nie poznały języka i obyczajów kraju. »Żyły tu tak ukryte, dodaje Henryk, że nikt nawet w mieście, oprócz owych krewnych, i jeszcze dwóch lub trzech domów, gdzie się niekiedy dla nauki tańców zbierały, o ich pobycie nie wiedział.« Jak widać i P. Władysław miał w tajemnicy udział, i musiał ją umieć chować, kiedy się nie wygadał był dotąd. To jednak dziwna, co to za istoty?. co to za Amerykanki być mogą, coby tu krewnych miały? Pisałem rospytując się o to. Bądź zdrów Zbigniewie, widzisz że przyjętą na siebie powinność udzielania wzajemnych

mniej pospolitych szczegółów, dosyć dokładnie spełniam.

LIST VII.

Zbigniew do Walerego.

Elin. Wrzesień.

Dziwne wypadki!. prawdziwie. Tegoż dnia właśnie, Walery, kiedym twój list odebrał, dowiedziałem się także, że Amerykanki o których piszesz, przyjechały w sąsiedztwo nasze. Pamiętasz może staruszków o których ci wspominałem opisując mój pierwszy u PP. Orlińskich wieczór; owoż jeden z nich poważniejszy, a mianowicie Rajecki, jest właśnie krewnym, nie wiem jeszcze jakim, owych Amerykanek. Mieszkać też będą przy nim, w jego majątku Dolinie. Piszę tylko słów kilka donosząc ci o wypadku, mam jednak nadzieję wkrótce ci donieść coś więcej, bo PP. Lińscy prosili mię na niedzielę na obiad, gdzie jak słyszałem być mają i córki nowego świata.

NB. Panna Sylwestra s ciotką wyjechała już z okolic naszych.

LIST VIII.

ZBIGNIEW DO WALEREGO.

Elin. Wrzesień.

Masz więc i list obiecany. Wczoraj cały dzień prawie miałem niepowszednie widoki, dziś więc mogę i ciebie trochę zapoznać z niemi. Zacznę dzień od początku, lubo za koniec nie ręczę.

Rano, jako w niedzielę, jadąc do Linówki, zajechałem przed kościoł, i byłem w kościele na mszy; znalazłem tam PP. Linskich do których mieliśmy jechać, i Hrabinę Orlinskę z synem, którzy także proszeni byli. S kościoła do Linówki nie było więcej jak wiorsta.

Domek PP. Lińskich zawsze nieźmiernie miły; dosyć wejść do pokoju aby oddychać wesoło. Nie wiem ja czém się dzieje? — a jednak tak się to dzieje, że każdy dóm ma własne sobie powietrze, na część moralną ludzką wpływ wywierające. To samo zgromadzenie raz w tém, a drugi raz w inném zebrane mieszkaniu, tu będzie nudne i zimne, tam będzie wesołe, otwarte. Owoż dóm PP. Lińskich do tego ostatniego należał rodzaju;

oddychał szczęściem kto wszedł do niego. Zebranie nie było liczne, byli tylko domowi, PP. Orlińscy, i ja; byliśmy jednak wszyscy wielce radzi z siebie, i niecierpliwie wyglądali razem, P. Rajeckiego i jego niepospolitych krewnych przybycia.

— »Nie było naszych gości w kościele,« powiedziała Pani Lińska zwracając do nich rozmowę.

— »Bo też zapewne i nie bywają nigdy, odpowiedziała Pani Orlińska, nie są to zapewne Chrześcijanki.«

— Że jednak mszy słuchają, to mogę ręczyć, rzekłem, widywano je nieraz w kościele, gdy jeszcze w Minogrodzie bawiły.

— »A, Pan Zbigniew wie zawsze o wszystkiém, rzekła do mnie z uśmiechem Pani Lińska, wie nawet o pobycie naszych Amerykanek w mieście, lubo o tém sami Minogrodu mieszkańce nie wszyscy wiedzieli zapewne.«

— Że nie o wszystkiém, Pani, bliski bardzo dowód: oto właśnie nie tylko nie wiem, ale się dotąd nawet wydziwić z innymi nie mogę, jakim sposobem nasz sąsiad P. Rajecki, może mieć krewne s tak dalekiego świata.

— »O, co s tej strony, powie Pani Lińska, to łatwo ciekawość zaspokoić mogę.«

— »Są to podobno jego synowice,« powie Pan Karol.

— »Coś nakształt tego, ale nie zupełnie, odpowie P. Lińska, bo oto najprzód jedna z nich matka a druga córka; powieść zaś taka: Adolf Rajecki, synowiec naszego sąsiada, emigrował w 96 roku i był potém w Legjonach. W 1802 był z wojskiem pod S. Domingo, ale okręt na którym się znajdował rozbił się i zatonął; on jeden uratował się cudem, i zapędzony był wiatrem aż na Ameryki północ. Tam to on, w lasach Huronów, przywiązał się do jednej Amerykanki i z nią się ożenił. Stryj jego, a nasz sąsiad, pisywał do niego zawsze, i na jego to właśnie prośby, cudzoziemki tu przyjechały; jedna jest żoną Adolfa, a druga ich córką.«

— »Zapewne też im i majątek zapisze,« powie P. Liński.

— »Dla czegoż to nie przyjechał sam Adolf?« zapytał P. Karol.

— »Bo komużby miał innemu?« powtórzył znowu P. Liński obracając się do zapytującego.

— »Tak jest, ale P. Adolf dla czegoż to sam nie powrócił?«

— »P. Adolf, rzekł P. Liński ł pó t ylko słysząc pytanie, nie wiem czy nawet wie

dobrze o stanie majątku swojego stryja; kiedy tu jeszcze był dzieckiem.. o! było to dziecko szalone!. mało młodszy odemnie; kiedy tu był jescze, powiadam, nie wiem czy nawet rozumiał co to jest majątek; tak jest, i teraz nawet żałować nie będzie, jeżeli ten w inne dostanie się ręce. A że dostanie się w inne, to wiemy o tém dobrze.. zapisy porobione, schowane. Cha! chyba teraz to się odmieni,.. być może... Amerykanki, kuzynki. Nic nie jest niepodobnego; na tém świat.«

Ta odpowiedź, łatwo wnieść można, nie zaspokoiła P. Karola; nie chciał już po raz trzeci ponawiać pytania, lecz sama Pani Lińska przerwała mężowi i rzekła:

— »P. Adolfa zapewne kosztować musiało nie mało rozłączać się na tak długo z żoną swą i córką, ale Amerykanie, pośród których bawi, zatrzymali go w zakład swoich rodaczek powrotu. Z resztą, nie może go nie pocieszać wspomnienie, że jego córka, jego *Anakoanli* luba, posród niewygód i ubóstwa wzrosła, teraz na własnej ziemi jego we wszystko opływać może.«

— Anakoana? rzekłem; imie to nie zdaje mi się być imieniem Ameryki północnej.

— »Tak jest, odpowiedziała Pani Lińska,

nie jest to imie hurońskie; P. Adolf Rajecki ojciec, chciał nawet córce swojej dać imie chrześcijańskie, ale musiał ustąpić żądaniom brata swej żony, który się silnie sprzeciwił i przezwał nowonarodzoną dzisiejszém imieniem, na pamiątkę Królowej sławnej, która je nosiła na jednej z wysp amerykańskich, w czasie pierwszego najścia i osiedlenia się w nich Hiszpanów.«

Te właśnie, uprzejma gospodni, domawiała słowa, kiedyśmy posłyszeli gwałtowny turkot pojazdu i zatrzymanie się jego przed gankiem. Gospodarze i goście nie ruszali się z miejsca, wszyscy tylko ciekawe i wytężone oczy ku drzwiόm mającym się otworzyć zwrócili; już po pokoju pierwszym słyszeliśmy szelest i głośniejsze i cichsze stąpanie; ruszył się wreście zamek, i drzwi się otworzyły bawialne. Weszły najpierwej dwie damy, a tuż za niemi stary P. Rajecki, który postąpił bliżej, i ze szczęśliwym uśmiechem przedstawiał Domowi swe krewne. Wszyscy powstali z miejsca, witali się i spoglądali nawzajem. Ja stałem jak w odurzeniu. Przywykłemu do powszedniośći oku, stawiały się niespodzianie dwie nieznanych nieb wychowanki; spoglądałem naprzemian na jedną to na drugą, i długo przyjść do siebie i napa-

trzyć się dosyć nie mogłem. Obie mi twarze zrazu wydały się śmieszne, i że do ich widoku nie przywyknę nigdy, sądziłem. Drugi jednak rzut oka, a zwłaszcza głós posłyszany, kazały mi wiele ze zdania mego odmienić. Stara Amerykanka (imie jej jest Karista) ma już więcej lat 40, tak zatém jak wszystkie tego wieku Amerykanki prawie się starą wydaje; rzadkiego jednak ujęcia, rzadkiego rozsądku niewiasta. Obie, jak jedna, mają płeć jeśli nie ciemną zupełnie, wiele jednak ciemniejszą od naszej, włosy czarności kruczej, i podobne oczy; lecz oczy młodszej, Walery, prawdziwie dwa czarne słońca! Panna Anakoana Rajecka istotnie jest niepospolitą panienką; snać ojciec i w dzikich lasach o dalszém córki swojej nie zapominał życiu; łączy ona żywość Amerykanek północnych i Europejską ogładę. Miły, choć żywy uśmiech, rozsądek w mowie, i kształtna postać i rażące oko: oto jej krótki obraz. Obie Amerykanki mówią po polsku jak Polki, nie tylko tu zapewne przez ten rok ubiegły, ale jeszcze przy ojcu i mężu nieraz tym językiém mówiły.

— »Jest to, mówił uradowany P. Rajecki, żona mojego synowca, a to moja wnuczka,« i mówiąc obracał sie wkoło.

Po zapoznaniu się i przywitaniu wzajemném, zajęto jak wypadało miejsca. Początek dosyć był trudny. Z osobami które poznajemy raz pierwszy, rozmowa pospolicie nie łatwa; tym kłopotliwiej być musiało s témi, których myśli, uczucia, tak nam zakryte były. Pani Orlińska, która zawsze dla gospodyni domu była przedmiotem kłopotliwego przyjęcia, wydawała jej się teraz najszczerszą, najpoufalszą przyjaciółką.

Amerykanki także dosyć zmieszane były. Dopiero, gdy Pani Lińska do Minogrodu zwróciła rozmowę, rozjaśniły twarze, i z wielkiém upodobaniem o miescie tém mówić zaczęto.

— »Rok cały tam przepędzony, jakby dzień jeden upłynął, powie Pani Rajecka, mija podobno dwa lata jakeśmy opuściły nasze Amerykańskie lasy, a dotąd wszystko na co spoglądamy, jak sen się nam jeszcze wydaje.«

— »Wspaniałe miasta i pełne zgiełku kraje, powie Pani Orlińska, niedziw że po raz pierwszy ujrzane, na długo zadumić mogą.«

— »O! rzekła z uśmiechem i niejaką dumą Amerykanka, nas oswojonych z dzieciń6stwa z widokiem cedrów i Niagary szumem, wielkość i zgiełki nie łatwo zadziwić mogą; ale rozmaitość i nowość obrazów, ale widok

przemysłu tylostronnego ludzi, zdumiewa nas istotnie. Ziemia Europejska, ach, jest prawdziwie ziemią błogosławieńszych pokoleń!«

— »Pokolenia, rzecze Pan Liński, które mieszkają w Europie, są błogosławieńsze, być może, sama jednakże ziemia więcej na nowym świecie zdała się być od Twórcy lubioną. Przebieżmy, Pani Dobrodziko, wdłuż i wszerz całą Europę, a nie znajdziemy nigdzie, małe wyjąwszy miejsca, garsteczki złotego piasku, którym są przepełnione Amerykańskie góry i pola.«

— »O, mój mąż, rzekła z uśmiechem Pani Lińska, wielkim jest s tego względu miłośnikiem ojczyzny Pani, nieraz mię nawet namawiał przenieść się tam zupełnie.«

— »Nie chcę być stronną, ani być mogę wróżką, powie Pani Rajecka, ale jeżeli ziemie ojczyzny mojej zuludnią się kiedyś jak Europejskie kraje, jeśli toż oświecenie i przemysł zaszczepią się tam i roskrzewią, wtedy podobno wahać się nie będą w przyznaniu, i świat nowy nad starym, w sporze o pierwszeństwo, będzie miał wszystko za sobą.«

— Wyjąwszy historyczne wspomnienia, rzekłem, i sławne podaniem miejsca.

Młodsza Amerykanka obróciła się nagle do mnie i znaczące zatrzymała spójrzenie. Rozmo-

jej s Panną Melaniją coraz się poufalszą stawała. Obie te panienki zdają się bardzo wzajemnie sobie przypadać, i albo się myśląc mylę, albo to będą istotnie, jeżeli już dzisiaj nie są, dwie przyjaciółki najszczersze. Czyjegoż bo to serca P. Melanija ująćby nie miała? Jest to anioł dobroci, na naszej mieszkający ziemi!

Rozmowa już nieprzerwanie trwała do obiadu.

Który nareście dano.

Na pierwszych dwóch miejscach, siadła s prawej strony Pani Orlińska z lewej Pani Rajecka. Od Pani Rajeckiej zaczynała szereg Pani Lińska, koło niej siadła młoda Amerykanka.

Panna Melanija obiadu nie jadła.

Z drugiej strony, siedział najpierwej P Rajecki, dalej P. Karol, dalej jeszcze jakiś jegomość; ja siadłem po stronie damskiej i zrobiłem się bezpośrednim Panny Anakoany sąsiadem. Gospodarz siedział na końcu stolika.

Przy pierwszém daniu jedli wszyscy głucho, jedli ze smakiem, myśląc zapewne tylko o talerzach. Szczęśliwi którzy jeść mogli! ja spoglądałem tylko na mojej sąsiadki rękę. Jakaż to jest ręka, myśliłem, jakaż to jest

osoba która nią obraca? przerywałem jedzenie, patrzyłem na nią i znowu niby coś jadłem: byćże może? myśliłem — to Amerykanka!

Uważałem jednakże co mi nakazywał obyczaj, i że nie było grzecznie być ciągle niemym sąsiadem; przy zaczętej więc ogólnej rozmowie, umyśliłem i szczególnej dać utwor. Długom się namyślał co powiem, niczegom nie mógł wymyślić, odezwałem się jednak wreście, i lubo mniej grzecznie, rzekłem:

— Przywykłej do pokarmu z łosiów i niedźwiedzi, niezbyt zapewne smakują Pani nasze europejskie obiady.

— »Może się mylę, odpowiedziała mi z uśmiechem Panna Rajecka, ale każde Europejczyka pytanie wydaje się nam przymówką; nie dla tego zapewne, dodała po chwili, żebyśmy się do zbytniej, śród lasów naszych, grubości poczuwać miały, ale że wiemy o tém iż takie tu ludzi sądy.«

— Prawdziwie, przerwałem zmieszany i chcący szczerze naprawić małą może niegrzeczność, prawdziwie Pani, bardzo niesłusznie me zrozumiane pytanie; jeżelim się wytłumaczył mniej gładko, to jedynie przez zbytek bojaźni, aby upodobania nasze nagany jej ust nie zyskały.

— »A jednak ją zyszczą, odpowiedziano mi znowu z miłym uśmiechem; mężczyźni nasi jedzą prawda niedźwiedzie i łosie, ale my kobiety żywimy się samym prawie ryżem i ogórkami; jeżeli jadamy mięso, to jedynie bobrów, jeleni.«

— I podobno piesków, dodałem.

— I cóż w tém dziwnego? Jeżeli Europejki mogą jeść tyle śmiesznych mieszkających w wodzie lub raczej w jej mętach źwierzątek *), cóż dziwnego że Amerykanka może lubić ładnego pieska.

Taki był naszej początek, mniej zapewne szczęśliwie dobranej, rozmowy; im jednak mówiliśmy dłużej, tém więcej musiałem się dziwić przyjemności i wdziękom mojej niepowszedniej sąsiadki; już mi się prawie chciało by obiad ten nie miał końca. Zacząłem być na chwilę szczęśliwym! Uczułem chęć podobania się i rozwiązały się usta. Może mi powiesz znowu że się już kocham? Walery; tego nie mówię. Czyliż się można kochać w ciemnej i płaskiej twarzy? Czy można? pytam bez żartu. Odpowiedź łatwa, ale na pozór tylko. Dziwne serca obróty są niewyba-

---

*) Zapewne tu jest wzmianka o ślimakach, żabach i t. p.

dane. Któż jest bez wady na świecie? ileż to nawet kobiet które je mają wielkie; a któraż jest bez kochanka? Kochanek sam się z wad śmieje, sam je wytyka i szydzi — noc jednak trawi bezsennie.

Ale odszedłem ciągu. Na czem to stanąłem? Prawdziwie nie pamiętam, a nie odczytam zanic. Lecz cóż to trzymam, Walery, listże to czyli księga? prawdziwie skrupuł czuję tak długie pismo pasyłać, sambym spalił zapewne gdybym odebrał podobne. Cóż robić jednak, własnego palić nie będę.

Tylko że nie dokończę. Spełniona wróżba. Bądź zdrów.

PS.

Otwieram list dzisiaj który mi jeszcze został, muszę dopełnić stronicy.

Wczoraj, po skończoném pisaniu, pojechałem do PP. Malwieckich. a raczej do pani Malwieckiej, matki Panny Leonildy, znanej ci podobno z mych listów. (Mąż zawsze w mieście). Zastałem matkę i córkę w jednym pokoju siedzące. P. Leonilda mniej zgrabnie schowała swoję robotę którą zajęta była; wyszła, poprawiła prędko grzebieniem swe s tyłu puszczone włosy, jak to widziałem na cieniu, przyszła, i przy stoliku usiadła. Zaledwiem jeszcze słów kil-

ka pośpieszył powiedzieć, kiedy wiedząca o wszystkiem zawsze Pani Malwiecka, do dnia wczorajszego i do nowej znajomości naszej (o której sądziłem że uwiadomię pierwszy) rozmowę nagle zwróciła.

— »Cożl. Panowie poznali Amerykanki?«

Zapytanie to jednak było mi dosyć miłe.

— O, poznaliśmy, rzekłem, i nie było to zapewne dla nas zbyt pospolite poznanie.

— »Zapewne, odpowie Pani Malwiecka, osób takich co pomiędzy lasami i dzikiemi źwierzętami wyrosły.«

— Tego Pani, odpowiedziałem, skądinąd wcale nie poznać; obie amerykańskie damy wiele mają w rozmowie rozsądku i wdzięku.

— »Pan już się, widzimy, zakochał w swoich nowych sąsiadkach; bardzo winszujemy; ale czyż wierzą one przynajmniej w Boga?«

— »Słyszałam że P. Anakoana ma być bardzo ładna panienka, rzekła P. Leonilda, musi być bielszą od śniegu?«

— »Starsza, dodała matka, ma wprawdzie do lat 40-stu, ale nad 30-ci nie musi się wydawać?«

Trudno się było bronić. Gdy jednak to wszystko co miało z nowémi znajomémi mojémi związek, przywiązywało mię do siebie:

— Nie wiem, rzekłem do Pani Malwie-

ckiej, odpowiadając na pierwszy jej zarzut, jakiego są nowe sąsiadki moje wyznania, sądzę jednak że dobry staruszek, pod którego zostają opieką, zajmie się gorliwie tą oświecenia częścią, jeżeli go skądinąd, o czém nie możnaby wątpić, nie powzięły. Jutro wreście lepiej się o tém dowiem z ust samego staruszka, który z swémi krewnemi ma być u PP. Orlińskich.

— »Staruszek, powie Pani Malwiecka, a dotąd się jeszcze żyć nie nauczył na świecie; właśnie też Pani Hrabina przyjmie jutro gości, chyba nie wie że będą, jeśli nie wyjedzie. Wszak zdaje się mogliby być pierwej u Pani Orlińskiej jak u Pani Lińskiej.«

— »Jakto? byli pierwej u Pani Lińskiej?« zapytała P. Leonilda, jakby raz pierwszy słysząc.

— »A toż właśnie i Pan to powiada, przyjechali na obiad...«

— »Raz pierwszy, i na obiad?« zawołała przesadnie P. Leonilda.

— Tak było istotnie, rzekłem, skądinąd jednak inaczej; Pani Lińska jest, jak wiadomo, P. Rajeckiego kuzynką, P. Rajecki nie uważał więc tej wizyty jako wizytę, ale jako zapoznanie domowe; P. Rajecki nie ma żony i sam ledwie chodzić i jeździć może, Panią

Lińskę więc obrał za przewodniczkę dla swoich krewnych cudzoziemek.

— »To jeszcze dobrze że nie P. Lińskiego, bo spodziewam się że nie bardzo jest kontent s tych niespodzianie spadłych amerykańskich krewnych.«

— P. Liński, rzekłem sucho, jest bardzo zacny i najcnotliwszy człowiek; nie wiem czyby można zarzucać że ma słabość jak każdy, i że nad wszystko przywiązany jest do dobrego mienia; sądzę nawet że nie tyle jest przywiązany, jak że lubi o niém rosprawiać.

Nigdy mię nie gniewała tyle i tak rażącą nie była, wrodzona czy umyślna Pani Malwieckiej do obmawiania i wyśmiewania skłonność. Ale bądź zdrów, Walery, wybieram się do Górlina. Bądź zdrów.

LIST IX.

Karista do Męża.

O Religii Chrześcijańskiej *).

O mój daleki, najmilszy Adolfie! Będąż kiedy twe oczy oglądać ten papier na którym

---

*) Winniśmy tu uprzedzić i ostrzedz, że te Amerykanki listy które obecny przeplatają romans, żadnego

te słowa kreślę? Jakże mi lubo pomyślić, że to nastąpi może, że pismo które mam w dłoni ty będziesz trzymał we twojej, że na tych słowach na które patrzę, wzrok oka twojego spocznie. O mój najdroższy! jabym i dnie i noce pisała tylko do ciebie; zamknięta sama, nie widzę w około świata, mnie się wydaje że ja rozmawiam s tobą, że ty przedemną stoisz. Męczą mię coraz bardziej te ludne kraje, te nowe zwyczaje. To co mię tyle zrazu dziwiło i zachwycało, przesyciło nareście, i nie z jednej strony swą wykazało marność. Dzika pustynia w której się zrodziłam, nieraz mi się wydaje, że mieści więcej prawego i ciągłego szczęścia, jak owe sztuczne i wielostronne tutejszych ludzi z sobą połączenia.

Kiedym poraz pierwszy, Adolfie, na Europejską wstąpiła ziemię, osłupiałam, powtarzam to znowu, na widok miast waszych, pojazdów, i wykwintnych strojów.

Zrazu w rodzaju omamienia byłam; potém się w poniżeniu uczułam, i tak zostawałam długo; aż nareście obudzona duma filozofką mię czynić zaczęła. Odrzućmy urojenia, wma-

---

s ciągiem jego nie mają związania, że zatém przez miłośników powieściowej treści wygodnie opuszczane albo na koniec odkładane być mogą.

wiałam sama sobie, niezważajmy na urok który tu panuje, a obaczmy czyli też w samej istocie ludzie tutejszej ziemi są wyżsi od ludzi naszych. Różnią się oni wychowaniem tylko myśliłam, a cóż jest to wychowanie, jeśli nie oddalanie tylko człowieka od stanu przyrodzonego, a naginanie go do uprzedzeń, narowów, uznanych za dobre w jakiém miejscu świata? Tło uczuć ludzkich jest jedno, lubo budowy na niém są wszędzie odmienne; tak *np.* powierzchowne ubiory wszędzie nie są jedynie skutkiem potrzeby okrycia siebie, ale i chęci podobania się i ozdoby; dla tego Amerykanka zawiesza kółko pod nosem, a Europejka w swém uchu; dla tego Amerykanka zdobi twarz swoję maścią ryb lub niedźwiedzi, a Europejka inną czerwoną lub też białą maścią; jestże to więc powodem wstydu, że obyczaje moje może ktoś zwać dzikiemi, dla tego tylko że nie są takie jak jego; wprawdzie na pierwszy Europy widok byłam w odurzeniu, ale istotną przyczyną tego była sama nowość; w podobném odurzeniu zostaje Europejczyk przy pierwszém ujrzeniu postaci naszych, naszych zabaw, obrzędów i sposobu życia. Tak się cieszyłam, Adolfie, jednak mimo to wszystko nie mogłam być ślepa przesądem.

Zbytbym niesprawiedliwą była gdybym nie chciała wyznać, że w tysiące środków bogatsi tu ludzie do pędzenia wygodniej, milej i szczęśliwiej życia; że mianowicie to, czemu dalszy ciąg pisma tego poświęcić dziś pragnę, może życie ich ziemskie zbliżyć do życia aniołów; ale też i temu zaprzeczyć mi trudno: że ludzie w tysiące nowych wiklą się tu sieci, które na pozór blask dają, ale w istocie zawiścią, niepokojem, podejściami, kłamstwem, i tysiącem innych namiętności, darzą, męczą ich, wysysają, i skracają tak uwikłanych życie... Oto ogólne moje o ludach Europejskich zdanie i porównanie ich z mojemi. O szczegółach tak w ogólności Europy, jak mianowicie kraju twojego, częścią teraz, częścią potém zaledwie będę ci mogła donieść; przyrzekłam to uczynić, Adolfie, lecz abym uczynić mogła, potrzebowałam czasu aby zrozumieć i pojąć co mi było obcém, nieznaném; nie mogłam ci więc dawniej donosić o niczém więcej, jak o pierwszych wrażeniach widoku Europejskich cudów. Dziś zaś rospatrując się bliżej w obyczajach i naukach waszych, umyśliłam zacząć i donieść ci najprzód, co sądzę o najgłówniejszym przedmiocie nauki, tutejszego nawet człowieka, co sądzę o waszej Religii.

Ze wszystkich ludów świata, ten w którym się urodziłam za najtwardszy uznają w oporze Religii Chrześcijańskiej; opor ten, jak sam to uważasz mój miły, nie tyle jest skutkiem wielkiego do wiary własnej przywiązania, jak raczej nienawiści ku temu wszystkiemu co z ręki białych pochodzi. Tyś mię nieraz, Adolfie, tejże wiary białych nauczał, a jam nią gardzić nie mogła, i rozbierałam zasady, bom je z ust twoich słyszała; moje serce bliskie nich było, jak byłoby zapewne wszystkich moich ziomków, gdyby, jakem to rzekła, nie z ręki waszej spadały. Tej ostatniej uwagi mojej przyczyny są jasne, bo *najprzód:* ziomkowie nasi nie są zbyt gorliwymi religii swej wyznawcami, nie mają świątyń i żadnych prawie orzędów *); Amerykanin żyje i umiera bez najmniejszej pospolicie o tém co go czeka myśli; bo *powtóre:* wyznając Najwyższego Ducha zgadzają się z

*) Les peuples qui n'ont point de temples, ont peu d'attachement pour leur religion: voila pourquoi les Tartares ont été de tout temps tolérans, pourquoi les peuples barbares qui conquirent l'Empire Romain, ne balancèrent pas un moment à embrasser le Christianisme. *Montesquieu.*

zasadą Europejskiej wiary; dla tegoć to i ja, mój drogi, nie miałam wstrętu kiedym słuchała ciebie, anim czuła tych silnych wstrząśnień i niepokojów, jakich doznaje wyznawca po pierwszych słowach zarzutu. Nieprzywykła jednakże do wiary zbyt wiele przywiązywać wagi, małom myślała nad wszystkiem co do niej ściągać się mogło, żyłam obojętnie jak przedtém, a wiodąc życie tak proste, tak odosobnione jak przędtém, i mając za przewodnika ciebie, możem też i niewiele przeciwko jej prawom grzeszyła.

Ale skorom przybyła na Europejskie lądy, nowe mię widoki spotkały. Ujrzałam świątynie wielkie i długie obrzędy, a wrażenia ich krótkie nie były; ujrzałam ludzi rzuconych w tysiące położeń i tysiące związków, i poznałam, że silniejszych tu trzeba nad prosty rozsądek bodców do utrzymania ich w prawej drodze i jednej zgodnej budowie; słyszałam nadewszystko niejednokrotne spory, a spory te ostrzyły ciekawość i do wyszukiwania prawdy skłaniały.

Jednego razu, a było to już rok temu, kiedy mię siedzącą śród kwiatów noc zaskoczyła majowa, podniosłam oczy do nieba i spoglądałam na nie. Siedziałam na kamieniu i spoglądałam na gwiazdy, i domyślałam się

duchów co nad gwiazdami krążą. Kamienie i duchy!.. co za różnica, myśliłam. I myśl swą dalej prowadząc, dziwiłam się stopniowaniu, jakie między tworami kryjącémi ziemię panuje; najprzód *nieczułe* kamienie, dalej *żyjące* rośliny, dalej *ruchome* ryby i ruchome płazy, dalej źwierzęta *zmyślne* i władzę *głosu* mające, i dalej nareście człowiek; człowiek, do władz wymienionych, łączący *wyobraźnią* i *rozum*. Dwie te potężne władze, a mianowicie pierwsza, daleko go odsunęły od źwierząt. S tych bowiem, jakkolwiek niektóre bystrą są obdarzone zmyślnością, ta jednak ich zmyślność dowcipna, jest dzisiaj na tymże stopniu jak była przy ich stworzeniu. Człowiek zaś wynajduje, idzie, i postępuje dalej, i nie wiemy jeszcze gdzie zajdzie.... Ale czyż jest przeto człowiek najwyższą istotą na świecie? Wniosek podobny byłby zaiste zbyt dziwnym! Ta istota tak niska na tej drobnej ziemi, żyjąca mgnienie oka, nie wiedząca o świecie czém on jest, i skąd on?, tylu słabościom podległa, na same cierpienia skazana, miałaby być — najwyższą?.. O nie! przeskok nawet od ludzi wprost do Istoty Najwyższej, byłby za nazbyt nagły... Tu zatrzymałam się chwilę i znowu dalej myśliłam: kiedy więc z jednej strony, widzę człowieka

nicość śród tego bez granic świata; a z drugiej strony wspominam, że świat ten miał swój początek, że musi mieć kiedyś, lub nie mieć nigdy końca, że tylu cudownémi trzyma się obroty, że owe stopniowanie małych tej ziemi istot przypuszcza i stopniowanie dalsze; jakżeż nie mam przypuścić bytności istot wyższych, i wpływu tych istot na nas? jakże nie mamy wreście w ową bytność wierzyć, i nie mieć słowem tego, co nazywamy Religiją? Tak jest, prawda to nazbyt jasna; i nie znajdujemy jednego na całej ziemi ludu któryby nie miał religii. A lubo to może być skutkiem jednego pierwszego początku, jednego pierwiastkowego podania, widzimy jednak, że ci którzy zapominali wszystkiego, nawet języka przodków, cześć jednak Istotom wyższym, jakkolwiek niewidomym, przechowali.

Tak rozmyślałam w ogrodzie, a gdym powstała i weszła do siebie, myśli mię jeszcze nie chciały opuszczać, i dalej się snuły, męczyły. I któraż to będzie Wiara, zapytywałam siebie, śród tylu po ziemi rozsianych, która jest jedną, prawdziwą? Miałażby to być owa śród której się urodziłam, lub owa śród której dziś żyję? Jakież to mogą być cechy

po których poznać ją można? gdzie jej mam szukać? i czyli mogę gdzie znaleźć?... Tak się męczyłam myślą, i przedsięwzięłam odtąd oświecać się lepiej, nabierać światła od świadomszych ludzi; przedsięwzięłam najpierwej przypatrzyć się Wierze której tu najlepiej przypatrzyć się mogłam, i o powodach jej tu przynajmniej wyższości, otaczających mię ludzi, a jej wyznawców, badać.

Dzień który wprędce nastąpił, uczynił w części zadosyć żądaniu mojemu, w części jednak zbyt małej, i nie zaspokoił mię wcale. Byłam w jedném zebraniu domowém, złożoném z gospodyni domu i jej córek, niejakiej Pani S. i jej córki, a także jednego kawalera. Pani S. jest to zapalona Chrześcijanka; na powiedziane jedno słowo moje, wykładać mi żarliwie zaczęła wszystkie religii swej prawdy.

. . . .

..Jakieś ukryte natchnienie ciągłego szukania prawdy, objeło mię, nie rzucało; i czułam mocno, że pośród tylu rozsianych między ludźmi wyznań, musi być jedno które jest prawdziwém. Przebiegłam więc myślą wszystkie, okiem je obejrzałam bliskiém, obejrzałam ich dzieje i prawdy, i wreście do wielkiego przystąpiłam wniosku. Wniosek ten

uczyniony wypisuję ci z góry: ze wszystkich religij świata, religija twoja, Adolfie, Religija Chrześcijańska, wyraźnie jest jedną, prawdziwą, i o tyle nad inne wyższą, o ile dzieło Boskie wyższe jest nad ludzkie utwory. Powody zaś tego wniosku są następujące:

Najprzód: Założycielami innych Religij byli lub niewiadomi ludzie, jak *np.* religii *Egipcijanów* dawnych, *Dalej-Lamów* tybetańskich, *Szamanów* tartarijskich; *Sintaistów* i *Buduistów* Japońskich; albo pełni imaginacii poeci, jak dawnej religii greckiej i idącej z niej rzymskiej, Islandów i innych Europy północnej ludów; albo nareście ludzie znani z nazwiska i powołania swego, których jednakże cudów, albo ich religii tajemnic, nikt nie był świadkiem oprócz nich samych: tak *Manco Capac* i *Mama Ozello*, powiedziawszy się synami słońca, założyli Peruwiańską wiarę; *Brama* dał Indijanom religijną ich księgę, *Mahomet* dał swoję Arabom; żadnych zaś dowodów boskości tych ksiąg nie mamy. Chrystus przeciwnie, który jest założycielem Religii Chrześcianskiej, stanął, nauczał i czynił cudów tysiące w obec mnogiego ludu, który się zewsząd kupił i wielką rzeszą postępował za Nim; a ta Jego nauka nie była oszustostwem ciemnoty lub narzuce-

niem gwałtowném, ale szerzyła się w wieku filozofii i nauk, i pośród prześladowań.

Powtóre: Inne religije uważać się mogą jako ustanowione od naczelników ludu, dla przywiązania go do siebie i zbudowania oddzielnego państwa; przeciwnie Religija Chrześciańska, wcale nie z ręki wypłynęła rządu; tak ona ludzi własnego jak obcego państwa, tak własnej jak obcej wiary, tak przyjaciół jak nieprzyjaciół swoich, jedną miłością kochać roskazuje. Jest ona oczewiście od wspólnego, jednego Ojca pochodzącém prawem. Nie była też ona wcale wymysłem Kapłanów; pierwsi opowiadacze nie byli nimi, ani też żadnej władzy nie przyznawali sobie nad ludem.

Trzecim wielkim dowodem boskości Religii Chrześcijańskiej są Cuda; i *Poczwarte*, spełniane proroctwa.

. . . .

Uważam tedy, mój drogi, iż równie silne i jasne dowody z waszej jedynie Religii wyciągnąć się mogą. Dodajmy zaś tu jeszcze, iż ta Religija wasza mieści i inne prrzymioty, jakie nieodbicie udziałem prawdziwej być winny, a jakich nie stawi żadna. Mamy w niej bowiem: *najprzód*, najwyraźniejsze od początku świata w jednej całości podania; *po-*

wtóre, wykład przyczyny zepsutej natury człowieka; *potrzecie*, prawa na znajomości najskrytszych tajników serca oparte, i jedne które dać mogą prawdziwe (ile tu być może) szczęście.

Powtarzam więc znowu i mówię, że wyższość Chrześcijańskiej Wiary jasno się wzbija nad inne, a prawda ta tak jest silna, iż żaden s prawdziwych Chrześcijan nigdy się nie nawracał na inną, a ku tej Wierze Chrześcijańskiej tylu żydów i tylu pogan biegło, i za jej wyznawanie śmierć wytrzymywało. Równie w godzinę śmierci, któryż kiedy Chrześcijanin, wiodący życie podług swej Wiary przepisów, czuł s tych powodów obawę?

Wahać się nie mogę, mój miły.

Natchnieniem, Chrześcijańskiej tylko właściwém Wierze, jasno oglądam prawdę.

I Religija mego Adolfa, jest odtąd i będzie moją.

LIST X.

Zbigniew do Walerego.

Elin. Wrzesień.

Długo, luby Walery, nie miałeś odemnie listu; byłem ja w rozerwaniu, jakby w obłąkaniu. Długom nie wierzył sam sobie; ale już taić nie chcę; chcę owszem niech wszyscy wiedzą, kocham się, drogi Walery. O gdyby wiedziała płeć owa, co mam za serce w sobie kiedy je miłość pali, ileżby oczu choć zdradnie zapalić je nieraz chciało. Ach, ono nie przestaje na uwielbieniu własném, chce aby wszyscy wielbili. Pierś moja śpiewa, ma ręka pisze, usta me biegą, wołają w około, wołają nawet przesadnie; idą na drogi publiczne i zatrzymują jadących; idą do siebie, w tysiące leją się listów, głós posyłają swój na wschód i na zachód świata.

Tak, ja się kocham. O cóż to za miłe uczucie!.. Kiedy się budzę Walery, budzę się jak na kwiatach, dzień dla mnie będzie rajem. Czyli ją widzieć będę, czy będę myśleć o niej, dzień mi niebiesko upłynie. Tybyś mię teraz nie poznał; niegdyś zimny i obojętny, stałem się jak baranek lękliwy i

czuły, ja kocham każdego kogo tylko spotkam, każdego przyjacielem jestem; każdej uwagi z zajęciem się słucham, do każdej rozmowy rad się przyłączam; jestem łagodny, mowny, przenikliwy, ach, każde swoje do niej powiedziane słowo, każde jej powiedziane do mnie, po tysiąc razy rozbierający. Zdaje mi się, Walery, że się raz pierwszy kocham, to jednak pewna że pierwszy raz na wsi. O, niewiesz co za różnica! każdy krok dany w mieście, miesza ci, rozrywa uczucie. O gdybyś mógł ją widzieć; jest to niewinność wcielona! Ja drżę cały, Walery, kiedy się o jej rękę, o brzeg jej sukni otrę.

Kiedym się kochać zaczął? nie wiem; że od pierwszego razu, być może; to bowiem pamiętam dobrze, że owe przycinki Pani i Panny Malwieckiej, całego mię gniewem wzruszały; ale ta pierwsza chwila co mi dzisiejszą pewność mego uczucia przyniosła, ta pierwsza chwila, ten dzień, miały właśnie miejsce w tymże przycinków domu, lubo w dni kilka poźniej.

List ostatni którym do ciebie pisał, donosił ci podobno o mojej niedzielnej u PP. Lińskich wizycie, gdzie nową znajomość zrobiłem; o wizycie poniedziałkowej u PP. Mal-

wieckich, i wreście o mojém wtorkowém wybieraniu się do Górlina.

Przyjechawszy, zastałem już PP. Lińskich i nowe sąsiadki; był też i P. Rajecki.

Zamężne damy siedziały poważnie; panienki na skromnych krzesłach; jam też przysunął jedno, a po krótkiej związanej słów kilku s kanapą wymianie, całe me obróciłem oko na przedmioty młodszego świata, na miłą poufałość dwóch przyjaciółek nowych. Przyjaciółki były tak grzeczne, że mnie zbliżającego siedzenie małym powitały uśmiechem, jakoby mówiąc: i owszem. I owszem, zdały się mówić, prosiemy do wspólnej rozmowy.

— »Jakże Pan dzień wczorajszy przepędził?« pierwsza przerywając milczenie zapytała P. Melanija, i zapytując lekko się uśmiechnęła.

Co za złośliwa i przebiegła panienka, pomyśliłem; nie wiedziałem co odpowiedzieć.

— Prawdziwie, rzekłem po chwili, tak przepędziłem wczoraj jak tylko dzień poniedziałkowy być przepędzonym może; jest to wprawdzie dzień smutny ze stron bardzo wielu, ten jednak ma miły przymiot, iż rospamiętujemy w nim niedzielę.

— »To Pan dzień cały wczorajszy przepędził u siebie?«

— Owszem, Pani... po obiedzie byłem u PP. Malwieckich. Rospamiętywać lubimy niekoniecznie sami; jeżeli uczucie smutne udzielone drugim smutku nam umniejsza, przeciwnie udzielone miłe pomnaża przyjemność naszą.

— »To mamy o poniedziałku. Słuchaj tylko Anakoanko; P. Zbigniew zawsze czegoś nas nowego nauczy. To mamy o poniedziałku; a jakimże dniem będzie wtorek?«

— Nie wiem jak komu, rzekłem, ale co do mnie, tysiące chwil niebieskich nieraz mi wtorek przynosi.

— »Może dla tego, powie z uśmiechem Panna Rajecka, że w nim rospamiętujemy poniedziałek.«

Co za złośliwe panienki, pomyśliłem znowu; ach mój Walery, jak jednak ta złośliwość była dla mnie miłą. Zapytanie P. Melanii oddychało dobrocią samą, zapytanie Panny Rajeckiej wróżbą mojego szczęścia. W jej żartobliwym uśmiechu, rodzaj zazdrości skrytej jasno wyczytywać się dawał.

— »Panna Leonilda czy zdrowa?« zapyta P. Melanija.

— I dosyć wesoła, rzekłem, jak zawsze.

— »Rzadkiej piękności ma to być panienka?« rzekła P. Rajecka.

— Tak jest, odpowiedziałem, mowią to wszyscy, wiele pochwał posłyszeć można.

— »Zdanie ogólne, rzekła P. Rajecka, rzadko omylném bywa; P. Leonilda zapewne równie jest miła jak ładna, dodała obracając się do towarzyszki, bardzobym chciała poznać ją Melańko.«

Te słowa: równie miła, o P. Leonildzie, jeden prawie cel miały jak zapytanie tejże o białości cery Amerykanki, s tém jednak wszystkiém, Walery, odmienne robiły wrażenie; może to było dla tego, że zarzut P. Anakoany był daleko skrytszy i wyrażony słodziej, może dla tego, iż był słuszniejszy; może też wreście, i to najprędzej, dla tego, że w osobie którą kochamy nigdy prawie nie znajdujemy winy; gdyby P. Leonilda dała mi w czasie reduty podobne wczorajszemu o cerze P. Brygidy, jednej s panienek naszych, pytanie, nie tylko zapewne za złobym go nie wziął, ale owszem, s pobudki śmiechu, miłe by mi było.

Nie miałem jednakże czasu ani myśleć dalej, ani odpowiedzi układać, bo posłyszany turkot odwrócił uwagę naszą, a wbiegający dopiero teraz P. Karol, powiedział nam, ze źle krytą radością i ożywieniem na twarzy, że PP. Malwieccy przyjechali.

Pani Orlińska powstała s kanapy i ustą-

piła miejsca s przymileniem kłaniającej się damie, zapoznawszy ją pierwej z sąsiadkami naszémi. P. Leonilda siadła przy Pannie Rajeckiej na krześle, tuż przy kanapie.

Rozmowa dam poważnych toczyła się żywo, że jednak miałem bliższą, nie mógłbym ci tamtej powtórzyć. P. Karol przystąpił do nas, oczewiście przystąpił dla P. Leonildy, bo też istotnie świetną i ładną była; uczuły to dobrze pierwsze sąsiadki moje. i znacznie na swém miłém straciły weselu. Więcej straciły niżby wypadało, niż było słusznie.

— »Czy prędko też zabawimy się kiedy, jakeśmy się ostatniej bawili reduty?« zapyta przystąpiwszy P. Karol.

— »Chyba za rok« powie P. Leonilda.

— »Teraz tylko wspomnieniem bawić się możemy,«

— »Ach, istotnie rzekła P. Leonilda, teraz właśnie wyjeżdżając, *kiedy mi Kasia wkładała perły* (te słowa rzekła ciszej, odwracając się do P. Melanii) tak mi żywo stanęło wspomnienie, że mi się zdało że na redutę jadę.«

Moje sąsiadki odetchnęły i ożywiły się znacznie.

— »Drogę Panie musiały mieć przykrą? powie po chwili P. Karol, co za wiatr przeraźliwy zerwał się niespodzianie.«

— »Nie czułyśmy w karecie, odpowie P. Leonilda; prawdziwie też najlepiej w karecie jeździć lubię, zimą nie przechodzi zimno, a latem gorąco; *tylko że wysiadając róża się trochę starła*« (rzekła znowu te słowa ciszej obracając się do P. Melanii, i poprawiła różę.)

— »Moja Leosia zawsze rozumuje, powie z ucieszeniem Pani Malwiecka, wiele ją razy przestrzegałam o to, daj pokój mówię Leosiu, mężczyźni na rozum nie patrzą; nic nie pomaga...« mówiła do kanapy P. Malwiecka.

— »Róża! prawdziwie nie uważałem, zawołał P. Karol, róża w tej porze roku i róża tak piękna;« i przystąpił bliżej przypatrując się.

P. Leonilda nic na to nie odpowiedziała; była to róża robiona.

— »Ach, rzecze P. Karol, wszakże to róża udana.... prawdziwie.... nic nas tyle nie dziwi jak sztuka.... tu sztuka przewyższa naturę... (P. Karol sam prawie nie wiedział co mówił) robione kwiaty zawsze nad istotne przenoszę bo *najprzód*, sztuka nas tu zadziwia, *powtóre* że są świeższe, *potrzecie*, że nie więdną.«

— Nie mają jednak zapachu, rzekłem półgłosem, co głównym jest kwiatu przymiotem.

— »O! to pewna, rzekła Panna Rajecka,

że zapach w kwiecie jest jak piękna dusza; nie ma podobno nikogo, któryby kwiaty s tą duszą nie przenosił nad inne choć najozdobniejsze. Jaki też s kwiatów Pan najlepiej lubi?«

— Ja, Pani, ogólnie mówiąc, lubię wszystkie miły mające zapach.... s pomiędzy tych zaś trudno prawdziwie wybrać.... konwalija — za nadto biała; róża — za nadto czerwona; rezeda.... rezeda, nie wiem dla czego, zawsze mi była najmilszą.

Rozmowa o kwiatach na tém się skończyła. Kiedym się w dalszym ciągu bezpośrednim zrobił P. Anakoany sąsiadem, zawiązała się między nami trochę odmienna, trochę już bliższa rozmowa — i mówiliśmy nieraz mniej powszedniémi słowy, bo na nie mniej powszednie wpłynąć musiały koleje; mówiliśmy o dalekiej Ameryce i o bliskiej Europie, o ludziach tej ostatniej i o pustyniach tamtej.

— »Mnie, rzekła P. Rajecka, miło jest bawić zapewne pośród ludzi, oddawna oświeceniem i tak liczną ozdobą słynących, ale jak smutno, Panie, myśl w tę obrócić stronę, iż my urąganiem tylko w sercach tych ludzi jesteśmy.«

— Możeż być, rzekłem, Pani, aby te jasne jak słońce oczy tak mało do serc naszych

wglądały? gdzież jest ten który urąga, abyśmy widzieć go mogli,

— »Nie mogę skarżyć niebu, odpowie młoda Amerykanka, aby mi czyje słowa kiedy zapłakać dały, ale widzimy się z Mamą śród ludów tyle przesądów mających, że się nam zdaje, że na czole naszém wyryte widzą słowo poniżenie. Tu, Panie, aby dobrze widzianą była dziewica, powinna jeśli nie iść ze krwi Książęcej lub Hrabiów, to przynajmniej s krwi pańskiej w długie i dawne bogatej pamiątki; a jakiémże okiem mogą spoglądać na tę, której dziad albo pradziad żył w dzikim stanie śród puszczy, i może odzierał ciała z nieprzyjacielskich czaszek?...«

— Jakież to słowa, przerwałem, tak nas krzywdzące boleśnie! Jeżeli gdzie, Pani, to zapewne u nas, to pośród europejskich ludów, płeć piękna uwielbienie i cześć należną odbiera.

— »Ty przynajmniej Anakoanko, odezwie się Pani Rajecka, zasłyszawszy rozmowy naszej, ty przynajmniej nie masz tu powodów wstydzić się przodków swoich, wszakże idziesz od ojca co synem był kraju tego. Lecz jakbykolwiek być miało, dla czegoż wyrzucasz europejskim ludom że lubią sławę swych przodków; nasze amerykańskie święta czyliż

się kończą kiedy bez tysiącznych śpiewów: o sławie naszych ojcow, i naszych rycerzy? Anakoanko moja! mówiła dalej poruszona wspomnieniem Amerykanka, ty nie jedną pamiętasz treść tych naszych śpiewów, które ci twój ojciec na twój dzisiejszy język przełożył; powiedzże nam z nich którą, wszak może tu pozwolą, może dalekim wygnańcom nie odmówią tej słodkiej pociechy. Dla nas, dodała, słowa budzące pamięć dalekiej rodzinnej ziemi, zdają się nas na chwilę w ziemię tę przenosić, i nieokreślonego uczucia łzy wyciskają nam z oczu.«

Tu jednogłośnie towarzystwo całe tysiącem próśb zawołało; zaklinaliśmy wszyscy Amerykankę młodą, aby nam jaką s powieści swych słyszeć dała.

Panna Rajecka pomyśliła trochę, potém zabrała głós i amerykańską deklamowała powieść.

Treścią powieści tej była bohatyrska wyprawa jednego z Iroków, waleczne odzieranie i śmierć męczeńska.

Panna Rajecka deklamowała ładnie, wszyscy się odezwali tysiącem oklasków, w tysiące zabrzmieli pochwał; ale czy mi się zdało, czy oczy Anakoany najczęściej zwracały się ku mnie, i jakby mego szukały przed in-

némi zdania. Sądzisz zapewne, Walery, że zapalony poezii pięknej miłośnik, musiałem równie szalonym odezwać się oklaskiem; ale mamże powiedzieć prawdę? Ta piękna Amerykanki deklamacija, pomieszane mi wlewała uczucie; piękna była pięknością swoją, ale mnie tém gniewała, iż w narowistém mém sercu odejmowała deklamatorce wdzięku. Jak nic kobiecego w mężczyźnie, tak nic męskiego w kobiecie podobać się nam nie może. Kobieta nas nie ujmie ani jeżdżeniem konno, ani wywijaniem pałasza.

Tu mię zapewne spytasz, jakie kłaść można granice temu co ściśle męskiém i temu co żeńskiém mienimy? frak, kamizelka, surdut, powiesz mi zapewne, właściwe są oczewiście w całej Europie mężczyznom; suknie i gorsety kobietom; ale dla czegoż inne utwory albo sztuki ludzkie, dla czego *np.* śpiew, deklamacija, muzyka, jednej płci tylko mają być udziałem? Trudna zaiste odpowiedź, bo tu zapewne, jak wszędzie, pierwszym jest sędzią narów. Nie obraża to oka Turka gdy pali fajkę Turczynka; Mexykanki giną z roskoszy gdy w kłębach dymu z ust kawalera walcują; my jednakże w kobiecie która pali fajkę cóś bardzo męskiego widzimy. Podług powszechnej miary widzenia i czucia, skro-

mność zaletę kobiet, odwaga i wszelka dzielność zaletę mężczyzn stanowi; przymioty więc s pierwszej idące są ozdobą płci pięknej, przymioty idące z drugiej są ozdobą płci naszej; giętka, nieśmiała postać, słodki i cichy dźwięk głosu, oczy mówiące a skromne, oto kobiece oręże; kóń, pałasz, wszelka dzielność umysłu lub ciała, a stąd i popis publiczny, są bardziej własnością mężczyzny. Deklamacija zaś nie jestże popis?... A śpiew? a granie? zapytasz, czyli także mężczyzny mają być tylko udziałem? Nie rzekę tego, to pewna, bo już inaczej widzimy; biegłe owpszem pokonywanie tak sztuki grania jak śpiewu, zachwyca nas i unosi! może to nam dla tego, Walery, właściwszém się być wydaje, że w nich widzimy w działaniu oddech tylko prawie i ręce, a nie głós mowy zwyczajny, którybyśmy nieśmiałością jedynie widzieć pragnęli tchnący. Jak mało te kobiety poznały serce męskie, które dowcipu błyskiem, wyliczaniem swych przygód, swoich wiadomości, zyskiwać je sobie mniemają! Jest to człowiecza słabość, że wedle swoich własnych i obce pojmuje sądy. Istotnie bowiem, niezwykłe przygody ciała, niezwykłe przymioty duszy, są pierwszém sidłem kobiecego serca. Znały dobrze tę prawdę genijusze — kre-

ślący miłości dzieje. Opowiadaniem swych przygód, Eneasz wkrada się do serca Dydony; opowiadaniem swych przygód, Otello podbija Desdemony serce; opowiadaniem, Walter, Aldony. Lecz jeśli do serc kobiecych wkrada się nieraz miłość prosto przez władzę słuchu, do serc męskich przeciwnie, zawsze i jedynie przez oczy. Budzi się ona w kobiecie słuchaniem wdzięcznej mowy, widokiem rozwijających się zalet; ale w sercu mężczyzny budzi się tylko spójrzeniem. Siedząc ukryty w kącie, oko utkwione mając w milczące piękności rysy, coraz mocniej uczuwa ich władzę, coraz silniejszy niepokój. Niech mię zachowa niebo, Walery, abym jedynie ciało w istocie kobiecej cenił, o! dusza jest naszej przedmiotem miłości, ale dusza skromna, milcząca i w rysach twarzy odbita. Wymagamy zbyt wiele, to pewna; chcemy aby kobieta wiedziała, umiała wszystko, lecz aby nie mówiła nam o tém; chcemy by nie błyszczała wiadomościami swémi, i by się nie zdradziła z swą niewiadomością.

Z resztą, drogi Walery, nie obmawiam, nie krzywdzę nikogo; ile ludzi, jakem ci niegdyś pisał, tyle odmiennych umysłów: każde więc zdanie moje, może być niczyjém więcej jak mojém.

Ja ci tylko w mym liście objawiam swoje, dzisiejsze.

Kiedy Panna Rajecka deklamowała swe wiersze, Panna Leonilda z ograniczoném spoglądała na nią zdziwieniem; P. Melanija słuchała z upodobaniem, roskoszą. Owoż P. Melaniaja była mi najmilszą w tej chwili, zdało się bowiem wtedy, że mogła mieścić równy mówiącej talent, tylko że go trzymała w ukryciu.

Ale w pięknež to zdobię uwagi list o mém lubém donosić ci mający uczuciu. Daruj Anakoano! cóżem to uczynił?... ujęciu wdziękom twoim poświęcam stronicy całe. Tak to luby Walery, chwila gniewnego uczucia nie może się zapomnieć, w tysiące się myśli rospładnia.

Coż jednak więcej wypiszę z owego lubego wieczoru? nie chcę już nic o nim dodawać za pokutę godatliwości mojej; powiem tylko że był roskoszny, żem powróciwszy długo nie zmrużył oka.

Pani Karista Rajecka rzadkiego jest rozsądku kobieta; za nadto jednak jest skryta, więcej się lubi pytać niżli odpowiadać; wypytuje się mnie o wszystkiém, o szczegółach języka, literatury, nauk; sądzę że nie mnie jednego o to zapytuje.

Kiedyśmy się żegnali, powiedziała mi Pani

Rajecka, że nic się jej w Europie nie podoba yle, jak częste towarzyskie zbierania się i zabawy; widok tylu rozmaitych ludzi razem z sobą połączonych, bawi nas, rzekła, i razem naucza. Dodała: że w tę niedzielę będzie u Pani Malwieckiej, a że na tamtą P. Karol zapraszał na imieniny matki.

Co za miłe nowiny, pomyśliłem, będę więc czekał niedziel.

Pierwsza nadeszła prędko. Natychmiast po obiedzie przybywszy do PP. Malwieckich, znalazłem już P. Karola. Samej Pani Hrabiny nie było.. P. Karol siedział ciągle przy P. Leonildzie. Był nawet na obiedzie; Pani Malwiecka rosła.

Zaraz po moim przyjezdzie kilka zjechało się osób, ale PP. Lińskich i Amerynanek jeszcze nie było. Mijały chwile, godziny, i jeszcze nie przyjeżdżali! Nareście zniżyło się słońce.

— O której być mieli? zapytałem P. Karola.

— »O piątej albo o szóstej.«

— Albo o szóstej, rzekłem, to jeszcze być mogą.

Odpowiedziałem to spokojnie, bardzo spokojnie nawet, ale widziały duchy co za spokojność to była. Jam nie mógł podzielać zabaw,

jam nie mógł dzielić rozmowy, tylkom wynajdywał potrzeby i ciągle spoglądał w okno. To ten, to ów mię zaczepiał, wciągał w rozmowę i śmiał się. Co za nieznośni ludzie! jakbym ja władzę mowy na to miał sobie daną, by ją bez celu zużywać! Każde mniej zwykłe słówko nie odbite o miłe ucho, gorzkim się opłaciło ściśnieniem.

Spójrzałem na zegarek; po szóstej!... usiedzieć dalej nie mogłem, rzuciłem ludzi, wyszedłem. Wyszedłem i spoglądałem ku drodze co do Doliny wiodła. Patrzyłem długo i nareściem ujrzał... ujrzałem iż cóś czerniało w oddali... Serce mi mocno zabiło, patrzące oko zadrżało; o ja rozumiem, rzekłem do siebie, ludzkich porządek rzeczy; zawsze przed wywyższeniem przebyć poniżenie musimy; im większa nastąpić ma radość, tym dotkliwszy poprzedzi ją smutek; i wyszedłem za bramę i zawiedziony nie byłem; istotnie był to pojazd, który już z za ostatnich drzew się wydostawał; zginął potém, i potém wysunął się znowu. Wysunął mi się po przed same oczy; i postrzegłem w nim... kogóż postrzegłem?... Żyda!.. Teraz to niby żarty Walery, lecz nie tak to wtedy było. O, co za żyd przeklęty! myśliłem, jego szczęście że próżną mam rękę; jakie rysy ma nędzne, jakie nieznośne oczy!..

Chciałem go zatrzymać i łajać. Długo chodziłem, zaszedłem daleko, i musiałem powrócić nareście. Już była siódma; jam już nie miał najmniejszej nadziei, a jednak na każdy turkot, na każdy najmniejszy szelest, oglądałem się drżenia pełen, i ku drodze patrzyłem długo. O wtenczas tom, mój Walery, moje uczucie poznał, w tenczas to po raz pierwszy musiałem wyznać, że kocham. Przeminął dzień i wieczór, a PP. Linskich i Pani Rajeckiej nie było. Jakiż to okrutny był wieczór; o! gdyby była choć P. Melanija, połowaby smutku zginęła; ona już nas rozumie, ona tak dobrą jest dla nas; gdybym mógł z nią rozmawiać, połowę czułbym roskoszy. P. Leonilda prześladowała mię także smutkiem, ale w minutę dla uleczenia jego coś trafnie powiedzieć umiała. To, przyrównywała do nosa; to, do ust; a to, do twarzy P. Anakoany.

Na chwilę rozerwał nudę jakiś młody jegomość s czerwonym kołnierzem, był to s którejś guberskiej kancellarii wysyłany umyślny s pakietem i poleceniem na powiat.

— »Bardzo wesoło bawimy się, mówił, w mieście, Pan Gubernator bardzo dobry człowiek. Dwa razy na tydzień bywa w mieście teatr, i w sobotę reduta. Właśnie była za-

wczoraj, i ja byłem, choć nie tańcuję; nacisnęło się wiele osób, i jam się między nimi patrząc na tańcujących znajdował. *Między tym*, oglądam się, aż Pan Gubernator tuż za mną stoi; chciałem ustąpić prędko, ale Pan Gubernator zatrzymał mię i rzekł: »nieuważaj.«—»Nieuważaj, nieuważaj,« (powtarzał te słowa z niemogącą się ukryć młody jegomość radością) »nieuważaj!.. mówi do mnie Pan Gubernator, nieuważaj,«

Ten jegomość był całą dla mnie rozrywką. Wyjechałem zdaje mi się najwcześniej.

Noc mi przeszła niesmaczno. Czekałem następnej niedzieli. Lecz nie tak to było łatwo... Dnie biegły jak tygodnie... Przebyłem poniedziałek, przebyłem wtorek; prawdziwie nie wytrzymam dłużej, pomyśliłem — pojadę do PP. Rajeckich.

Pojechać? to zdało mi się zrazu niepodobném wcale, dalej tylko dziwaczném, dalej złém niekoniecznie, i nareście przechodząc przez stopnie, zdało mi się nawet najlepszém. O jak często znamy te chwile, w których niepodobny do skutku zamiar obejmie razem myśl naszą, męczy ją, w niej się rozradza, i rzecz w odmienném podług naszej woli wyobraża nam świetle, nim wreście albo się skutkiem uwieńczy, albo za dowód tylko

chwilowego obłąkania stanie. Męczyła mię myśl do obiadu; po obiedzie musiałem już cóś począć, kazałem przybierać pojazd, a tym czasem chodząc myśliłem; już zawołałem woźnicę chcąc kazać zaprzęgać konie, ale gdy wszedł po roskazy, co innego mu powiedziałem. Kazałem jednak potém. Bo i dla czegoż nie miałbym kazać? wszak znam dobrze P. Rajeckiego i jego kuzynki; nie byłem ani razu, to prawda, ale wszak trzeba być kiedyś raz pierwszy; cóż mi szkodzi pojechać, pomyśliłem; a kończąc myśleć lękałem się aby nie zaszły konie.

Zaszły jednak, i pojechałem.

Ujechałem był znacznie od domu, kiedy wątpliwość znowu mię ogarnęła. Cóż ja to czynię? myśliłem, nieproszony i nieżądany, na wpół ledwie znajomy, narzucam się do czyjegoś domu? Z jakiémże licem wejdę i z jakiém będę się bawił? Któż wie nawet czy wejdę?... P. Rajecki czy przyjmuje u siebie kogo? Czy nawet jest u siebie? Może chory?... Dla czegoż nie byliby wczoraj?.. Te uwagi, i dalsze jeszcze, narzuciły się na mnie tak tłumnie, i s takiém uderzały mnie przekonaniem, i tak się stawały tłumniejsze coraz i coraz silniejsze w miarę zbliżania się mego, iż kiedym już dóm zobaczył i bramę do któ-

rejm miał wjeżdżać, kazałem się zatrzymać i zawróciłem nazad.

Przyjechałem do domu, ale nie na tém koniec. Śmiać się będziesz, Walery, ale ten śmiech twój gniewać mię nie będzie. Dla was nad *pandectami* i *digestami* zgiętych, uczucie dzisiejszych ludzi równie wam jak własne nieznane. Znacie uczone kary *Cremanich* i *Feuerbachów*, a nie badacie tych, jakie kochane zadać nam mogą oczy. Ach mogą zadać okrutne! Pamiętam, i czuję to dobrze.

Powrót do domu mnie nie uspokoił. Myśl obrócona długo do nadziei widzenia jej dzisiaj, niezwykle mém sercem miotała. Musiałem szukać rozrywki. Mam zwyczaj dnia każdego przejeżdżać się konno, zawołałem więc znowu, i dla rozerwania siebie konia osiodłać kazałem.

Kiedym go miał już pod sobą, obróciłem go ku Dolinie, w tę stronę najczęściej jeżdżę; jechałem zwolna, jednakże w parę minut byłem już blisko Doliny. Wypadała mi wracać nazad, mimowolnie przecie lubo powoli posuwałem się coraz dalej, i właśniem już był w gaiku dotykającym prawie mieszkalnych domów Doliny, kiedy powstał z zadrzewa i zbliżył się ku mnie jakiś poważny staruszek.

Był to sam P. Rajecki.

— »A! co widzę? Pan Zbigniew! Cóż tu porabia?« zawoła uprzejmym głosem.

Sądzisz Walery żem się może zmieszał, owszem, w podobnych razach prędką odpowiedź mamy. Każdy złowiony na uczynku przestępca, bez przygotowania prędką odpowiedź daje, jakkolwiek ta odpowiedź nie zawsze jest bliską prawdy. Dziwna to, mianowicie w lekkich przewinieniach. To czemu jesteśmy winni wydaje się nam najgorszém. W jednym pokoju, pamiętam, siedziało dwóch młodych chłopców; jeden i drugi siedział pode drzwiami, i każdy miał oddzielną wyciągniętą przed sobą szufladę, ale jeden przeglądał listy w szufladzie będące, drugi zaś podsłuchiwał o czém za drzwiami mówią; w tém nagle i w jednym czasie oboje drzwi się otwarły, i razem obu, co tu robicie? spytano. Obydwa prędką dali odpowiedź, ale ten który przeglądał listy: »słuchałem, co tam gadacie?« rumieniąc się trochę powie; ten zaś który podsłuchiwał: »przeglądałem te listy« rzecze. Owoż w podobnym i ja byłem razie; gdybym zagnany za źwierzem, wbiegł był na cudze obręby, i złowiony pod obcym domem, co tu porabiam? był zapytany, odpowiedziałbym pewnie, że miałem zamiar uszanowanie

moje mimojazdem złożyć; lecz oto gdy P. Rajecki zastawszy mię niespodzianie, co tu porabiam ? zapytał, — Zagnałem się za zającem, — kłaniając się rzekłem.

— »Za zającem? żarciki! chyba na dwóch nóżkach, rzecze wesoło P. Rajecki, wszak jeśli się nie mylę i strzelbeczki na ramieniu nie ma.«

— Tak jest, odpowiem trochę zmieszany, prawdziwie nie zabijać, odkryć tylko chciałem schronienie. P. Rajecki, jestem pewny, niczego się nie domyślał, lubo nie wierzył słowom. Wyjechałem był tylko dla przejażdżki, dodałem, mówiąc tą razą zdaje mi się prawdę, przypadek aż tu mię zapędził; i to powiedziawszy, przepraszając żegnałem staruszka i zawracałem konia.

— »Czy można? Czy to się godzi? zawołała złoty staruszek, być pod ścianami domu, a do środka nie wstąpić; powrót nie bliski, koń zadyszany, o, za nic, za nic nie puszczę.«

— Prawdziwie Panie, rzekłem broniąc się słabo, prawdziwie czuję mocno niegrzeczność postępku mego, ale nie mając nigdy szczęścia być w domu Jego.. a do tego, ten ubiór podróżny...

— »Ech! fraszki! żadnych ceremonij, bo zabierzemy gwałtem,« powie z uśmiechem ko-

chany staruszek; i przymusiwszy mię zsiąść s konia, wiódł mię trzymając za rękę do mieszkalnego domu.

— »Czyliż to ładnie, mówił, nie odwiedzić dotychczas swojego sąsiada; nam starym ludziom to już wybaczono; ale w tak młodym wieku, co tylko jeździć, żeby tych kilku wiorstek nie chcieć się dotąd potrudzić, to prawdziwie do nieodpuszczenia; o żebyś wiedział, Panie Zbigniewie, ileśmy to razy s twym ojcem prosto tędy samémi przebiegali do siebie nogami!.

— Nie śmiałem... rzekłem.

— »Nie śmiałeś, przerwał, ha! może się lękasz moich kuzynek nowych? fraszki! Amerykanki, to prawda, ale poznaj tylko bliżej, a wkrótce się oswoisz. Co do mnie, to od pierwszego dnia przewykłem; a do tego, wierz mi, dobre Chrześcijanki; choć i Anakoanka; och! Anakoanka, rzadka to dzieweczka, poznaj tylko bliżej, obaczysz.«

Chciałem objąć, całować i ściskać staruszka, alem był przymuszony zimne tylko i wpół niby tylko wierzące odpowiadać słowa; tym czasem postępowaliśmy szybko, a jam był coraz mocniej wzruszony.

Kóń postępował za nami. I przyszliśmy wreście.

Minąwszy pierwszy pokój, znaleźliśmy w drugim obie gospodynie domu, Amerykanki. Karista czytała książkę, córka jej wyszywała w krosienkach.

— »Przyprowadzam wam, moje kuzynki, powie z uśmiechem P. Rajecki, młodego myśliwca, naszego sąsiada, zagnał się był za źwierzem aż w nasze gaiki, aleśmy nawzajem kawalera schwytali, jest to syn przyjaciela mojego, Pan Zbigniew Y... którego już trochę znacie, i którego bliżej teraz waszej znajomości polecam.« Ucałowałem z uszanowaniem rękę Karisty, potém ucałowałem rękę Panny Rajeckiej, i czyli mi się zdało, czy lekkie uczułem ściśnienie.

— »Jakże przeszedł dzień wczorajszy?« zapytała Pani Rajecka, kiedym już usiadł na krześle.

— Ach, Pani Dobrodziko, rzekłem zapominając się, dziękuję niebu że już przeszedł.

— »Dla czegoż to?« zapytała ze zdziwieniem Pani Rajecka. A na twarzy jej córki wyszywającej w krosienkach, lekki postrzegłem rumieniec.

— Prawdziwie, rzekłem, chcąc się poprawić i udając uśmiech, dalej będziemy musieli znowu we wpływy gwiazd wierzyć; dzień pod złą gwiazdą zaczęty pełny być musi nieszczęść,

skoro się zaczną zrana, nie odstępują nas do końca wieczora.

— »Czyli to mamy wpływowi gwiazd przypisać, niewiem, odpowie Pani Rajecka; to wszakże pewna, że dnie jedne nie są dnióm drugim równe; uważałam to nie raz na sobie i nieraz na drugich; dziś, naprzykład, jedna panienka jest tąż samą osobą co wczoraj, jednak dzisiaj jest milszą, piękniejszą, zapytana trafniej odpowie, usiadłszy do fortepianu harmonijniej zagra, i czyściej niż zawsze zaśpiewa; jutro odmienny obraz, po jutrze znowu dawniejszy. O! prawdziwie nieraz myśliłam nad tém, dla czego ta niejedność w błyskaniu nawet talentu tak jest każdemu właściwa, i dla czego nie znajdujemy jednej na ziemi istoty, równie czarnej jak białej, równie we złocie jak w nędzy, któraby ciągle odmiennych wesela i przykrości nie doznawała skutków? dla czego nikt od razu pragnionego nie osiągnie celu? dla czego nim napiszemy słowo, wprzódy kilka innych przemazać musimy? dla czego wreście nam dano, napisać je i tylko przemazać?... jak trafne właśnie teraz uderzyły mię księgi tej słowa.

»Piekło z niebem łańcuch wije,
»Na tej wadze stoi świat.« *).

---

*) Brodziński.

O! to pewna, rzekłem, że nieraz po niebie piekło, i nieraz po dniu piekła dzień nieba nam następuje. (Nie miałem odwagi ku krosienkom spójrzeć).

— »W samych dziełach geniuszu, mówiła dalej szanowna Amerykanka, jakież to postrzegamy zmiany; nie mamy podobno pisma, któreby kilku wad znacznych po każdej karcie nie miało; jest to zapewne inne już pytanie, mające związek z ludzkich utworów słabością; s tém wszystkiém, do jednego początku zda mi się to wszystko należeć.«

— Do niedoskonałości ludzkiej, to pewna; wyznać jednak musimy, że ta niedoskonałość zgadza się nieraz z upodobaniem naszém, i nową nam sprawia przyjemność; jako przy brzydkiej twarzy lepiej wydaje się ładna; tak myśl dowcipna pisarza, piękny jej obrót, milej nas uderzy, gdy następuje po kilku suchych, nic nieznaczących, nierównych; dzieło od początku do końca ciągłym natkane dowcipem, byłoby równie męczące dla myśli, jak jest dla oka taniec młodego tancerza silącego się na same i ciągłe powietrzne kroki, albo dla ucha styl młodego pisarza z samych wykrzykników, powtarzań, lub innych krasomówskich złożonego postaci. Nie podobna być ciągle wybornym. Szukać, powiada

sam Bajron, doskonałej bez przerwy poezii, jest to to samo co szukać nieba nieprzerwanémi gwiazdy okrytego; a ów od mężów smaku przytaczany dystych:

»Matho chce zawsze mówić pięknie, mów niekiedy
»Pięknie, niekiedy miernie, niekiedy najgorzej.« *)

dalej się jeszcze posuwa.

— »To prawda że zbyt daleko, nazbyt zgodnie z naturą ludzką, nie zupełnie jednak przeciwko temu mówiłam; w dziele wielkiem nie pragnę ciągłego dowcipu, dziwiłam się tylko iż zdaje się to własnością być wielkich geniuszów (a zatém najpierwszych z ludzi), aby, jeśli się wyżej nad wszystkich wznoszą, o kilka wierszy niżej od wszystkich spadali; to przecie jest los Homera, Szekspira, i tylu innych aż do naszych czasów, jak to już przedemną nieraz postrzeżono.«

— Może być jednak, rzekłem, iż to co się nam widzi wadą nie jest koniecznie wadą, i wątpić wreście możemy, czyli to czyny ludzkie są niedoskonałe, czyli też tylko sąd o nich.

*) »Matho vult semper bene dicere, dic aliquando
»Et bene, dic neutrum, dic aliquando male.«

— »W jednym i drugim razie, odpowie Amerykanka, zawsze to ludzie są niedoskonali, i zdaje mi się że sąd ich nie jest tu pierwszym przestępcą, owszem, są takie wypadki, że sąd nasz jest namiętnością ślepy, i prędzej wady za przymioty jak przymioty za wady biorący; czujemy to nieraz w czytaniu ulubionych i wsławionych pisarzy, i mówiąc od dalszych do bliżej nas jeszcze dotykających rzeczy, — dodała Pani Rajecka po krótkiem zamyśleniu się z uśmiechem, — mówiąc o bliższych uczuciach; mąż mój, jak człowiek, zapewne mieć musi i mieć musiał swoje słabości i wady, a jednak pamiętam te dnie piękne, kiedy mi się najwyższą we wszystkiem doskonałością być zdawał. O nie! wady i niedokonałości człowieka nie są to skutki sądu «

Rozmowa s pewnej strony zdawała się nazbyt delikatną, przychodziliśmy do sądu o osobach w których się kochamy, do wad ich na które jesteśmy ślepi.

— Otoż więc, rzekłem z uśmiechem, jak daleko dzień nas wczorajszy i jego gwiazda zawiodły,

— »Co do mnie; odpowie Pani Rajecka, nie wiem do jakiego rzędu mam go odnieść, bo jeślim pozbawiona była przyjemności by-

cia w sąsiedzkim domu, to miałam drugą z widzenia sąsiadów u siebie; dwa, trzy domy były tak dobre iż odwiedziły nas wczoraj, i wesoło czas nam upłynął. Nieprawdaż Anakoanko?«

— »Zabawy Europejczyków, mówiła dalej Pani Rajecka, różnią się bardzo od naszych; lubo i u nas bywają także niekiedy towarzyskie zebrania, rozmowy, a nawet tańce. Równie nasz *taniec rycerski* jak i inne rzadsze, nam znane, wiele ustąpić muszą tutejszym, tak co do rozrywki w nim uczestniczących, jak co do wdzięku dla widzów.«

— Jakże też, rzekłem, trafiają Pani do smaku tańce naszej stronie właściwe?

— »Tańce polskie, odpowie Pani Rajecka, trzymają, zdaniem mojém, jedno z miejsc pierwszych między tańcami Europy, a podług zdania mojej Anakoanki, pierwsze. Polonez jest tańcem Królów. Krakowiak jest to francuski kadryll, z dodatkiem tylko żywości właściwej pragnącym tańca. Mazur jest tańcem tańców. Dopóki będą trwać ludzie, a w nich zabawy towarzyskiej miłość, dopóty taniec mazur będzie ulubieńcem serc młodych. Mieści on w sobie wszystkie przymioty obce i do nich dodaje własne. Mazur, mówiła dalej Amerykanka Karista, jest naprzemian solowym i ogólnym; nierównym, ożywionym,

spokojnym; ma on tę miłą swobodę że w nim odpoczynek jest wolny, a odpoczynek ten nadto jest ożywienia pełnym: figury bowiem mieszające pary i wybór siedzących osób ciągnące za sobą, ciekawą ciągle uwagą i miłém zajęciem bawią. Figury mazurka, s tej strony, i dla siedzących widzów wdzięk niosą nieporównany. Lecz co najwięcej pociąga i siedzące zachwyca oko, to owa samotna para, z otwartą figurą, swobodnym krokiem, zawsze rozmaitym, postępująca. Para idąca w mazurku, wydaje się jak para rycerzy dawnego rzymskiego cyrku, kiedy w około naciśnieni widze otwarte usta i zadziwione oczy trzymali; para idąca w mazurku, wydaje się jak dwa bóstwa, kiedy po olimpijskich obłokach, przy oklasku bogów i bogiń, przelatywały z uśmiechem i wdziękiem; para idąca w mazurku, roskoszną jest dla myśli, otwarta dla oka, wszystkie wdzięki postaci widzom przedstawiająca; ani przynosi ona tyle kręcenia i męki jak para idąca w walcu, która mniej przyzwoicie dwa połączywszy ciała, sam tylko widok pleców zebranemu gronu przedstawia.« Pani Rajecka dodała, że lubo wczoraj tańców mieć u siebie nie mogła, lecz wiele jej nowej rozrywki widziane gry towarzyskie przyniosły. Każda prawie uży-

wana tu gra, mówiła, ma za cel wprawę przytomności umysłu i rozwijanie dowcipu; i weźmy naprzykład najprostszą na pozór, *całą gotowalnią*: osoba błądząca umysłem podlega karze, a kara ta kosztem dowcipu okupioną będzie.

— Grano więc wczoraj w gotowalnią? zapytałem.

— »Grano« odpowiedziały razem Pani i Panna Rajecka.

— Każda podobno osoba przybiera w tej grze jakieś nazwisko?

— »Tak jest, odpowie Panna Rajecka, nadaje sobie imie jakiej obranej rzeczy.«

— Nie mogęż naprzykład wiedzieć czém była Pani? zapytałem z uśmiechem.

Panna Rajecka nic nie odpowiedziała.

— »Czém byłaś? pyta się Pan Zbigniew,« zapytała się głośniej Pani Rajecka.

— »Rezedą« odpowie scicha Anakoana.

Rezedą! pomyśliłem w uniesieniu, kwiatem który najwięcej lubię i o czém mówiłem przed nią. Rezedą! powtórzyłem w myśli, a ta myśl paliła mi lice, mieszała rozum. Rezedą! rezedą! powtarzałem w sobie i chciałem się zerwać z krzesła, i biedz *jej* stopy całować, i tarzać się po tej ziemi co się *jej* stóp dotykała. O! jeśli w życiu naszém są

chwile szczęśliwe, to owe, owe nad inne, w których najpierwszy dowód wzajemnego uczucia widzimy. Chciałem udać spokojność, ale udawać nie mogłem; powstałem i przybliżałem się zwolna do pracującej w krosienkach. O jakież było nowe zachwycenie moje, gdym na robotę spójrzawszy, nie jeden tam kwiatek wyszytej rezedy znalazł! Co za szczęście niebieskie serce me objęło! przy tych krosienkach stałbym do końca życia. Niechby mi w owej chwili wszelkie zadano męki, niechby mię pozbawiono władzy mówienia i wzroku, niechby mi czaszkę zdarto i obcięto ręce, a niechby mi zostawiono serce i owe uczucie, — wyzywałbym jeszcze wszystkich, gdzie jest szczęśliwszy? pytając.

O mój Walery! ty mnie masz za szaleńca; ale już rzekłem: przebaczam ci.

Minęły jednak chwile, musiałem odstąpić krosienek, a dalej pożegnać wszystkich; widziało niebo jakem żegnać nie chciał; uwoziłem jednakże z sobą dwa wielkie uczucia szczęścia, pamięć obecnych wrażeń i oczekiwanie podobnych. Kiedym się żegnał, ściśnienie ręki wyraźniejsze było; odpowiedziałem podobném.

Wróciłem pełen szczęścia i roskosznych myśli.

Bądź zdrów, kochany Walery, pisuj do mnie najczęściej; obyś mógł kiedy donieść o szczęściu swojém prawdziwém.

LIST XI.

Zbigniew do Walerego.

Elin. Październik.

Po dniach nieba, mówiłem, dnie następują piekła, jednakże dla mnie nie nastąpiły jeszcze. Czyliż i nie nastąpią?.. O mój Walery! one nastąpią i wkrótce, potrzeby nieodbite do Minogrodu mię zowią; jedyna pociecha dla mnie że się tam ujrzę z Henrykiem. Tymczasem chcę ci opisać wieczór ostatnich imienin, chcę to powiadam szczerze, czy jednak potrafię, nie wiem. Możemyż to opisywać czegośmy nie widzieli, opowiadać to czegośmy nie słyszeli? Jam prócz jej oczu niczego nie widział, oprócz jej słów żadnych nie pamiętam. Wiem tylko, że było zebranie liczne, że było światła mnóstwo, że była muzyka, tańce. Kiedym przyjechał, już zastałem wszystkich, a trafem nieocenionym znalazłem się wkrótce tuż przy niej, wolne siedzenie

przy jej siedzeniu zajmując. Śród tylu zimnych ludzi, nie mogłem się witać jak chciałem, nie mogłem ust mych do jej przycisnąć ręki; oczy nasze spotkały się tylko; co za spotkanie, Walery! splątały się ich promienie, dusza utkwiła się w duszy, a serca w upojeniu ledwie nie zatrzymały bicia. Patrzenie samo zdradzićby nas mogło, nie jest w uczuciu kobiety odkrywać wyraźnie swą słabość, widziałem jej spadające oczy, i musiałem je zwracać — rozmową. O jakaż jest różnica wieczorów tłumnych od pojedyńczych zebrań, wieczory owe są pierwszą roskoszą i życiem miłości; nikt nas tu nie słucha, nikogo nie obchodzimy, rozmowa dwóch młodych osób jest tu nawet zaletą a nie podejrzeniem. Mówimy co chcemy, mówimy dopóki chcemy, zdaje się nam żeśmy sami. Zaczęto tańce. W pierwszym tańcu, którym z nią tańcował, nie uważałem na nic, bawiłem się tylko rozmową; w drugim, którym tańcował s kim innym, na same tylko przeciwnie uważałem zmiany. Cóż więc mam opisywać? ciągle było to samo, wiadomość rozmowy naszej nikogoby nie zajęła. Raz wygrałem zakład, szukając tylko zręczności; dowodziłem iż pewien jegomość, który wystąpił w tańcu, pewnie ją wybierze; ona utrzymywała przeciwnie,

poszliśmy więc o zakład, o co? o wstążeczkę; jegomość wybrał, a ja wstążeczkę wygrałem. Miałem jeszcze zdarzenie o którém także pamiętam; powiedziałem już żem nic nie widział, na nikogom nie zważał do koła, jeżelim wybierał kogo to tylko s przypadku, kto bliżej, i machinalnie, cóś nieraz grzecznego mówiąc. Ostatni już był taniec, tańcowałem go s Panną Rajecką, kiedy jakaś panienka kłania mi się i wybiera do pary, potém zaś cisnąc mi lekko rękę »już blisko« scicha i czule rzecze. Co? rzekłem, wpatrując się w nią zdziwiony. — »Już bliski koniec wieczoru« — rzekła na pół z westchnieniem, jakby mię nagradzając wyznaniem za długo okazywaną czułość. Nic tego nie rozumiałem, a wróciwszy do krzesła opowiedziałem treść mojej tancerce, która mi ze swej strony odpowiedziała z uśmiechem, że się bardzo dziwi jeśli nie poznaję panienki, którą trzy razy raz poraz do figury wybierałem. To się przytrafia. Przypadki świata są znane. Najmniej przenikliwa kobieta, mówią, natychmiast rospoznać może jeśli nią kto zajęty; najdowcipniejsza jednak skądinąd, nieraz oszukać się może, zajęcie się przypadkowe, pozorne, wziąść za umyślne, istotne.

Wszystko mija, i ten przeminął wieczór.

Zaraz nazajutrz rano chciałem jechać dla odebrania zakładu, powstrzymałem się jednak aż do poobiedzia, powstrzymałem się potém i przez poobiedzie, i pojechałem — aż na dzień drugi. Zdało mi się żem w ten sposób zgrał rolę obojętnego; w okolicy jednak natychmiast liczne robiono wnioski. W Dolinie, toż czułe przywitanie się, toż czułe pożegnanie, wygrany zakład odebrałem, a wyobraź me zachwycenie, kiedym na wręczonej mi ukradkiem wstążeczce znalazł wyszyte imie »Anakoana.« Ale mamże tu wyznać, Walery, mamże nie skrywać grubej niewdzięczności serc naszych? Jeżeli wart jest prorok za sprawdzenie zgubnych swych przepowiedni kary, o, długiej męki wart ów charakterysta który pierwszy wyrzekł, że każdy względ udzielony przez kobietę mężczyźnie, oziębia miłość tego ostatniego. Tak jednak jest istotnie, przynajmniej bardzo często. Częste ściskanie ręki i wyszycie paska, zaczyna mię nasycać, omamienie niszczyć. Mamże ci jeszcze powiedzieć? Nieraz mnie dziwacznemu wydaje się w chwilach tych przerwy, że nie w czarném ale błękitném oku silnie mi się kochać należy; pomysł doskonałej, którą sobie tworzę, piękności, jest zawsze z błękitném okiem. Ale to wszystko są chwilowe myśli; zawsze się

kocham i drżę na wspomnienie drogi; los mój zależeć będzie od ostatniego z Minogrodu listu. Bądź zdrów.

LIST XII.

Zbigniew do Walerego.

Minogród. Listopad.

Zaledwie kilka godzin jakem tu stanął, a już czuję konieczną pisania ci listu potrzebę. Poczta odchodzi, więc śpieszę. Nigdziem tu jeszcze nie był, nawet u Henryka; pierwszą wjechawszy do miasta bez wyboru nająłem kwaterę, dałyby nieba aby nie na długo. Już nie sądziłem na wsi że wyjazd potrzebny mój będzie, kiedy mię list niespodziany do najprędzego wyjazdu znaglił. Zaledwiem mógł wyśpieszyć pożegnać Dolinę, i tkliwie ją, ach, tkliwie pożegnać.

S prawdziwym smutkiem, Walery, opuściłem domową stronę; ze smutkiem, mówię, jednak nie rospaczą; towarzyszyła mi słodka wzajemności pamięć i prędka powrótu nadzieja; nie była to owa dawna, jak ją pamię-

tasz miłość, nie było to owe pierwsze, gwałtowne uczucie, kiedy każda nieprzytomności chwila wydawała się wiekiem i nieprzebytą męką; chłodniejemy z latami, nabiera rozwagi serce, twardnieją i ziębnieją wyobraźni mary.

Wyjechałem jednakże smutny. Przed wyjazdem stanąłem na ganku, poglądałem ku stronie gdzie oddychała ona, i posyłałem jej westchnienia moje.

Posyłałem je razem z wiatrem, i zazdrościłem posłanym.

Czemuż nie jestem wiatrem, myśliłem, spójrzałbym tylko na nią i znowubym wrócił.

Musiałem wreście wyjechać; jechałem dosyć szczęśliwie, jechałem całe dni cztery, i wreście stanąłem tutaj.

Jakże wielka jest władza, opieka miłości! Czém się dzieje, Walery, że ta którą kochamy zda się nam wszędzie obecną, nasze słabości widzącą? od iluż to mię pokus wspomnienie jej ratowało! mnie się zdało że ona płacze, gdy wczoraj niewiasta owa w swoje łowiła mię sidła; jam ją odtrącił ze wstrętem, i mnie się tak wydało, żem ujrzał uśmiech mojej ukochanej.

Kończę list na tém, kochany Walery, pragnę najprędzej odwiedzić Henryka; jak mi-

ło sercu kiedy ma s kim mówić! Bądź zdrów.

PS.

Otwieram list na moment dla zrobienia ci zabawnego dopisku; przed kilku chwilami zdałem się być w me dawne lata przeniesiony, zdało mi się że jestem maleńki, że idę s teką do szkoły, że idę na ślizgawkę z uczniami. Wyobrażenia umysłowe nasze zbyt ściśle z sobą się łączą; kiedy myślimy o tym lub owym obrazie, a myśląc na przedmiot pewien mamy zwrócone oko; dosyć nam znowu oko na tenże przedmiot zwrócić, by znowu ów obraz przypomnieć. Zapach wiosennych kwiatów stawia nam w Grudniu przed oczyma wiosnę, stawia nam w oczach domowe łąki i przypomina dziecinne zabawy *). Dekart powiada, że mu każda kobieta oko mająca kose podobała się zawsze od razu, bo pierwsza w której się kochał miała kose oko. Wrażenia pierwsze są silne; i ja też ilekroć na kim ujrzę biały kapelusik i oliw-

*) Ożywiony tą wonią zdało się że dziecieniałem,
Że w ogrodzie rodziców z braćmi igrałem małemi.
Wallenrod.

kowy płaszczyk, lubom twarzy jeszcze nie widział, mam jednak ją za anielską. Ale to słowa daremne; kiedym ten list otwierał, nie tom wcale chciał ci powiedzieć; chciałem tu tylko wspomnieć, że jako każda klassa ma swój właściwy język, swoje właściwe zwróty, tak nawet każdy wiek nasz, każde położenie; i wspomniawszy na kilka słów posłyszanych u sąsiadów moich, wypisać ci one i przesłać. W przytykającym pokoiku do mego, mieszka widać kilku tutejszego gimnazium uczniów; nie wiem kto oni tacy, to tylko pewna że jeden z nich jest guwernerem, a jeden, jakem to słyszał, nazywa się Winiawski. Położyłem się był na chwilę na podróżne łóżko, a gdy wszystko koło mnie ucichło, następną zasłyszałem rozmowę: *Student* wchodząc »Panie Guwernerze, Winiawski *bije się*.« — *Guwerner* groźnie »Co?« — *Student* »Winiawski bije się.« — *Guwerner* »Powiedz jemu że będzie klęczeć.« *wychodzi.* — *Student* 2-gi wchodzi »A co? *skarżyłeś* Winiawskiego?« — *Student* 1-szy »skarżyłem.« — *Student* 2-gi »A cóż?« — *Student* 1-szy »Mówił guwerner że będzie klęczeć; *oślisko ten!* ja jego *nie zagabałem.*« — Tu nie słyszałem dalej, lecz wkrótce znowu: *Student* 2-gi »A co, *zarywali* Smyckiego?« — *Student* 1-szy »Zarywali; *spylił się*;

pyta się professor co się rozumie przez podzielną a co przez dzielącą, a tu *ani w ząb.*«— *Student* 2-*gi* «*Łżesz!*« (jest to wykrzyknik zadziwienia z rodzajem wątpliwości). — *Student* 1-*szy* »Professor taki zły przyszedł, jak zaczął pędzać, *choć ty licha;* żeby trochę toby wszystkich *na stołek.*« — *Guwerner* wchodząc »*Cicho błazny!*«

LIST XIII.

Zbigniew do Walerego.

Minogród Listopad.

Jakąż to ręką piszę list ten do ciebie, Walery? skądże mi tyle siły że trzymam jeszcze w niej pióro, że kreślę nią słowa czytelne, i jak przytomny, jedne po drugich je kładę? O serce me rozmęczone! czyliż ty jeszcze jesteś? i po dawnemu bijesz? nie umrzesz ty już nigdy od gwałtowności uczuć gdyś teraz bić nie przestało!... Okropne przebyłem chwile, i ach, przebywam je ciągle; pożałuj mię kochany Walery, ja jestem chory i mocno cierpiący, to rzucam się jak szalony, to płaczę jak małe dziecko; chcę dziś się tobie

poskarżyć, chcę opowiedzieć ci wszystko. Krwi upuszczenie otwiera nam ranę, lecz niesie ulgę chorobie.

Natychmiast po moim przyjeździe, napisawszy do ciebie słów kilka, poszedłem do Henryka; ucieszył się mocno skoro mię zobaczył, i ja podobnie kiedym zobaczył jego.

Uścisnęliśmy się szczerze, szczerześmy o wzajemne zapytali zdrowie, i o tysiącznych wspomnieniach wspólnych natychmiast wszczęli rozmowę; jam jednak moje najmilsze nie s tak dalekich miał czasów, dla tegom ciągle się starał w tę stronę kierować słowa; nareściem wspomniał wyraźnie, nie mogłem się długo przed otwartym Henrykiem taić; i owszem, powiedziałem z góry że kocham i żem wzajemnie kochany; to szczęście zdało mi się najwyższém, najpiękniejszém, dziwiłem się że mnie nie zazdrościł. Tak na miłej rozmowie upłynął nam wieczór cały, prawie noc.

Nazajutrz odwiedziłem Henryka znowu; zaczął mi opowiadać o swych znajomościach, wynosił nad inne jakąś Pannę Z.; prosiłem aby mi dał ją widzieć, poszliśmy do kościoła, i w rzeczy samej widziałem.

— Nie spodziewałem się, rzekłem, byś był

prostego tak smaku, oczy bez duszy, bez szlachetności czoło, tylko policzki pełne.

Henryk się zarumienił, musiał się lekko kochać, ale się rozśmiał.

— »O! czy nie twoja Amerykanka, rzecze, jaka doskonalsza istota. Oszustka, kokietka!«

Zarumieniłem się także.

— Kokietka? rzekłem, o! nie obmawiaj Henryku osób których nie znasz.

— »Rospytaj się Władysława, on ci opowie lepiej.«

— Czyż ją Władysław znał blisko?

— »Czy blisko?.. trochę podobno bliżej niżbyśmy sobie życzyli.«

— O żadnym Władysławie nie wspominała mi nigdy.

— »I miała rozum.«

Krótkie te, niespodziane wyrazy, wpadły w me serce jak ognie; chciałem zmieszanie me ukryć bym się nie zdawał im wierzyć; starałem się zmienić rozmowę, starałem się jednak daremnie. Zdradzały mnie lice i usta; Henryk tryumfował i kończył:

— »Niczém nie oddychała tu ona jak tylko Władysława widokiem, pamiętam na ostatnim kiedym ją widział wieczorze; było to w jednym domu... O z jakim rumieńcem i

ogniem rzucała się w ręce jego gdy wybierała go w tańcu; a było to prawie co chwila. Po skończonym wieczorze nie pożegnali się jeszcze, on stanął za saneczkami któremi jechały, i aż do domu damy przeprowadzał; jam stał na ulicy i patrzał za nimi. Ona zarzucała nań oczy, oczy wesołe, szczęśliwe! Głową i całą sobą chciała się wesprzeć o niego.«

Henryk to mówił i śmiał się, jam postępował niemy; czułem ja dobrze że słowa które mówił wcale nie były żartem, bom sam znał żywość Anakoany. Nareściem otworzył usta, otworzył je aby się rozśmiać, i smiałem się dając odpowiedź, ale widziało Niebo ilem użył siły.

Wróciliśmy do siebie, jam nie mógł patrzeć na Henryka, jednak dzień cały u niegom przesiedział. Chciałem go przekonać koniecznie iż jeden jestem kochany, ale on zbijał mię ciągle i coraz mocniej jątrzył. Gdym mocny mu dowód przytoczył, brał to za oszukanie.

— Cóż, rzekłem wreście, dziwnego, że ona mogła się kochać; ktoraż panienka nie kocha? ale sam wyznać musisz, że tylko z gorszego na lepsze przenosimy miłość, że zatém odpadnienie nastąpić nie może.

— » Powiedz raczej, że przestajemy na tém co widzimy, kiedy nic lepszego nie mamy« śmiejąc się odpowie mi bez litości Henryk.

Znowu musiałem dać odpowiedź śmiechem, ale wszystkie te słowa wpajały się w moje serce. Tak mi cały dzień przeszedł i nadszedł okropny wieczór. Słoneczna jasność rozradowuje serce, wieczorne cienie mnożą jego bole. Zmęczyła mię rozmowa z Henrykiem, zbyt była daleką od lania pociechy, pragnąłem prędszej samotności; pożegnałem się więc nareście, przyrzekłszy go nazajutrz odwiedzić i być razem u Władysława.

Wyszedłem.... Wyszedłem s płomieniem w oczach, z obłąkaniem w sercu; sądziłem żem szedł do siebie, alem szedł w stronę przeciwną. Noc była ciemna nad miastem i ciemne były ulice, alem ja w każdém oknie widział tysiące świateł. Wszędziem widział kręcące się koła i owe przed sobą sanki. Zimno mię zdejmowało i trzęsło się moje serce; o, nie od zimna się trzęsło, straszna to była gorączka! Błądząc do późnej nocy, trafiłem wreście do siebie; zmęczony umysł uspokajał się wreście, następowała rozwaga.

I w rzeczy samej, czegożem się błąkał? miałażby ona istotnie Władysława kochać, miałażby kochać i teraz, i tylko, jak mówił Henryk, tym-

czasem przestawać na mnie? O nie, czyliżem nie miał dowodów? dowodów takich, iż z nich każdy z osobna winienby uspokoić. Jakież mam jednak? myśliłem, nie będąż to tylko złudzenia? Mile spogląda na mnie; lecz jestże to dowód miłości? Ściskała mi lekko rękę? ale czyż pewnie ściskała? A rezeda? myśliłem; to może tylko przypadek; może nie uważała nawet żem ją kiedy chwalił. Ależ wstążeczka? wstążeczka! przeciw temu co mogę powiedzieć? co będzie mógł powiedzieć ktokolwiek? o, czemużem nie mówił o niej Henrykowi!.. I chciałem biedz do niego, lecz było już po północy. O tak, myśliłem, męki me daremne, jestem, ach! jestem kochany, i wstążeczka i kwiatek i oczy, wszystko mi o tém mówi. Jakiż mam dowód w zamianę że Władysława kochała? Że to powiadał Henryk? dowód zaprawdę nie silny; albo go sam wymyślił, lub mu o nim Władysław powiedział: jedno zapewne i drugie nie nazbyt straszni świadkowie. O, ten Władysław, chociażem go nigdy nie widział, zda mi się że znam go już dobrze, nic jego ustek nie ujdzie, wszystko na swą stronę obróci, czyliż go mogła kochać?

Takem rozmyślał i marzył, i serce się koić zaczęło; zaczęły zwolna słabieć zmęczone ciała i

umysłu władze, i nareście usnęły zupełnie.

Nazajutrz podług umowy poszliśmy Władysława odwiedzić; serce mi biło mocno gdyśmy dochodzili do miejsca jego mieszkania; jego postać ciągle mi stała w oczach, jego imie ciągle mi brzmiało w uchu, nie był on dla mnie powszednią do ujrzenia i poznania osobą. Gdyśmy wstąpili na wschody, chciałem zatrzymać Henryka; wstydziłem się wejść nieznajomy, nie wiem dla czego poznania się tego lękałem; zapytajmy służącego, rzekłem, czyli jest Pan jego w domu?

Oby powiedział że nie ma! pomyśliłem. Ale nielitościwy Henryk nie słuchał mię ani zapytywał; rostrącił drzwi z szelestem, wprowadził mię i przedstawił z żartobliwą powagą, potém ścisnął Władysława ledwie go nie dusząc, i wywrócił się na stojące łóżko.

Zostaliśmy we dwóch sami; jam pomieszane oczy na Władysława wlepił.

O mój Walery! jakżem się nędznym widział, jakżem był nieświadomym i samolubnym, kiedym sądził iż go nie mogła kochać. Nigdy żyjąca dusza w piękniejszém nie mieszkała ciele; oczy nie jasne, to prawda, ale miłości pełne, rysy równe, rumiana cera,

wzrost wysoki, najwyszukańszy ubiór. Z iluż to mię względów przewyższał, przynajmniej w oczach kobiety!

Władysław musiał być uprzedzony, bo skorośmy tylko weszli, powstał i witał mię jakby znajomego. Zdziwiłem się trochę posłyszawszy głós gruby i pospolity. Przysunął mi zaraz krzesło, i zawołał »chłopiec! fajek!« Tysiąc mu rzeczy do powiedzenia miałem, ale od żadnej nie mogłem zacząć. Zdało się że Henryk chciał mojego zmieszania, bo się wywrócił i leżał jakby go nie było. Władysław także rozmowy rospocząć nie umiał, usiadł na krześle i grał palcami po drzewie.

— Jak piękny widok z okna — odezwałem się wreście odwracając głowę ku oknu.

— »A, tak,« odpowiedział, jakby raz pierwszy postrzegłszy.

Mamy wrodzoną słabość sądzić o upodobaniach i zajęciu każdego, według zajęcia i upodobań naszych, codzienne doświadczenie nie poprawia nas nawet.

— Piękna góra przed nami, mówiłem, u dołu jej widać cmentarz, a po niej pasą się iowce; tak ładny widok smuci mię zawsze, z dziwnej, rzekłem, przyczyny: przywodzi mi bowiem na myśl śliczne poema Odyńca,

i gniew, że tak mało u nas zyskało dotąd oklasków.

— »Odyniec.. rzekł Władysław zarumieniwszy się trochę, tak.. zdaje się czytałem... wszak zdaje się pisał poezije?«

Nie spodziewałem się wcale podobnej odpowiedzi; sądziłem iż przy pierwszém poznaniu zawiążemy spór jaki, przyjacielski, męski, dla poznania własnego sposobu widzenia.

— Poema *Góra*, mówiłem jednak dalej, równie jest pełném słodkich i poetycznych myśli, jak w stylu oryginalnych zwrótów, niepospolitych składni. Jeśli poemata Odyńca, dodałem po przerwie nie dopuszczając długiego milczenia, jeśli poezije Odyńca nie mają tej dzielności pierwotnego geniuszu, jaka nas uderza w Mickiewicza' tworach; mają za to skąd inąd nieraz więcej słodyczy, więcej rzewnej i rozdrobnionej czułości; najłatwiej to można pojąć, biorąc dla porównania z obu poetów miejsca jedneż opiewające uczucia; naprzykład te kilka wierszy z *Góry* i te kilka z *Dziadów*, gdzie poeci śpiewają ten tak znany każdemu stan serca, gdy czując w sobie do wyższej miłości popęd, długo szukamy przedmiotu którzyby wcielił nasz pomysł, i

utraciwszy znalezienia nadzieję, spotykamy go wreście *).

— »A dosyćże o tej górze, zawoła Henryk zrywając się z łóżka i przybywając Władysławowi w pomoc; co nam do tego co kto napisał, albo jak napisał; mamy my swoje wypadki,.. nieprawdaż Władysławie?«

---

*) Dla niemających pod ręką poematów wspomnianych, wypisujemy, dla obrócenia sądu, wzmiankowane przez Zbigniewa miejsca.

Z Dziadów:

Kochanek przez sen tylko widzianych mamideł,
Niecierpiąc rzeczy ziemskich nudnego obrótu,
Gardzący istotami powszedniej natury,
Szukałem, ach! szukałem tej boskiej kochanki,
Której na podsłoneczném nie bywało świecie,
Która tylko na falach wyobraźnej pianki
Wydęło tchnienie zapału;
A żądza w swoje własne przystroiła kwiecie.
Lecz gdy w czasach tych zimnych nie ma ideału,
Przez terazniejszość w złote odleciałem wieki,
Bujałem po zmyślonêm od poetów niebie,
Goniąc i błądząc, w błędach nieznużony goniec;
Wreście napróżno zbiegłszy kraj daleki,
Spadam i już się rzucam w brudne uciech rzeki,
Nim rzucę się, raz jeszcze spójrzę koło siebie!
I znalazłem ją nakoniec!
Znalazłem ją blisko siebie,

Władysław odżył, i wstydząc się chwilowego zmieszania, uchwycił się nowopodanego przedmiotu.

— »A tak.. Panie Dobr.. odpowiedział. Wypadki, wypadeczki, Panie Dobr; (a dobrze tu zauważyć, że tych słów *Panie Dobr:*

Znalazłem ją . . . i t. d.

Odyniec w *Górze:*

Kiedy serce miotane kochania potrzebą,
Kochało tylko kwiaty i gwiaździste niebo;
A wyobraźnia w książkach wyszukawszy wzoru,
Łudziła mię urokiem własnego utworu;
S krasą róży, gwiazd wzrokiem, uśmiechem księżyca,
Czarnoksięska mém sercem władała dziewica.
O! ileż wtedy razy nad brzegiem tych zdrojów,
Otoczoną urokiem fantastycznych strojów,
Widziałem ją, bądź we mgle nad wodą rozwisłej,
Bądź w gwiazdach, co najpiękniej na niebie zabłysły.
Jej westchnienie w lekkiego wietrzyka powiewie.
Głós słyszałem w skowronka i słowika śpiewie,
Jej rumieńcem mi płonał szkarłat rannej zorzy,
Jej tchnieniem oddychałem z łona wonnej róży,
Jej serce czułem w mego podwojoném biciu,
Jej miłość w mojém czuciu, życie w mojém życiu.
O słodkie sny młodości! wkrótce ręka czasu,
Odarła świat przedemną z urocznego pasu,
Poznałem żem się łudził, i płakać zacząłem;

nie jako termin uszanowania, lecz jako przysłowie używał) wypadki, wypadeczki, mówił dalej z uśmiechem, zwyczajnie w mieście . . różnego szczęścia i różnej wartości, Panie Dobr. Nieprawdaż Henryku?.. Ale Pan może chciałby mówić o poezii, bo nią się podobno najwięcej zajmuje.«

— Owszem, odpowiedziałem, dla mnie to wszystko jedno, każde uczucie ludzkie równie jest zajmujące, a choćby to prawdą było, co jednakowo nie jest, iż się poeziją zajmuję najwięcej, tém byłoby milej uchu w odmianie szukać rozrywki.

— »O, i ja lubię poeziją, odpowie Henryk, ale tylko wesołą, i zaczął śpiewać na Władysława patrząc:

Kilka dni temu jedna panienka,
Siedziała sobie patrząc w okienka,
A na idących taki wzrok miała,
Że u każdego dobrze widziała

O czemuż świat nie niebem, człowiek nie aniołem!..
Niestety! toż więc nigdzie nie znajdę na ziemi,
Tej, którąm wypiastował myślami młodemi,
Zdolnej pojąć i dzielić uczucia poety?..
Echa odpowiedziały: »nigdzie i niestety!..«
Wtém nieba zlitowane Ciebie poznać dały,
Tyś mi sprawdziła lubych marzeń ideały.
Dzięki Ci,...« i t. d.

Jaki był fraczek, jaka sukienka.
Kilka dni temu jedna panienka...«

— »Czy już i piosneczka, śmiejąc się powie Władysław: prawdziwie, wszak tak istotnie, któżby się końca spodziewał.«

Tu Władysław, na prośbę powtórzoną Henryka, dla zabawienia mnie gościa, zaczął opowiadać, dosyć nawet żywo i płynnie, ostatnią swoję przygodę,

—»Szliśmy z Henrykiem ulicą, Panie Dobr, szliśmy ulicą; wtém w oknie s trzeciego piątra postrzegamy siedzącą panienkę, tak miłą, tak zgrabną, że ujrzawszy stanęliśmy i zdziwiliśmy się. Widzisz jak na mnie patrzy, rzekłem do Henryka. To na mnie, odpowiedział Henryk. Jak sobie chcesz, rzekłem, dosyć że na nas, ja s tąd nie odejdę.. ja się już kocham, na honor! Ulica była tłumna, Panie Dobr, piątro było wysokie, wygodnie mogliśmy stać i patrzeć. Ach mój Henryku, znów rzekłem, i któż to jest ona? wszak zdaje się znamy miasto, nigdyśmy jej nie widzieli. Prawdziwie, ciekawy jestem, odpowiada Henryk, mocnobym pragnął wiedzieć skąd i kto jest ona, mocnobym pragnął wiedzieć, ale któż nam objaśni? — »Ja, jeśli się podoba, odpowiedział nam przechodzący kawaler, jest to panna Latówna, córka

Pana Marszałka Laty.« — Ta, którą widzimy w tém oknie? — Kawaler ze zdziwieniem podniosł głowę, — «Bardzo przepraszam, rzecze, sądziłem że mowa o damach które dopiero przejechały.« To mówiąc ukłonił się i poszedł dalej.

Kto nam objaśni? rzekłem do Henryka, sam pójdę i sam się dowiem. Śmiałego losy prowadzą. Kiedy iść nie chcesz to czekaj, lub idź gdzieindziej kiedy czekać nie chcesz. To powiedziawszy poszedłem.«

— »Jakże sądzisz, Zbigniewie, przerwał opowiadającemu Henryk, na czém się wyprawa skończyła?«

— Zapewne P. Władysław nową zrobił znajomość.

— »Nową, Panie Dobr, to prawda, odpowie Władysław, tylko że nie z młodą panienką Panie Dobr, ale ze starym kucharzem. Kto tu mieszka? spytałem go, z góry mu okazując wdzięczność dobytą s kieszeni ręką. Kucharz zdziwił się mocno. »Mieszkają tu PP. Lipniewscy.« — Czy mają młodą córkę? — Kucharz się lekko uśmiechnął. »Nie jest to córka, rzecze, jest to siostra naszego pana.« — Włosy ma czarne? — »Tak jest« — Ubrana dziś w białej sukni, w liljowej chusteczce? — »Tak, tak jest,« odpowiedział

uśmiechając się kucharz. — Ach drogi mój, rzekłem, czy nie mógłbym się prędko z nią widzieć, prędko z nią poznać, (mówiłem, Panie Dobr., jak pomieszany, sam nie wiedząc co czynię) ale z nią samą, ty nie wiesz, my się już znamy, powiedz jej tylko, pomóż nam, poradź. Kucharz spoglądał na mnie z zabawnym zadziwienia czy zgorszenia wyrazem, ale s ciężaru ręki dobry humor ciągnąc, nie mógł się długo wahać. — »Zaraz, rzekł, Panu odpowiem, zaraz, tylko się dowiem na dół.« — I to mówiąc poleciał po schodach. Czekałem go niecierpliwie, czekałem dosyć długo, ale czekałem daremnie; niespokojny, Panie Dobr., tom chodził, tom o poręcze się wspierał, a w tém posłyszałem szelest; był to sam P. Lipniewski, który otworzył drzwi, i popatrzywszy zamknął. — »Ktoś tu się kręci koło drzwi,« powie do swojej żony. — Przeklinałem kucharza; ale tak dłużej bawić nie było podobno bespiecznie; pochodziłem jeszcze chwil kilka, ale posłyszawszy znowu zbliżające się do drzwi P. Lipniewskiego kroki, puściłem się z góry na dół i zrobiłem się wkrótce przy bramie.

— A co, cóś bardzo żwawo? powie mi Henryk który się jeszcze kręcił.

— Wyszedłem jak głupi, odpowiedziałem

i pieniądze straciłem i nie poznałem panienki.

— I nie poznasz; dzisiaj już się schowała, a nim przyjdzie jutro, zapomnisz.

— O nie zapomnę, na honor, żadna jak zapamiętam nie uderzyła mię tyle, ach mój Henryku, cóż to za panienka!

Stałem i patrzyłem w okno, i takbym stał do północy, ale mię Henryk pociągnął i powróciliśmy zupełnie.

Nazajutrz, jak tylko wstałem, ruszyłem zaraz pod okno, chodziłem i patrzałem, ale nie było nikogo; poszedłem po obiedzie, i Panie Dobr. jakież było me szczęście, zobaczyłem panienkę swoję. I ona na mnie patrzała, i na mnie tylko wyraźnie; pobiegłem do kucharza, ale go znaleźć nie mogłem. Stałem więc i patrzałem znowu, i stałem przez cały wieczór, i ona ciągle patrzała. Nareście zamknięto okno i ja wróciłem nazad.

Nazajutrz, a było to wczoraj, poszedłem pod okno znowu, ale zaledwiem przyszedł, skręcona kartka, Panie Dobr, pod same mi nogi padła. Podniosłem kartkę, przebiegłem i, Panie Dobr., ledwiem jej nie połknął oczami, ledwiem jej nie połknął ustami, chciałem rozedrzeć piersi, by ją na sercu położyć. I oczy dziękujące, Panie Dobr., podniosłszy

ku oknu, cisnąłem kartkę do siebie. »Mój luby, pisała kochana kartka, o ty którego losy przeznaczyły dla mnie, nie chcę ja bez nagrody zostawić wzroku twojego. Przyjdź pod to samo okno kiedy już miasto zaśnie. Ja stąd wywieszę sznurek którym wiązała sama. I spuszczę się po tym sznurku bym na twe ręce upadła.«

— »Jakże ci zda się Zbigniewie, spyta mię znowu Henryk, jaki tu będzie koniec?«

— Może go dotąd nie ma, odpowiedziałem.

— »O, spodziewam się że już jest, powie z szyderskim uśmiechem Władysław. Com miał czynić, rzecz była jasna; kiedy zasnęli wszyscy, jam wstał i poszedł pod okno. Noc była widna, lecz w mieście jakby wymarli.

Przyszedłszy czekałem nie długo, odmykało się scicha okno, wywiesił się sznurek, i ukazała się wreście bohaterka sama, i mimo niebespieczeństw spuściła się ku mnie. Ten przedmiot miłości mojej miałem nareście w ręku, lecz nieba!.. cóżem obaczył? Zamiast młodej i ładnej, jak nam się wydawała s trzeciego piątra, panienki, ujrzałem uróżowaną damkę, nie wiem który liczyć mogącą krzyżyk; oczy miała złośliwie świecące, a

raczej jedno oko, bo drugie było zarosłe; czoło jej było nienaturalną białością lśniące, a na dobitek uśmiechała się ku mnie, a uśmiech tysiącem nowych twarz jej obdarzał zmarszczków. Cały się wstrząsłem. O oczy, oczy nasze! ledwie żem nie zawołał głośno, i uczuwszy zbyt silno i gniew i odrazę, rzuciłem, Panie Dobr., kochaną damę o bruk na ulicy, a sam co siły uciekłem.«

— Zaiste, przygoda śliczna!, rzekłem, i nie mogłem nie dzielić szczerego śmiechu Henryka.

— »Dobrze ci tak, powie ten ostatni, tak zawsze zazdrośnym i chytrym. Nie można było poznać przez dwa dni kawalera, nie powiadał co robił, co widział, gdzie bywał. Nie dawał na pytania żadnej odpowiedzi, pytania dawał bez związku.«

— »Wyborne mamy oczy!« odpowie Władysław.

— »Pochwalić się możemy« odpowie Henryk.

— Lecz cóż się stało s panienką? zapytałem.

— »O, panienka! odpowie Władysław, prawdziwie nie wiemy co stać się z nią mogło.. Panie Dobr... i mocno śmiać się zaczął. Dobra duszeczka, Panie Dobr., myślała tylko o tém jak się do ziemi dostać, lecz

nie wiem jak miała powrócić. Kiedym ją rzucił i uciekł, została jak w osłupieniu; co się z nią stało i jak się podniosła z ziemi, nic nie wiem, wiem tylko żem spotkał patrol, a ten jej musiał dopomódz.«

Zaczęliśmy się śmiać bez litości, i jam na chwilę stanu serca swojego zapomniał.

Przypomniano mi jednak wkrótce.

— »Masz tedy nasze nowiny, powie mi bezlitośny Henryk, cóż nam opowiesz z wiejskich?«

— Wiejskie wypadki nic mieć podobnego nie mogą, przynajmniej nie miewają, rzekłem; a serce znów ku swojej obrócone stronie, bić coraz mocniej poczęło.

— »Liczne być musi sąsiedztwo?« zapyta mię Władysław.

Chciałem odrazu wymienić najbliżej mię obchodzące osoby, lecz usta nie wymówiły; zacząłem się tylko zbliżać.

— Dosyć jest liczne, rzekłem, i nieraz się bawimy wesoło.

— Mieszkają w naszych stronach Hrabiowie Orlińscy. Mamy dóm bardzo miły PP. Lińskich. Także PP. Malwieckich. Także... także.. między innymi, jest w naszém sąsiedztwie staruszek Rajecki, bardzo dobry staruszek.

— »O, bardzo dobry, to pewna, przerwał

mi Władysław, był tu u nas pamiętam. Ci staruszkowie, Panie Dobr., prawdziwie wszyscy są bardzo dobrzy, wszystkich kochają, osobliwie młodych. Z ojcem moim stary Rajecki w wielkiej zostają przyjaźni, przyjeżdżał tu więc prosto na moję kwaterę; właśnie wypadał wtedy w mieście tańcowy balik; wieczorem, Panie Dobr., przyszedł do mnie Stoiński, przyszedł ubrany jak na wieczór i ja ubierałem się także; staruszek, Panie Dobr. nie mógł się widokiem naszym nacieszyć, »Ech młodzi, młodzi, uśmiechając się mówił i niby gdyrając, na czém to czas wy tracicie? godzina nim zawiążecie chustkę, godzina nim zaczeszecie włosy, a potém skoki i skoki! No, i jakże pójdziecie? mowił, taki śnieg sypie na dworze.« Poszlemy po sanki, rzekliśmy, lubośmy pierwej nie mieli zamiaru. Sanki przyszły, trzeba było płacić, a nie była to okoliczność miła. Ja nie mam drobnych, rzekłem do Stoińskiego. »Ja nawet kieski nie wziąłem,« śmiejąc się odpowie Stoiński. »Ech młodzi, młodzi, rzekł z uśmiechem staruszek, latacie po nocy jak trzpioty,« i wyciągając worek, z radością odliczył zapłatę. Dobry staruszek prawdziwie.. Panie Dobr.«

— Panna... Panna Anakoana Rajecka,

była tu także podobno? zapytałem naresc e z udanym uśmiechem.

— »Amerykanka?. a! była; nie jedna nawet, lecz dwie ich. Amerykaneczka! o, znaczno,.. od razu za rękę ciśnie.«

— Może tak silną ma rękę? rzekłem uśmiechając się, a pod uśmiechem ukrywając piekło.

— »O, odróżnić umiemy siłę od przypadku, Panie Dobr... przypadek od dobrej woli...«

Przysięgał mi Henryk potém, że nic przed Władysławem o znajomości naszej z Amerykankami nie mówił; nie wiem więc skąd mu się chciało s témi odezwać się słowy; dla prostej chyba przechwałki? Nie powiedziały te słowa obecnym o jakie odbiły się serce, lecz to serce nieréwném i gwałtowném biciem mocno mówiło mi o nich. Nie mog em ścierpieć abym się tak wbrew prawdzie poniżonym widział, chciałem ich wszystkich przekonać, przekonać koniecznie.

— »O, Amerykaneczka nie brzydka, mówił tymczasem Władysław, gładka i miła, trudno temu przeczyć; jak mile nieraz w tańcu swe czarne obraca oczki, gdy czule za rękę ciśnie.«

— O, żywa jest, rzekłem, to pewna, (i

nie wiem skąd miałem siłę do udania raż jeszcze uśmiechu) żywa jest, rzekłem, i nie dziw, kiedy urodzenie swe wiedzie z zapalonego Indijan pokolenia!... nie wiem nawet, dodałem uśmiechając się ciągle, czy mógłby kto lepszy odemnie dać tej żywości dowód. Dni temu kilka miałem sposobność wygrania z nią w zakład wstążeczki, i oto, jaką dostałem.

I powiadając te słowa, dostałem i pokazałem s tryumfem wstążeczkę z wyszytém jej własném imieniem.

— »O! temu założeniu nie przeczymy wcale, powie Władysław zarumieniwszy się lekko i z rodzajem zuchwałości (przynajmniej tak mi się zdało) i jeżeli tu idzie o przedstawianie dowodów, mogę i ja z mej strony cóś podobnego złożyć.« To mówiąc wyszedł, i powróciwszy wkrótce pokazał nam inną wstążeczkę, na której tąż samą ręką wyszyte były słowa: »Anakoana i Władysław.«

To już było za wiele. To było nad siły moje.

— O serce żeńskie, serce padalcze, myśliłem, jakże bić możesz besczelnie!.. i przyrodzenie to ścierpia, nie przetnie biegu twojego!.. Płodzie szatański, kobieto!.. pocóżem się twojemu przypatrywał licu?... Na samą roskosz stworzona, i tej roskoszy nie

syta, drżysz by nie stracić owocu s podwójnych natury darów. Gdy jedną ręką rękę jednego ściskasz, drugą drugiemu do uściśnienia dajesz; gdy jeduém okiem wabisz miłośnie, drugiém innemu odpowiadasz czule. Płodzie przeklęty, masz li ty w sobie serce? możesz li pojąć co są uczucia ludzkie? Znasz li ty miłość, przyjaźń, ach! przynajmniej litość?... O! jeśli znasz je, to dla szyderstwa tylko, dla większych nieszczęść naszych! Jam dalej wytrzymać nie mógł, moja się myśl obłąkała; to czerwieniałem, to bladłem i nie wiedziałem co począć. Dobyłem przytomności ostatka, urwałem przedmiot rozmowy, i udając nagłe sprawy przypomnienie, chwyciłem za kapelusz i żegnając się prędko wyszedłem.

— »Cha, cha! co ci się stało?« zaśmiał się piekielny Henryk, ale tą razą daremnie; żadnej już nie miał śmiech nademną władzy; udałem żem nie słyszał i szybkom się na ulicę wymknął. Henryk wybiegł tuż za mną, słyszałem jak na mnie wołał, alem się skręcił w ulice i umknął ściganiu jego.

Poszedłem prosto do siebie, chciałem wnet wylać uczucia, chciałem do ciebie pisać, ale nie mogłem. W samém gwałtowném uczuciu nie mamy władzy pisania; zbyt mo-

cno myśl się w nas trzyma by mogła się w słowach odłączyć; dopiero gdy pierwszy napad gwałtowności minie, serce się nasze rozżala, umysł mięknieje, i tego co się czuło przybywa natchnienie.

Dziś mi lżej trochę, ranom był u Henryka, nie tak już silnie żartował.

Daleki jednak mój umysł od zupełnego zmięknienia; uczucie kreśliłem słabo, więcej samém piorém niż czuciem; ty mię nie poznasz z mojego listu, pomyślisz żem taki jak zawsze, że mój niepokój zbyt drobny, że me uczucia nie warte były wzmianki. Jakkolwiek jest jednak, to com napisał posyłam; i sam też wylecę za listem. Nie chcę dłużej spoglądać na to przeklęte miasto, siedlisko głupstwa i złości. Nie chcę ludzi, nie chcę ja świata; jej tylko jednej ja żądam; że ją ujrzę, że ją zawstydzę, tém tylko jedném oddycham!..

Ale cóż dla mnie z zawstydzenia tego? co mnie dziś szalonemu z jej serca, co mi z jej szczęścia?. Mnie trzeba szczęścia mojego, Ach! gdybym znał jakie miejsce bliskie od świata tego, coby tym światem nie było, gdzieby żaden z żyjących nigdy się dostać nie mógł, a raz dostawszy się, wrócić; pochwyciłbym ją na ręce, pociągnąłbym silnie z sobą; niechby się wyrywała, niechby mi

całowała ręce, a wyrywając się i całując »Władysławie! Władysławie!« wołała z rospaczą, utuliłbym bezlitośnie jej usta, silniej przycisnął jeszcze, i uniosłbym z sobą na wieki!

Bądź zdrów, Walery, proszę cię, zaklinam, pisz do mnie.

LIST XIV.

Karista do Męża.

O języku polskim.

Coraz bliżej, mój drogi, ze szczegółami Europy a mianowicie kraju twojego oswajana, coraz częściej będę już mogła spełniać ci obietnice, i poznawane szczegóły kreślić. Nim jednak przystąpię do nauk i do umiejętności waszych, zacznę najpierwej od tego co jest widomą ich objawienia podstawą, co mogło, co być musiało prędzej odemnie poznaném; zacznę od określenia sił przedstawiających, dźwiękowych, lub jedném słowem *języka*. Z mojémi słabémi siły, z moją niewieścią myślą, i ledwie po dwuletnim śród waszych nauk pobycie, nie będę zapewne mogła s potrzebną głębokością rozebrać, ros-

patrzyć przedmiotu; jednakże w czynieniu mych uwag, tę będę miała przed innymi korzyść, iż z nowém i obcém zupełnie tu postawiona okiem, nie widzę się uciśnioną żadnym od dzieciństwa przesądem, ani też kierowaną zdań pospolitych biegiem.

Jedném z mych najulubieńszych zatrudnień była zawsze nauka języków; stała się ona silniej zajmującą jeszcze, kiedym poznała jak wielostronne ich wdzięki, na ozdobę, wrażenie odzianego w nie pisma, znakomity wpływ wywierają. Wielu europejskich początki poznałam przy tobie, Adolfie, nałamując me usta do nowych mi wcale dźwięków, i przywykając do nowych wyrażeń *); podwojona usilność na miejscu, wsparta podróżą przez wszystkie prawie kraje, pozwoliła mi wkrótce poznać je wszystkie bliżej, poznać nie tylko starożytne, dawne, ale też nowe romańskie, germańskie, słowiańskie i t p. Nic mię nie gniewa tyle jak owe zabiegi, żale i starania, aby rozmaicie pobudowane języki zamienić w jeden powszechny (*pasilalia*); jedność we wszyst-

*) W języku huronskim, ojczystym Karisty, nie ma między innémi dźwięków *b, p, m, f, w, n, g, r;* nie ma też przymiotników, a formy czasowania zastępowane są akcentem.

kiém, która się umysłowém ludzi dążeniem być zdaje, w tym osiągniona przypadku, nie wiem czyliby zaspokoić mogła. Olbrzymie bowiem w tym celu podejmowane prace, wynajdywane abecadła sztuczne (*pasigrafije*), słowniki pragnące najprzód dialekta jednego szczepu zlać w jeden (*Adelung, Linde*), jak mają z jednej strony niepodobny zapewne nigdy do osiągnienia zamiar, tak znowu gdyby go dopięły, pozbawićby musiały żyjących jednego z wdzięków ich bytu; każdy albowiem język ma sobie właściwy, górujący przymiot, na którym zbywa innemu; z natury zaś właśnie tych przymiotów idzie, iż koniecznie być muszą rozłączne, i we wspólnym języku tłumiące się wzajem; język *np*, celujący jasnością, nie może celować źwięzłością, zalecający się rozmaitością form, nie może się ich zalecać prostotą, i tym podobnie. Od przymiotów języka zależy celujący dzieł w nim pisanych przymiot, przenoszenie się z jednych do drugich jest rozrywką i wdziękiem umysłowego świata *). Nie mam ja zamiaru w tym liście wyliczać każdego języka zalety i wady, bo nie

*) *Pani Stael* ubolewa że w tłumaczeniu włoskiém pieśni Ossiana, wesołość wyrazów nie odpowiada ponurości myśli: »*Cesarotti a fait la meilleure et la plus élégante*

grammatyczne w mych listach mam cele, ani myślę wykładać lingwistyki kursu; ale pragnę jedynie wolę twoją spełnić, chcę wyrazić me zdanie o języku waszym.

Tu właśnie więc, jako rzekłam, nowe moje oglądam, a dla przedmiotu rzeczy dobrostronne położenie. O języku, podobnie jak o literaturze europejskich krajów, nie możemy w Europie znaleźć bezstronnych sędziów; ani krajowce ani cudzoziemce nie mogą nimi być wcale. Krajowiec który pisze o języku swoim, albo jest samolubnym, a stąd go wynoszącym bez miary, lub też się stara być szczerym, a wtedy w inną znowu ostateczność wpada; pragnąc bowiem bezstronnie na wszystkie patrzeć języki, najwięcej wad oczewiście znajdzie się zawsze we własnym, bo oto *najprzód*, najczęściej go się używa, najbliżej widzi się, zna się; *powtóre*, przez chęć widzenia najlepszym, każda w nim drobna wada znakomitą wydać się musi, *potrzecie*, oswojonego z naczelnym języka swego przymiotem, przymioty właściwe innym bawią świeżością, nowością, i nieraz w nich mała zaleta

---

traduction d'Ossian qu'il y ait; mais il semble en la lisant que les mots ont eux mêmes un air de fête qui contraste avec les idées sombres qu'ils rappellent.

wyda się wielką i ważną *); zdanie więc bezstronnego krajowca o języku własnym stanie się na złą stronę, o języku zaś obcym na dobrą stronę przesadném. Ten jednak przypadek ostatni jest jeszcze wadą najmniejszą; zdaniem cudzoziemca powszechnie kieruje lub niewiadomość, albo chęć poniżenia i zawiść. Od wielu podobnych przeszkód pióro moje jest wolne. Z jednej albowiem strony, nie jestem ja wcale Polką; żadna waszego kraju zaleta lub wada spływać nie może na mnie; nie dłużej bawię w tym kraju jako ledwie lat parę, a za drugie lat parę będę zapewne znowu, i będę już do śmierci, w mym własnym. Z drugiej też znowu strony, nie mam ja najmniejszego stronnej zawiści powodu; miałażbym być nieprzyjazną zaletom i sławie tej mowy, która jest mową gościnnej i tyle miłej mi ziemi? która była tak długo mową Adolfa mego, i zapewne będzie mych wnuków.

Pisaćbym musiała, drogi mój, bez końca,

---

*) W księgach które czytamy obcym językiem pisane, nieraz nawet te wyrażenia, obróty, podobać się nam mogą, które są w istocie niesmaczne; słowa bowiem, rozmowy i zwróty, choćby najmniej szczęśliwe i naturalne, dla oka cudzoziemca powab nowości mają, i użyciem potoczném nie są spowszedniałe.

chcąc język o którym mówię porównywać ze strony każdej s każdym innym, i to z osobna. Abym więc ile można krótką w pisaniu była, wybiorę jeden jaki, najwięcej w Europie znany, i w kilku ogólnych uwagach język z nim polski porównam. Porównanie to będzie zapewne i s tej uwagi korzystne, iż być ono może ogólném języków tak odmiennej budowy, jak są romańskie i słowiańskie, porównaniem.

Za reprezentanta języków romańskich biorę francuski, tak dla tego iż język ten jest najpowszechniej ceniony i znany, jak i dla tego że wewnętrzna i zewnętrzna budowa jego wiele ma podobieństwa z budową wszystkich innych europejskich, tak romańskich jak i wielu germańskich, celtyckich, języków. Z drugiej znowu strony, szczęśliwie mi się zdarzyło, iż za reprzezentanta języków słowiańskich wypadło wziąść język polski, moc bowiem, duma, swoboda i rozmaitość dźwięków, a razem spółgłoskowy systemat, główne języków tych cechy, najawniej są odznaczone, najdalej są posunięte w tym właśnie języku polskim *),

---

*) S tego com rzekła winnam się wytłumaczyć. Oprócz dialektu polskiego, i inne dialekta słowiańskie

Udzielanie myśli i wyobrażeń jest głównym celem języków. Miarą zatém ich zalet są środki które to udzielanie robią w nich silniejszém lub słabszém. Środki te są dwojakie: *najprzód*, te którémi język działa na zmysły, a przez nie na umysł, powierzcho-

---

mają już piśmiennictwo własne, s tych mianowicie Rossyjski wielu znakomitémi i uczonémi pióry do wysokiego wyrobiony jest stopnia; ale do porównania o którém mówimy, język jedynie polski użyty trafnie być może; bo oto *Najprzód*: dźwięki słów jego wyrażane są na piśmie abecadłem którego wszystkie prawie europejskie używają mowy, i najjaśniej są w nim oddzielone; przeciwnie zaś języka rossyjskiego pisownia jest w swych postaciach od europejskiej różną, a nadto zakrywająca pojedyńcze dźwięki, a stąd i mowy mechanizm; nie możemy *np.* poznać s postaci *ц*, *ш*, *щ*, *ж*, że głoski te są odcieniami głosek *c*, *s*, *z*; nie mamy oddzielonych głosek g i *h*, *ł* i *l*; a tak ważna i czynna w budowie języków słowiańskich spółgłoska *j* ukryta jest w pięciu odmiennych postaciach (*я*, *e*, *ѣ*, *ю*, *й*), s których to postaci pierwsze cztery raz wyrażają spółgłoskę połączoną z samogłoską (*ja*, *je*, *ju*), drugi raz znowu samogłoskę samą, miękczącą poprzednią spółgłoskę (*имя ima*, *весна wesna*). *Powtóre*: Główną różnicę budowy języków romańskich i słowiańskich, stanowi spółgłoskowy tych ostatnich systemat; zależy on na tém, iż do natury spółgłosek wiążą się przybierane na końcu wyrazów samogłoski, że w odmianach wyrazów przez przypadki i czasy główną

wnym tonów swoich składem, czyli dźwięki języka, ich natura i układ, a stąd jego *harmonija*, i *powtóre*, te któremi jakby na umysł sam działa, o część nie zmysłową uderza, czyli wewnętrzna wyrazów zdatność do poruszenia prędzej lub wolniej znaczeniem swém

---

grają rolę przedkońcowe spółgłoski, s których każda ma sobie odpowiednią miękką, i na nią się stale w owych odmianach zamienia; że zatém języki w których ten systemat panuje, spółgłoski, a mianowicie końcowe, za istotną treść wyrazów swoich uważają, i silném ich nagięciem odmienne wyrażają względy; już zaś ta siła i ten systemat najjaśniej jest widomy i najdalej wyrobiony w języku polskim, posunął go bowiem język ten do potworzenia nowych nawet tonów (*dz, dź, c, rz*). Tłumaczę się jaśniej. Z dwóch położonych obok siebie dźwięków, nie możemy nieraz rospoznać czyli to spółgłoska czyli też samogłoska jest miękką; czy *np.* w wyrazie *koniu*, *n* czyli też *u* jest miękkie. Podobnie i w budowie języka rossyjskiej i polskiej, lubo widzimy iż *np.* w przypadkach trzecich zdarza się zawsze dźwięk miękki (шляпа, шляпѣ, łapa, ła*pie*) nie moglibyśmy jednak wnieść s pewnością, czyli to spółgłoska czy samogłoska brzmienie swoje zmienia; lecz oto język polski postępując w tych przypadkach silniej, mocniej przycisnął organa mówne i nowe potworzył dźwięki; zamiast powiedzieć: *noga nogie*, *woda wodie*, *mara marie*, powiedział, (i foremnie to zachowuje wszędzie) *noga nodze*, *woda wodzie*, *brat* w *bracie*, *mara*, *marze* i t p., a

umysłu, co jest właśnie *mocą* istotną. Harmonija zatém i moc, budowa zewnętrzna i budowa wewnętrzna, stanowią języka przymioty; a zaś jako dodatek kładniemy tu jeszcze środki jakie mieć może język do ułatwienia szyku jak jednej tak drugiej, co się *swobodą* zowie. Pod témi więc trzema względami mam język polski rozważyć. I nie lękaj się wcale,

---

dźwięki te stały się nowe zupełnie i wykazały jaśniej budowę języka. *Potrzecie:* Łatwiej nam jest mówiąc o budowie języków słowiańskich zastosowywać ją do polskiej, bo budowa ta jedynie przez grammatyków polskich poznana jest i rozbierana.

Powiedziałam prócz tego, że język polski więcej ma mocy niżeli inne słowiańskie, więcej zatém niżeli rossyjski. Mam tego dowieść. Przyczyny które wpływają na tę własność jego są, najprzód: *ogólna* słów jego *budowa;* powtóre: *skrócenia* które przypuszcza; potrzecie: *formy* jakie przybiera. — Co do *budowy słów*, widzimy iż: 1-ód, Dwie albo trzy spółgłoski, które się tak często przy początku słów polskich zdarzają, język rossyjski przegradza nieraz samogłoską, stąd słowa te zyskując nieraz ze strony śpiewności, tracić muszą ze strony mocy, *trwoga* *тревога*, *obrona* *оборона*, *wzlatuje* *взлѣтаетъ*. 2-re, Przymiotniki rossyjskie w odmianie ich przez rodzaje i liczby stają się rozwleklejsze, nie tylko bowiem nową samogłoskę ale całą syllabę przybierają: *dawn-y*, *dawn-a*, *dawn-e*, *dawn-i*,

mój drogi Adolfie, abym się miała zająć właściwém języka francuskiego s polskim porównaniem; o ostatnim mam tylko jak powiadam pisać, a o francuskim tyle wspominać tylko, ile mi będzie trzeba do jaśniejszego uwag odnaczenia; uważam go jakby za punkt stały

---

давн-ый, *давн-а-я*, *давн-о-е*, *давн-ы-е* *). 3-cie, Przybierają podobnie nową syllabę przymiotniki żeńskie w przypadku szóstym: *wod-a wod-ą*, *szyj-a szyj-ą*, *вод-а вод-о-ю*, *лилі-я лилі-е-ю*. 4-te, Mianowicie zaś w czasach teraźniejszych, czasowniki rossyjskie rozwlekłe zewnętrzne przybierają formy: *zastanawia*, *останавливаетъ*; *rospowiada*, *разсказываетъ*: *wyrzuca*, *выкидываетъ*; i t. p. 5-te, Ma język polski mnóstwo krótkich słówek, na których rossyjskiemu zbywa: *to* (przyrostek, *jego to wiń*) *skąd*, *stąd*, *wręcz*, *tuż* i t. p.—Co do *Skróceń*: język polski przypuszcza je mnogie i śmiałe. Wiele zaimków skraca o połowę; *ma*, *twa*, *swa*, zamiast

---

*) Wiemy iż możnaby znaleźć wyrazy w których się dzieje przeciwnie: *по льду*, *po lodzie*, *вздохнуть*, *westchnąć*; że także są inne które się używają podwójnie: *сторона*, *страна* i t. p.; że niekiedy przymiotniki skracają się: *храбрый*, *храбръ*; ale kilka wyjątków nie zmienia ogólnego prawa, a nadto podobne przykłady skróceń rzeczowników i przymiotników mamy i w pols. języku: *zegięcie*, *zgięcie*; *gonienie*, *gnanie* i t. p. *znany znan*; *zlany*, *zlan*, i t. p.

o który te uwagi odbijać się będą, jakby za posąg na którym przymierzać mam suknię, nie dla ubrania i ocenienia ubieranego posągu, ale dla ocenienia i trafniejszego obejrzenia sukni.

---

moja, *twoja*, *swoja*; *ci*, *cię*, *mi*, *go*, zamiast, *tobie*, *ciebie*, *mnie*, *jego* i t. p. Przybierając syllabę *że* skracać ją może na samo *ż*: *taż*, *chociaż* i t. p. W liczbie mnogiej rzeczowniki skracać mogą prawie o połowę swe formy: *królowie*, *króle*, *panowie*, *pany*, *saniami*, *sańmi*; pięknémi *kobietami*, ostrémi *kopytami*; pięknémi *kobiety*, ostrémi *kopyty*. Nadewszystko zaś nieraz pojedyńcze spółgłoski oznaczają całe zaimki i słowa; *ś*, *m*, *ć*, *ń*, kładą się nieraz za *jesteś*, *jestem*, *ciebie*, *tobie*, *niego*: *dumnyś*, *dzieckoś*; »*któś*? moja kochana;« *mocnom* chory, widzisz *żem* smutny, »*Jam*, odpowiedział i mędrce pobladli;« *dajęć* słowo, *bioręć za świadka*, taż ręka *którać* te rany zadała; *doń*, *zań*, *odeń*, *weń*.» I uwierzyli *weń*.« Nie wspominamy tu o licznych skróceniach które wypływają z odmian i stałych form, a które pod imieniem *wyrzutni* w grammatyce są znane. — Co do *form*: 1-ód, W trybie roskazującym, który właśnie największej wymaga mocy, jez. ross. w liczbie pojedyńczej nieraz dodaje samogłoskę, której w polskim nie znajdujemy nigdy; *cel*, *pal*, *pisz*, *nieś* i t. p. *пиши*, *неси* i t. p., liczby zaś mnogiej (*lećmy*, *bijmy*, *palmy*,) nie mając zupełnie, musi się wyrażać przez omówienie. 2-re, Niemając w czasie przeszłym odmiennych na oznaczenie

BUDOWA ZEWNĘTRZNA.

Pojedyńcze dźwięki. Harmonija.

Przystępując do wyliczenia wszystkich język polski składających głosek, winnam najprzód powiedzieć co będę uważać za głoskę czyli za dźwięk pojedyńczy. Każda wyrabiająca się głosem w językach naszych spółgłoska, zbyt liczne mieć może odcienia, odcienia te nieraz są skutkiem rozmaitości organów ludzkich *), większego albo mniejszego zgię-

osoby w liczbie pojedyńczej zakończeń, nie może język rossyjski użyć go bez przyimka: *znałeś go?* — *znałem.* 3-cie, Odmienne zakończenie które ma język polski na oznaczenie wołającego przypadku, nowa i temu tylko względowi właściwa nadaiąc postać, właściwy charakter, przyczynia siły wrażeniu; *Panie! Królu! Kwiecie*! *Dniu* piekielny! *Krwi* nasza! *Padalcze*! 4-te, Brak w języku rossyjskim odmiennej na stopień wyższy przymiotników formy, słabi także okresy zmuszając do omówienia: *Te kwiatki daj piękniejszej, a te najpiękniejszej.*

*) Wspierając się na tej mylnej zasadzie, niektórzy grammatycy francuscy do 20 u siebie naliczyli samogłosek, polscy zaś inne *l* chcieli widzieć w *mile* a inne w *las*.

cia materjalnego języka; o takich więc przypadkowych dźwiękach nie będę wspominać wcale, mówić zaś będę tylko o tych stałych, pewnych języka jakiego głoskach, które jasną, oddzielną mają w budowie jego czynność, i na piśmie niemylnie oddzielną są określane postacią; nie będę też równie wspominać o kreskowanych samogłoskach, bo w ich pośrednie brzmienie nie wierzymy wcale *).

Kiedym się przysłuchując pilnie każdego kraju mowóm, poraz pierwszy, mój drogi, znów posłyszała waszą, uderzyło mnie mocno jej brzmienie; nie tylkom w niej znalazła te dźwięki które są wspólne wszystkim, ale też mnogie nowe, a razem te nawet które są tylko wyłączną szczególnych języków własnością. Rzecz dziwna! Żaden język w Europie, oprócz języka Włochów, nie ma spółgłoski *dz* (z, *mezzo*, *zelo*, *zero)* **), żaden prócz francuskiego nie ma samogłosek nosowych (ą, ę). Tych samogłosek nosowych, tyle przydatnych mianowicie do słów naśladownej harmonii (*ono-*

*) Wyrazy np. *kóń*, *sér*, mogą być wymawiane *koń*, *ser* albo *kuń syr*, nie mogą zaś być wymawiane inaczej; kreski te kładą się częścią dla niezatarcia foremności odmian, częścią dla oznaczenia prowincijonalnej wymowy.

**) Mianowicie podług wymowy weneckiej.

matopeia), i owej dźwięcznej spółgłoski, żaden nawet słowiański nie posiada język, znajdują się jednak wszystkie w polskim. Język polski ze wszystkich znanych jest najobfitszy w rozmaitość dźwięków. Obaczmyż je wszystkie z osobna i krótkie z nich wyciągnijmy uwagi. Oto są głoski polskie:

a, ą, b, b', c, ć, cz, d, dź, dz, dż, e, ę, f, f', g, h, ch, i, j, k, l, ł, m, m', n, ń, o, p, p', r, rz, s, ś, sz, t, u, w, w', y, z, ź, ż.

Te tak liczne odcienia spółgłosek, które w języku postrzegamy polskim, nie są przypadkowe, bezładne; owszem, w odmianach przez przypadki, przez czasy, i wyrażaniu rozmaitych względów, główną i stałą grają wszystkie rolę; w polskich bowiem odmianach nie tylko samogłoski końcowe, jak w języku łacińskim i greckim, zmianą brzmienia swojego odmieniają względy, ale i przedkońcowe spółgłoski. S tych wymienionych spółgłosek powinniśmy odróżnić dwie klassy:

Spółgłoski *twarde.* i	b	d	f	g	h	k	ł	m	n	p	r	s	t	w	z
Odpowiedne im *miękkie.*	b	dź	f'	ż,dz	sz	c,cz	l	ḿ	ń	ṕ	rz	ś	ć	ẃ	ź

Powinniśmy, mówię, odróżnić; natura ich bowiem w rozważaniu języka jest różną, mianowicie, w grammatycznych odmianach. Obaczmy kilka przykładów. 1-ód, Rzeczowniki zakończone na spółgłoskę twardą są wszystkie rodzaju męskiego; rzeczowniki rodzaju żeńskiego nie kończą się na inną jak miękką. 2-re, Spółgłoska przybierająca (*) miękka nie zamienia się w odmianach na inną, przybierająca twarda zamienia się nieraz na odpowiednią miękką (**). 3-cie, Zakończenie cecho-

*) Ostatnia w wyrazie spółgłoska zowie się *przybierająca*, stosownie bowiem do natury swojej przybiera tę lub owa samogłoskę cechowa.

**) Między innémi w następnych przypadkach: 1ód, w trzecim przypadku liczby pojedyńczej (*wioska, wiosce, żaba, żabie*). 2re, w piatym przyp. rzeczowników męskich, i w siódmym przyp. rzeczowników męskich, żeńskich i nijakich; (*Kacie! Janie! w lesie, na łonie, w ranie*). 3cie, w pierwszym przyp. liczby mnogiej przymiotników i rzeczowników męskich (*wnuk, wnucy, twardy, twardzi*). 4te, w formowaniu przysłówków od przymiotników (*lekki, lek-ce, stal-y, stal-e, mąd-ry, mąd-rze*). 5te, w czasie teraźniejszym (*garnę, gar-nie, strzegę, strze-że*). 6te, w formowaniu imiesłowu rodzajowanego od czasu przeszłego (*garn-ął, garni-ony, wlek-ł, wlecz-ony*). 7me, w formowaniu rzeczowników od imiesłowów (*pisany, pisanie, kłuty, kłucie*). I w licz-

15

we oznaczające zdrobnienie jest *ek* albo *ik*, *yk*, spółgłoska twarda pierwsze, spółgłoska zaś miękka drugie z nich przybiera (*dzbanek, koń-ik, kosz-yk*). 4-te, w odmianach przez przypadki, przypadków tych zakończenia nie zależą od zakończenia rzeczownika na spółgłoskę lub samogłoskę, lub od jego rodzaju, ale prosto od spółgłoski przybierajacej, tak np. w przypadku siódmym liczb. pojedyń. spółgłoska twarda przybiera *e*, miękka *u* albo *i*: *) *głós* w *głosie*, *rosa* w *rosie*, *noga* w *nodze*, *koło* w *kole*, zaś *kóń* w *koniu*, *łoś* w *łosiu*, *kocz* w *koczu*, *sól* w *soli*, *sala* w *sali*, i. t. p. Podobnie też w przypadku pierwszym liczby mn. spółgłoska twarda *y* miękka *e* przybiera; w przyp. drugim pierwsza *ów*, druga *y* lub *i*, i t. p. (*los-y*, *twarz-e*, *los-ów*, *twarz-y*). 5-te, Imiona rodzaju nijakiego kończą się na *o* albo *e*; spółgłoski twarde *o*, spółgłoski zaś miękkie *e* przybierają (*sian-o, mydł-o*, *bydł-o*, *słońc-e*, *ziel-e*, *bydl-e*). 6-te, Wpływ tych spółgłosek na naturę otaczających je samogłosek

---

nych innych przypadkach, przy dobieraniu zakończeń cechowych, zmieniających *czas, wzgląd rzeczy*, i *stopień przymiotu*.

*) Nie liczymy wyjątków ani wchodzimy w drobniejsze uwagi, nie o to tu idzie.

tak jest wielki, że te nawet poprzedzając je, brzmienie swe nieraz zmieniają; tak, ilekroć samogłoska *a* lub *o* znajdzie się między dwiema miękkiemi, zmienia się pospolicie na *e; las, w lesie, niostem, nieśli, uczony, uczenie* i t. p.

Inny podział spółgłosek polskich *) do uważania jest: na

Słabe :	b	b́	d	dź	dż	g	h	w	z	ź	ż
i											
odpowiedne im *mocne*	p	ṕ	f'	ć	cz	k	ch	f	s	ś	sz

Podział ten spółgłosek znany jest we wszystkich językach, i wiedzie do tej uwagi, iż ilekroć spółgłoska słaba przy mocnej, lub mocna stanie przy słabej, brzmienie swoje stosować musi do natury brzmienia następującej (*wędka* mówimy *wętka*, *liczba* mowimy *lidżba*); ale w języku polskim odmienna ich natura nieraz wpływ jeszcze wywiera na zmianę brzmienia sąsiedniej samogłoski, tak *np.*

*) W klassie twardych i miękkich opuściliśmy spółgł. *j*, bo ta nie ma odpowiednej twardej, wszędzie zaś i wyraźnie ma czynność spółgłoski miękkiej i jej naturę w przybieraniu samogłosek.

samogłoski *o* i *e*, wspierając się na spółgłoskę słabą, przybierają nieraz brzmienie ścieśnione *wóz*, *bób*, *gród*, *głów* i t. p.

S tych zatém krótkich uwag następne uczynić możemy wnioski: iż *najprzód* język polski ze wszystkich znanych jest najobfitszym (jakeśmy to już rzekli) w rozmaitość dźwięków; od germańskich bowiem i od romańskich bogatszym jest stałym *) zbiorem spółgłosek miękkich, łącznym zbiorem szczególnych dźwięków rozsianych po rozmaitych ich mowach (*ch*, *sz*, *cz*, *dz*, *dż*), i odcieniem spółgłoski *l* (*ł*); bogatszym zaś jest od słowianskich spółgłoską *dz* z jej odcieniomi (*dź*, *dż*) i dźwiękiem samogłosek nosowych. *Powtóre*, iż mechanizm języka polskiego nie jest oparty na przedimkach, jak mechanizm języków romańskich, ani na samej zmianie samogłosek końcowych, jak starożytnych, ale jest spółgłoskowy, oparty prócz samogłosek, na ostatniej, przybierającej, spółgłosce. *Potrzecie*, że poznawanie bliższe budowy języka polskiego, prowadzi do nowej

*) Mówię stałym, przypadkowe bowiem spółgłoski miękkie a mianowicie *ń* trafiają się i w romańskich językach; *ń* to wyraża francuski przez *gn*, włoski podobnie, hiszpański przez *ñ*, portugalski przez *nh* i t. p.

epoki w rozważaniu językowych dźwięków; ucho bowiem i oko nieraz omylić może, tu zaś dowodem jest wszędzie jasność i oczewistość. I tak, naucza nas ta budowa, że jeden i tenże dźwięk spółgłoskowy może mieć inne liczne odcienia i oddzielne tworzyć spółgłoski (*z*, *ź*, *ż*, *c*, *ć*, *cz*) *); uczy o zależności wzajemnej, powinowactwie, zamienni spółgłosek; prowadzi do nowych odkryć o łączeniu się ich z samogłoskami, jaśniej odkreśla obu tych dźwięków (spółgłosek i samogłosek) rodzaje, i s pewnej strony wiedzie do tego pewnika, iż dwugłoski są urojeniem tylko i nie mają miejsca w językach. **) *Nakoniec* (mijając inne liczne mogące się odkryć względy) rozwiązuje nie jedno pytanie, które za nierozwiązane prawie w grammatykach było dotąd miane, tak *np.* co do natury spółgłoski *j*, co do natury spółgłoski *h* ***) i t. p.

---

*) Poprowadzić by to powinno abecadła innych języków do trafniejszego szykowania w nich dźwięków.

**) Nazwisko *dyftongów* zniknie z grammatyki, tak jak już z niej zniknęły nazwiska *mutae*, *semivocales*, *semiliquidae*, *mediae* i t. d. (Mroziński. *Odp. na Rec.* str. 125).

***) Grammatycy wszystkich języków zgodzić się dotąd nie mogą, czy *h* jest spółgłoską czy przydechem

Obaczmy teraz jakie to są szeregi, w które się układają te pojedyńcze dźwięki któreśmy poznali, lub innéin słowem, jaka jest dla ucha harmonija *) zbudowanego przez nie języka?

Nim przystąpimy do dawania zdania o mi-

---

tylko; tu zaś widzimy jawnie że jest jak inne spółgłoska, bo zamienia się tak jak inne na odpowiedną drugą *(Sapieha, Sapieże)*. Podobnie dowcipne wiodą ale bez końca spory o to, czy *j* w języku łacińskim samogłoską jest czy też spółgłoską; czynność jaką ta głoska ma w słów budowie polskich, przekonywa nas dotykalnie że jest spółgłoską jak inne; przekonywa nas zatém iż 1-ód nie jest samogłoską; 2-re, nie jest częścią dwugłoski; 3-cie, iż jest spółgłoską podobnie we wszystkich językach, chociaż w nich nieraz postacią samogłoski bywa oznaczana (ang. *you*, *yet;* włos. *jeri*, *ajute;* franc. *hier*, *paysan*, *voyelle* (wojjel); niem. *beute*, *einer*, *jeder*, *bauer* (bajjer); hiszp. *yequa*, *muy* i t. p.); do grammatyk to owych języków należy poprawienie lub zaniedbanie w tym względzie pisowni, my zaś uważamy to tylko, że bez jasnego odróżnienia dźwięków i ich na piśmie postaci, nie dójdziemy nigdy do odkrycia pochodzenia kształcenia się, wzajemnego powinowactwa języków, i ich wspólnego źródła (fran. *hier* włos. *jeri* (*jer*, *jeri*); pols. *kocz* ang. *coach* (*kocz*, *kocz*).

*) Wyraz *harmonija* wzięty tu jest w znaczeniu pospolitém, zamiast *melodia*.

łém albo niemiłém języka jakiego brzmieniu, tę na początku uwagę winniśmy nieodbicie uczynić, iż sąd ten może być tylko pośredni i przypuszczony, ale nigdy zbyt pewny i stały; bo oto *najprzod*: ile jest ludzi różnych tyle jest sądów odmiennych; te dźwięki i całe słowa, które są ulubione w narodzie jednym, są odrzucane ze wstrętem przez inny, w tym nawet samym i jednym nie znajdziemy prawie dwóch osób, któreby miały sąd zgodny o brzmieniu danego wyrazu; cóż mamy dopiero mówić o sądzie osób których jeszcze nie znamy; o upodobaniu we dźwiękach tych ludów których zdania nie słyszeliśmy nigdy, o upodobaniu pokoleń przyszłych, i t. p.; *powtóre:* gdybyśmy przypuścili nawet że jest pewna miara, pewien stopień piękności, wyznaniu której żadne się ucho nie oprze (i podług której właśnie przypuszczonej miary nasze niżej idące czynić będziemy uwagi) jeszczeby zdanie nasze o brzmienia języka nie mogło nazbyt być pewne; najznakomiciej bowiem brzmienie to zawisło od organu który je wyrabia, a równie od mniej lub więcej szczęśliwego szyku i doboru wyrazów w mowie. Ja któram tyle przejechała krajów, i całe słyszała ludy tylu językami mówiące, dotykalniem poznała tę prawdę. Wstępując na

nową ziemię, nie mogłam ja nieraz wierzyć aby ci wszyscy, których słyszałam, ludzie, jednym mówili językiem. Jedne, też same dźwięki, inaczej wydają się wcale wymawiane organem grubym, inaczej organem cienkim, inaczej suchym i mającym wadę, inaczej dźwięcznym i czystym. Można słyszeć dwadzieścia osób jednym językiem mówiących, a jednak nie wiedzieć jeszcze o miłém brzmieniu jakie tenże język mieć może. A i tę jeszcze zrobiłam także uwagę, że nie wszystkie języki do ich harmonijnej wymowy jednakowego w organie wymagają składu; innego np. potrzebują te które są bogate w samogłoski nosowe, innego te które są bogate w spółgłoski syczące i miękkie *). Kładzione nadto w mówieniu jedne obok drugich wyrazy, mniej lub więcéj szczęśliwie szykowane być mogą; jeśli bowiem z dwóch obok siebie położonych wyrazów, następny od tejże natury zaczyna się głosek na jakie się kończył poprzedni, tworzyć się musi koniecznie dźwięk dla organu trudny i dla ucha przykry **). —

*) Ogólnie mówiąc, języki które obfitują w spółgłoski doskonalszego organu wymagają, i harmonijnie mówiących niemi daleko rzadziej słyszymy.

**) *Ze świadectw twoich*; *presque exclusivement*. Ils

Od wrodzonej zatém zdolności do zachowania harmonijnego szyku, jak równie do wymawiania harmonijnie dźwięków, najwięcej zależy ogólna słyszanego języka harmonija; i sąd o niej, jakem to rzekła, może być tylko prawdopodobny, zbliżony; by go jednak uczynić, lubo na tej słabej (przybliżoności tylko) zasadzie, w zamierzonym przedmiocie, przypatrzmy się bliżej brzmieniu jakie ma język polski, jakie są jego zalety i jakie są jego wady.

Ogólnym cudzoziemców zarzutem przeciw harmonii języka polskiego jest: *najprzód*, iż wiele razem w wyrazach naciska spółgłosek, i *powtóre*, że zbyt ma wiele spółgłosek syczących.

Zarzut pierwszy czyli jest słuszny i jak dalece, obaczmy; obaczmy jednak pierwej czy jest istotnie zarzutem.

Powszechném prawie mniemaniem w Europie przyjętém jest, że naciśnienie spółgłosek w języku, dowodem jest barbarzyństwa nim mówiącego narodu. Dziwna zaiste, jak podobne zdanie stać się powszechném mogło; żaden zapewne naród nie był wykształconym

---

cherchent à écarter les documens historiques *ou à en infirmer* la validité.

odrazu, i żaden naród, po pewnym przeciągu starań, nie mógł nie nabyć poloru, a czyliż język jego w tych dwóch odmiennych okresach do niepoznania się zmienia? Mogą się przez wprawę ustalić formy, potworzyć nowe wyrazy, ale istota języka, treść zewnętrznej jego budowy, pozostać koniecznie musi. Z małości tedy albo wielości w języku jakim spółgłosek, nie możemy bynajmniej czynić o cywilizacii mówiącego nim ludu wniosków. I jakiż wreście związek moglibyśmy upatrzyć między upodobaniem i możnością w wymawianiu licznych spółgłosek, a wstrętem do wykształcenia, oświaty? Zaiste konie i woły, wszelkie źwierzęta i ptaki, uważaćby wypadało za bardzo ucywilizowane narody, bo w ich języku najwięcej jeśli parę spółgłosek słyszymy. Mowa dzikich wyśpiarzy, mowa dzikich indijskich nowoodkrywanych pokoleń, podobnie z samych prawie złożona jest samogłosek. Ale, odpowiadają inni: nie utrzymujemy my wcale, że języki mające wiele spółgłosek są barbarzyńskie, powiadamy zaś tylko, że przykre są i do wymówienia nam południowcóm trudne.

Że mieszkańcom południa, *np.* Włochóm, przywykłym do wyrazów w których każda prawie spółgłoska przegrodzona jest samo-

głoską od drugiej, nie podobna jest prawie wymówić wielu wyrazów północnych, to być bardzo może; organom nie przywykłym z dzieciństwa do wymawiania brzmień jakich, trudno się do nich nagiąć; podobnie, w dojrzałym wieku uczący się francuskiego języka Polak, lub innego narodu mieszkaniec, nie może się nauczyć wymowy samogłosek *u*, *eu*, *an*, i t. p., nie idzie jednak za tém aby brzmienie tych samogłosek miało być przykre koniecznie; Nie to koniecznie piękne jest co łatwe, zręcznie pokonywana trudność nieraz więcej nas zadawalnia. W każdym języku dzieci wielu nie wymawiają spółgłosek, w każdym języku są szepleniący, mowa jednak dzieci i szepleniących za milszą się nie uważa. Zwierzęta i ptaki, jakeśmy widzieli, jedną tylko a najwięcej dwie mają w mowie swej spółgłoski, nie idzie jednak za tém aby mowa szpiców lub kotów milszą być miała niźli mowa włochów. Może podobny nastąpiłby nam wyrok, gdybyśmy sędzią naznaczyli szpica, ludzie jednak w swych sądach nie mogą być tyle ciasni. Nie utrzymuję ja wcale aby w układzie dźwięków nie mogły się wydarzyć przykre dla ucha złączenia, owszem, nie ma języka któryby ich nie miał, to zaś tylko powiadam, że za miarę przykrości brzmie-

nia nie ma być uważana *trudność*, bo jeśli, jak tylkom co rzekła, mogą być w języku każdym wyrazy, którym żaden organ miłego brzmienia nie nada *(przyszłość, sprzeczność)*, to mogą znowu być inne, które choćby najtwardsze były, przy dzielném jednak organów mównych władaniu, harmonijnie uderzają ucho (*twierdza*, *zbroja*, *pobladły*, *wzgarda* i t. p.). S tego zatém wszystkiego widzimy, że zarzut naciśnienia spółgłosek nie jest istotnie zarzutem, że naciśnienie to nawet wdzięk nieraz stanowić może; obaczmy zaś teraz bliżej, jakie to są skupienia na jakie natrafiamy najczęściej w budowie języka polskiego.

Język polski mieści w budowie słów swoich, po dwie, po trzy i nawet niekiedy po cztery rzędem idące spółgłoski, jak to daje się widzieć i w innych europejskich językach (i*str*umento, a*ggr*ato, po*ltr*one, wo*rldl*y; a*bstr*action, e*xcl*amation, (e*kskl*) e*xpl*ication i t. p. *). A lubo w języku polskim zbieg ten

---

*) Jest wyraz w języku polskim, majacy pięć rzędem idacych po sobie spółgłosek *(bezwzględny)*. Kilka podobnych wyrazów znajdujemy także w jez. ross. (*бодрствовать*, *разнствовать*, *достоинство* i t p). W jez. niem. wszystkie prawie złożone wyrazy (a które

daleko częściej się zdarza, to jednak uważać mamy, iż najpospoliciej jest łatwy, bo spływa na samogłoskę, i miękką następną zgłoskę, to jest iż prawie tylko na początku wyrazów się zdarza (*drganie*, *wzdęcie*, *zdrowie*, *zgraja* i t. p.). Przeciwnie, na końcu wyrazów, dwie nawet spółgłoski język polski scierpia nie łatwo, i gdy mu się w przypadkowaniu wydarzą, nieraz je samogłoską przedziela (zamiast *matk*, *grobl*, *jodt* mówi *mat-e-k*, *grob-e-l*, *jod-e-t* i t. p.); jeśli zaś zatrzymuje, to chyba najmiększe: *gość*, *mość*, *fant*, *miłość*, *radość*, *pieśń*; w całym zaś języku ledwie znajdziemy słów kilka któreby na końcu trzy spółgłoski miały (*pilść*, *garść*, *szerść*, *rejestr*) *). Co większa, kiedy przy dobieraniu zakończeń cechowych więcej niż dwie spółgłosek obok

---

ledwie nie połowę składają języka) mają po cztery, po pięć, nawet po sześć spółgłosek rzędem, a nieraz się zdarza że w jednym i tym samym wyrazie skupienia po dwa i trzy powtarzają się razy. Gese*llschaftsvertr*ag, Freu*ndschaftsb*ezeugung, Anfa*ngsbuchst*abe, Ha*ndsch*uhmacherha*ndw*erk, Befestigu*ngskunst*, Ha*ndlungsgrunds*ass, Se*lbstpr*üfung, Stru*mpfstr*icker i t. p.

*) W drugim przyp. liczby mnogiej, który się formuje przez odjęcie samogłoski, zbieg przykry nieraz się zdarza: *morderstw*, *jestestw*, *następstw* i t. p.

siebie stanie, język polski albo wyrzuca trzecią, albo je samogłoską przedziela, nie mówi *np: francuzski, czechski, włochski, Drezdno, serdce, radośtny, miłośtnik, szczęśtliwy* i t. p., jak to foremność każe, ale *francuski, czeski, Drezno, serce, miłośnik* i t. p; nie mówi *piękńszy, wiadrko, perłka, formny* i t. p., jak to podobnie foremność wymaga, ale *piękń-ejszy, wiad-e-rko, per-e-łka, for-e-mny* i t. p. Nadto wszystkie prawie zakończenia cechowe, tak w przypadkowaniu jak w czasowaniu, są to pospolicie samogłoski; chociażby zatém wyraz jaki na spółgłoskę się kończył, w dalszych odmianach kończy się na samogłoskę (*gość, gościa, gościowi* i t. d.). Pisownia jednak języka polskiego w nazbyt twardém wystawia go świetle; zwodzi ona nie tylko cudzoziemców ale nawet samych krajowców, bo władza oka większy podobno niżeli sądzimy wpływ na władzę ucha wywiera. Polacy mieli w języku swoim dwa razy tyle do wyrażenia co łacinnicy głosek, a do wyrażenia tego mieli tylko 24 łacińskiego abecadła postaci; musieli więc kropkować, kreskować, podwajać, a ten ostatni sposób musiał najeżyć pismo spółgłoskami tam gdzie ich wcale nie ma (*ch, cz, rz, dz, dź, dż*) i potworzyć dla oka złożone niepodobne do wymówienia dźwięki,

które przeciwnie są pojedyńcze i łatwe. *Sz* naprzykład jest to równie pojedyńcza głoska jak *ż* a jednak na piśmie widzimy dwie a nie jedną, stąd gdy widzimy napisany *np. szałasz*, wyraz ten oku zbyt się wydaje twardy, a jednak jest miększy w istocie niż *np.* francuskie *recherches* (*reszersz*); wydaje się nam podobnie twardym wyraz *dobrze* a nie przyszłoby nam o tém pomyśleć gdybyśmy go *np.* s francuska *dobjet* pisywali. Podobnie i spółgłoska *cz* widzi się u nas twardą, a uważa się wdziękiem w języku włoskim, gdzie się przez proste *c* wyraża (*dolce, piace; dolcze, pjacze*). Nadto, w języku polskim częściej niż w innym widzimy przed mocnémi stojące spółgłoski słabe, które to ostatnie wymawiają się przez każdego mocno, ale dla patrzącego często dźwięki do wymòwienia niepodobne stawią; każdy *np.* mówi *zafsze, opcy, otpór*, jednakże musi pisać *zawsze, obcy, odpór* i t. p. I wreście piszą niekiedy Polacy w piśmie swém litery nieme, które stoją tylko na piśmie dla pamiątki foremności, i których nikt już nie wymawia, widzimy *np.* na piśmie *znalazł, zarosł, zatarł, wyjadł, zasłabł* i t. p. lubo nikt inaczej nie mówi, jak *znalaz, zaros, zatar, zasłab* i t. p.

Widzimy zatém s tych uwag, iż *najprzód:*

zarzucane językowi polskiemu skupianie spółgłosek jest prawie zawsze harmonijne, bo tylko na początku wyrazów częste, i *powtóre*: iż nieraz jest urojone. Obaczmy teraz co mamy do powiedzenia o licznych spółgłoskach syczących, i ogólny o harmonii języka uczyńmy nareście wniosek.

Że język polski ma więcej spółgłosek syczących niż jakikolwiek inny, nad to nic pewniejszego; i że nie tylko każdy prawie wyraz polski ma spółgłoskę syczącą, ale nawet wiele jest takich które je mają po kilka, to także jest oczewista. Jest to istotna wada harmonii języka polskiego, mnogie bowiem nabite jednej natury głoski podobać się uchu nie mogą. Głoskom tym syczącym, pojedyncze wziętym (*c*, *ć*, *cz*, *s*, *ś*, *sz*, *dz*, *dź*, *dż*, *z*, *ź*, *ż*, *rz*) nic zapewne zarzucić nie można *), wiele z nich tworzą wyrazy miększe niż jakiekolwiek włoskie (*ziele*, *cienie*, *sielanka*, *jesień* i t. p.) inne podobnie najpełniejsze harmonii nieraz tworzą wyrazy (*zgliszcze*, *paszcza*, *dzwony*, *żale* i t. p.); skoro się jednak wiele zbiegnie ich w jednym wyrazie, zdaje mi się iż przykre prawdziwie tworzą natenczas brzmienie (*przesz-*

*) Dźwięk każdy jest z siebie pięknym, staje zaś milszym lub przykrym dopiero w połaczeniu z innémi.

łość, *przyszłość*, *sprzeczność*, *wrzeszczeć*); zbieg ten przytrafia się nieraz, dla tego to i organa które harmonijnie językiem polskim władają, są to te, które niewybijają dobitnie spółgłosek syczących.

Cóż zatém co do ogólnej języka polskiego harmonii wnieść mamy? oto: iż jeśli w budowie jego widzimy więcej niż w jakimkolwiek innym spółgłosek syczących, widzimy też z innej strony mnóstwo spółgłosek miękkich, nader częstą i ważną rolę grającą spółgłoskę *j*, i równie częste samogłoski nosowe, co wszystko oryginalną i nader obfitą musi tworzyć harmoniją. — »Mówić o języku jakim, powiada jeden francuski pisarz, że jest on miękki lub twardy, jest to utrzymywać iż jedną ma tylko barwę, język bogaty ma wszystkie.« — Język polski, o którym mówimy, najtwardsze nam i najmiększe, chropawe i płynne, stawi na wybor dźwięki, i pienia lutni, i szumy wichru, i twarde zbroje i stal chrzęszczącą, równie dobitnie wyrazi. Każdy język ma przymiot którym nad inne celuje, każdy jednakże może mieć w innym przymiocie cóś szczególnego sobie, na czém celującemu nim nawet zbywa; tak językowi włoskiemu przyznane jest między nowémi pierwszeństwo co do melodii, a jednak w języku polskim są nieraz

wiersze tak pięknej i rozmaitej harmonii, iż im żaden włoski nie zrówna; bo język włoski nie ma różności tej tonów, nie ma spółgłosek miękkich, nie ma samogłosek nosowych, ani też dźwięków tak silnych, i dla tego to owe sławne »Chiama gliabitator« które teoretycy francuscy i angielscy za najwyższy stopień doskonałości harmonii przytaczają, dla ucha przywykłego do bogatej wiersza polskiego harmonii, żadnego wrażenia nie czyni *); ci zaś którzy mniemają, iż języki północne nie są bynajmniej zdolne do wyrażenia tej miękkości, z jaką wydają niektóre swe wyrazy południowce, powinniby się dowiedzieć, iż język *np.* polski mnóstwo ich mieści w sobie tak miękkich, jakich pokazać nie może żaden południowy **); ta bowiem ostateczność w

---

*) Chiama gliabitator del ombre eterne
Il rauco suon della tartarea tromba,
Treman la spaziose atre caverne
E l'aer cieco a quel rimor rimbomba.

**) *Omamienie, uniesienie, domowe pienia leje lutnia moja, tu umajone doliny, tu białe tonie jeziora, o lata ominione, tyle upojenia, ach ulatuje urojenie moje.*

Weźmy też parę wierszy harmonii przeciwnej:
Twarde ci głosy nie zrażą ucha,
Kobzy tu milczą trąba tu głucha,

zjawiskach jest to jedna z własności północnej natury, jest to właśnie ów klimat, owe powietrze, słońce, co daje i dnie najdłuższe i najdłuższe noce, najsroższe mrozy i najgorętsze śpieki.

Oto jest ogólna języka polskiego od innych, a w ich liczbie i od języka francuskiego różnica; przypatrując się zaś bliżej budowie pojedyńczych obu tych języków wyrazów, postrzegamy: *Najprzód*, że jeżeli język polski skupia jedynie spółgłoski przy początku wyrazów, a na końcu dwóch nawet łatwo nie ścierpia, i zawsze jest skłonny do kończenia swych wyrazów na samogłoski; francuski przeciwnie, zdaje się mieć upodobanie w zakończeniu spółgłoskowém i skupianiu spółgłosek przy końcu; tak *np.* jeżeli wyraz łaciński został przyjęty przez Francuza i przez Polaka, Polak w przyswajaniu go do mowy swojej albo mu żadnej nie nadał odmiany, albo mu samogłoskowe zakończenie dodał, Francuz przeciwnie, zatrzymał głós swój na przedostatniej spółgłosce; *klassa*, *massa*, *historja*, *botanika*, *mechanika*, *maskarada*,

---

Nie rży tu rumak nie brzęczą bronie,
Roty nie krążą nie tętnią konie.
Sieńkiewicz w Pani Jeziora.

Anna i t. p. *classe, masse, histoire, botanique, mechanique, mascarade, Anne;* podobnie, gdy widzieliśmy iż w języku polskim niema prawie wyrazów któreby na końcu trzy spółgłoski miały, a te które mają, mają je prawie najmiększe (*pilść, szerść, garść*), w języku francuskim przeciwnie, najtwardsze skupienia przy końcu są pospolite: *l'arbre, marbre, tordre, mordre, sceptre, spectre, perdre, lorsque, monstre, rustre, pourpre* i t. p. *Powtóre*, pojedyńcze wyrazy języka francuskiego są pospolicie krótkie, zakończone nieraz na nieme *e;* mają na końcu nie syllabę ale półsyllabę, i same są jakby półwyrazy; w języku polskim przeciwnie, każdy prawie osobno wzięty wyraz ma swą powagę, ma swój oddzielny charakter, i wykończoną budową swoją przedstawia mnóstwo pierwszej piękności składów. (*Niebiosa, świątynia, rozwaliny, potęga, berło, grobowisko, zarośle, dolina* i t. p.). *Potrzecie*, s tej ostatniej uwagi na skład pojedyńczych wyrazów, wypływa jeszcze na stronę języka korzyść we względzie miarowej budowy wiersza i naśladowania hexametrów dawnych; wprawdzie ogólne języka polskiego prawo *przedostatnia długa*, a zatém brak pojedyńczych spondeów i jambów, każe mu na pozór ustąpić francuskiemu, który ma taką rozmaitość

floczasu w słowach, że przeplatanie męskich i żeńskich rymów jest jednèm s prawideł francuskiego wiersza; istotnie jednak rym ten francuski żeński nie jest zupełnie żeńskim, długa albowiem przedostatnia syllaba nie ma po sobie drugiej zupełnej, ale jakby tylko półsyllabę, półliterę, *e* nieme, nie mające pełnego głosu; ten zatém dźwięk obojętny głoski, połowie francuskich wyrazów właściwy, i te liczne nosowe dźwięki, i samogłoski głuche, i nieme spółgłoski, sprawiać koniecznie muszą, iż budowa miarowa wierszy francuskich trudniejszą jest jeszcze niż polskich, mówię trudniejszą, że bowiem i w języku waszym nie jest łatwą to pewna. Jakkolwiek zaś najgładsze składać możecie daktyle, ta jednak gładka składnia niezbyt lekko trafić się może, a brak zupełny, jak tylkom co rzekła, pojedyńczych jambów, spondeów, i wielość jednosylabnych słówek s których żadne prawie stałej prozodii nie ma, nie łatwém czyni budowanie muzyczne wiersza, a tém bardziej dawnego hexametru. Z miarowych wierszy polskich, same tylko trocheiczne i amphibrachiczne spotykałam wyborne, wszystkie inne mierne. Hexametr Nowaczyńskiego jest raczej karykaturą prozodii. Czarująca skądinąd *Powieść Wajdeloty*, przedstawia nam nie-

raz twarde lub z obojętnych syllab złożone daktyle; jeśli bowiem trafiamy w niej liczne pięknej budowy wiersze jak *np.*

W koło pa | górkow na | błoniach | puszcza szu |
miała jo | dłowa

albo

Bywaj | zdrowa za | pomnij | zapłacz nie | kiedy na |
demna i t. p.

mnóstwo też znajdujemy innych w których daktyle podobne są do: *cerkwiach zdo* | byte; *wozach zwy* | ciężców, *kędyś śród; jaki mój* i t. p. Pentametr Okraszewskiego *Wspomnienie Okolic Rzymu*, naprzemian z Hexametrem pleciony, łączy do tego przesadną o średniówkę i zakończenie męskie staranność, co w dłuższym poemacie mogłoby być niesmacznėm a może i niepodobnėm. Raz zatėm jeszcze powtórzmy: język polski pod względem prozodii wielu nowożytnym nawet ustąpić musi, ale ta nieodmienna przedostatnia długa, daje mu skądinąd inny jemu tylko właściwy przymiot, niezmienną powagę i ciągłą ślachetność; a ta powaga i ta ślachetność tak mu się stały wrodzone, że najpierwszym talentem obdarzony pisarz, nie wyda w języku polskim zbytniej karykatury albo gminnej mowy, aby się w nich owej powagi i owej ślachetności nie przebijał rodzaj.

Kończąc rzecz o harmonii, wspomnieć mi jeszcze wypada o jej rodzaju *naśladownym* zwanym, zwanym od tego, iż dźwiękiem swoim naśladuje własność malowanego przedmiotu; obfitość i zdatność języka polskiego w tym względzie tłumaczy się jasno obfitością dźwięków; tak, że nie ma prawie rodzaju czynności i ruchu, któryby się dźwiękiem polskiego nie mógł odmalować wiersza:

. . . . Tętnią po bruku kopyta.
Kołacącego młyna tłukące się koła.
Lecą otarte tartaku trociny.

W następnym przykładzie s poematu Zaborowskiego, każdy prawie wyraz ma dźwięk naśladowny:

Po *czarnych grzmi pieczarach* odgłós ich *ponury*.
Iuż *twarde skrzypią korby*, *ssące syczą* rury,
Ciągłémi się odgłosy tłumią naprzemiany,
I *zasapane miechy* i *szumnych wód piany*,
I *wart kół* i *pisk osi* i *tłoków łoskoty*,
I *głós piorunny* Bluda i *tartaru grzmoty*.

BUDOWA WEWNĘTRZNA.

Moc. Formy do zmiany znaczenia wyrazów.

Jeżeli jaki przymiot języka może prawdziwie nazwać się przymiotem, to zapewne moc jego; cała ta harmonija, o którejśmy dopiero mówili, o tyle jest tylko przymiotem, o ile się przyczynić do zwiększenia mocy tej może.

Moc jest to uderzanie dobitne i zwięzłe umysłu za pomocą słów których używa; powiadam *dobitne* i *zwięzłe*; a z dwóch tych przymiotów pierwszy zewnętrzną a drugi wewnętrzną moc językową oznacza. O pierwszej zdarzyło się już nam nieraz w poprzednim rozdziale wspomnieć, tu więc wspomniemy ją krótko, jakby robiąc wyciag; drugiej zaś, jako istotnej, całą tę część poświęcamy.

Przypatrując się budowie wyrazów francuskich i polskich pod względem zewnętrznej ich mocy, nie możemy podobno na jednę i drugą stronę dać stanowczego wyroku; jeśli bowiem ogólna wyrazów polskich harmonija przedstawia daleko więcej silnego brzmienia składów, z drugiej strony krótka wyrazów

francuskich budowa, zwięźlej i prędzej działać na umysł może; moc zewnętrzna języka polskiego jest jak moc potężnego zamku, którego wielkie bramy i bronią żelazne rygle; moc francuskiego języka jest jak moc silnie zbudowanego domku, co celnie rozstawionémi działy, równie trafnie bronić się może; jezyk polski staje tu jak olbrzym z ogromną swą głową i ze swoją tarczą, język francuski jako zwinny chłopiec, który zręcznêm ciśnieniem kamyczka nieraz olbrzyma obala.

Kiedy zaś język francuski chcę porównywać z waszym co do wewnętrznej mocy, przedstawia się tu właśnie owe pytanie znane: czy języki za pomocą przedimków, czyli też za pomocą końcowych odmian odznaczając względy, działają silniej na umysł? Niewielu jest przedimków utrzymujących stronę, jedno bowiem i to samo słowo, zmianą własnej postaci zmieniające znaczenie względu, silniej uderzać musi niżeli dwa słowa łączone; ci zaś którzy utrzymują przeciwnie, ten jeden tylko prawie przytaczają przykład, iż jest przypadek w którym przedimki oznaczają wzgląd, jakiego języki ich niemające oznaczyć wcale nie mogą: *êtes-vous roi? êtes-vous le roi?*; to jednakże twierdzenie, chociażby i prawdziwém być mogło, nie może drobnością

swoją ogólnej reguły znosić; ileż to bowiem każde prawie słowo, w języku który względy nagięciem zakończeń odróżnia, nie przedstawia nam odmian znaczenia, s których języki przedimkami się sztukujące żadnego prawie wyrazić nie mogą; chcąc *np.* wyrazić przymiot małości, Francuz powiada *petit*, Polak *mały*; ale ten przymiot małości może mieć jeszcze tysiące innych w umyśle ludzkim odcieni; Francuz, który może je tylko za pomocą przedimków odróżniać, nowych przedimków tworzyć się nie ośmiela; język polski przeciwnie, mogąc odcienia podobne odmianą tylko lub zmianą zakończenia wydać, tak w tym jak w każdym przypadku do nieskończoności posuwać je może (*mały*, *maleńki*, *malutki*, *maluchny*, *malupki*, *maluśki*, *maluteńki*, *malusieńki*, *malutenieczki*, *malusienieczki* i t. p.). Wyrazy rzeczowne, w jednym nawet będące podług zwyczajnych odmian przypadku, język polski zmianą zakończeń w nowe odziewa względy (*anges*, *aniołowie*, *anioły*, *anieli* *Juifs*, *Żydy*, *Żydzi*, *Żydowie*). Sądzę zatém, że w przysądzeniu wygranej w sporze tych wymienionych dwóch rodzajów budowy, wahać się nawet nie można; gdy tym więcej i na to uważymy jeszcze, że s tego właśnie przymiotu, iż język całą treścią wyrazu, zmianą skła-

dających go głosów, swoje wyraża względy, wypływa jeden z największych przymiotów mocy: skrócenie form pospolitych.

Skrócenia te język polski nader przedstawia liczne. Nie będę ja tu wspominać o mnogich wyrzutniach głosek, które s form pospolitych lub z usuwania przykrych zbiegów idą (*palca*, *cielca*, zamiast *paleca*, *cieleca*; *czeski*, *ryski*, zamiast *czechski*, *rygski)*, takie bowiem wyrzutnie pojedyńczych głosek, jak z jednej strony są innym językom właściwe (*l'enfant* zamiast *le enfant; l'on voit bien* zam. *l'homme voit bien*), tak z drugiej w ogóle budowy języka, równoważyć się mogą z użyciem mnogich dodateń; ale język polski przedstawia mnóstwo innego rodzaju skróceń, których przykładu inne języki nie stawią. Nieraz całą syllabę a nawet i całe słowo jedną tylko oznacza głoską, i to w inny wyraz wcieloną; tak, sama głoska *ś* oznacza słowo *jesteś*, głoska *m*, *jestem* (*dumnyś* zamiast *dumny jesteś*, *smutnym* zamiast *smutny jestem); spółgłoska ć* oznacza zaimek *ciebie*, (*lubięć nad inne)*, sama spółgłoska *ń* oznacza *jego*, *niego* (*doń*, *zań*, *zeń*, *odeń*)*;* wiele przymiotników, rzeczowników, słów i zaimków skraca prawie o połowę swe brzmienie: *leczenie*, *lek; człowiek*, *człek; trzeba*, *trza; syty*, *syt; po krzakach*, *po krzach; moja*-

twoja, *swoja*, *ma*, *twa*, *swa*, (przez wszystkie przypadki); zamiast *mnie: mi*, *mię;* zamiast *ciebie*, *tobie*, *jego*, *jemu: ci cię*, *go*, *mu* i t. p. Do liczby wreście skróceń, z układu języka idących, należą krótsze potworzone formy, które tak w czasowaniach jak przypadkowaniach nieraz spotykamy (*wielcy panowie*, *sławni królowie*, *wielkie pany*, *sławne króle*; *miłémi kobietami*, *lubémi pieszczotami*, *miłémi kobiety*, *lubémi pieszczoty*; *ulatuje*, *wychwytuje*, *ulata*, *wychwyta*; *uniesiony*, *zachwycony*, *uniesion*, *zachwycon* *) i t. p.)

Widzimy więc, że końcowa słów języka polskiego budowa, nadaje mu w wyrażeniach moc większą, to samo zaś widzieć możemy i w budowie słów początkowej.

Wiemy to i czujemy, iż wyraz pojedyńczy jeden dający obraz, silniej daleko działać

---

*) Forma krótsza przymiotnika w XVI. wieku była pospolita, jest nawet pierwiastkową zapewne, a dłuższa pochodna: świekier *Jakubow* zam. *Jakubowy*; potomek *Abrahamow* zam. *Abrahamowy; Umęczon*, *ukrzyżowan*, umarł i *pogrzebion*, mamy dotąd w Składzie Apostolskim. *Klonowicz* o Tatarzynie pisze:

. . . . sposobem złodziejskim
Mija miasta i grody *srog* jest ludziom wiejskim.

Srog zam. *srogi* i t. p.

na umysł musi, niż kiedy na wydanie tegoż jednego obrazu dwóch albo więcej słów potrzebujemy, i jeśli przypadki podobne nader są częste w jednym z dwóch porównywanych języków, wahać się w tedy niemożna w przyznaniu jednemu z nich, pod względem mocy, pierwszeństwa. Język francuski nie ma nad parę przyimków albo przyrostków, które dodane do słowa nowy mu wzgląd nadać mogą; język polski ma ich mnóstwo: *o*, *u*, *i*, *z*, *w*, *do*, *od*, *pod*, *nad*, *wy*, *na*, *za*, *ze*, *prze*, *roz* i t. p. Wybierzmy podług woli jedno s czasowych słów polskich, a obaczymy że do każdego z nich prawie każdy z wymienionych dodany być może przyimków i w nowém wystawiać go świetle *); w tém nowém świetle

*) *Pływać (nager) opływać*, *upływać*, *spływać*, *wpływać*, *dopływać*, *odpływać*, *podpływać*, *nadpływać*, *wypływać*, *napływać*, *zapływać*, *przepływać*, *rospływać się* i t. p. *Kupić (acheter)*, *skupić*, *okupić*, *dokupić*, *nakupić*, *odkupić*, *podkupić*, *wykupić*, *zakupić*, *roskupić* i t. p. Podobnie i inne europejskie języki, nawet angielski, najkrótszy w swych formach, musi najcześciej dwóch słów na wyrażenie względu używać, który jęz. pols. dodaniem przedimka wyraża: upłynąć, *to flow away;* zbić, *to beat down*, złamać, *to break down*, zbiedz, *o pass away*. My years *would pass away* in joy, *Ossian*.

idą równie pochodne przymiotniki i rzeczowniki, kiedy tymczasem język francuski jedno ma tylko na te przypadki słowo, na wydanie zaś owych względów albo żadnego nie przedstawia środka, albo, co bywa najczęściej, udaje się do omówienia, czyli do wyrażenia obrazu jednego, dwoma lub więcej słowami: *upuścić*, *laisser tomber*; *zachorować*, *devenir malade*; *udać*, *faire semblant* *) i t. p.

Podobnie, język polski wiele ma wyrazów tak zwanych złożonych, to jest dwa oddzielne pomysły w treść jednego słowa mających zlane, a na ich wydanie język francuski znowu musi dwóch słów osobnych używać (*bogobojny*, *białonogi*, *całonocny*, *gradobicie*, *mało-*

---

i moje lata *zbiegłyby* radośnie. Nie wspominamy zaś tu o odcieniach względów jednego i tegoż słowa (*siedzieć*, *siąść*, *siadać*, *siadywać*, *siadowywać*) bo względy te w większej części słów polskich równoważą się z odcieniami francuskich czasowań.

*) Dodać zaś tu należy, że nie tylko te które powstają z dodania przyimka, ale też wiele innych jest słów polskich, które Francuz nie może inaczej jak przez omówienie tłumaczyć: ośmielić się *prendre la liberté*, wstydzić się *avoir honte*, wstydzić *faire rougir*, dbać *faire cas* i t. p.

wierny, siwobrody, nowonabywca, nocleg). Tych wyrazów złożonych język polski ma bez porównania od francuskiego więcej; i natura języka tego, idąca ze swobód bez granic w nachylaniu, zmienianiu końcowych wyrazu dźwięków, tak dobroczynną i s tej się okazuje strony, iż nie ma prawie rzeczownika i przymiotnika, któreby harmonijnie w jedno się złożyć nie dały *).

S tych zatem krótkich, ale jak sądzę dostatecznych uwag, łatwy możemy mieć wniosek, na którego stronie języka przewaga mocy zostaje; popatrzmy jeszcze krótko na językowe *swobody*.

SWOBODY JĘZYKA.

Swobody językowi polskiemu właściwe nader są rozmaite i liczne; w rozdziałach o harmonii i mocy wieleśmy ich już widzieli. Swobody te mogliśmy nawet uważać w samém tworzeniu się jego, gdy dla silniejszego form odznaczenia nowe nawet potworzył dźwięki

---

*) S poetów polskich XVI. w. *Rybiński Jan* najobfitszy jest w nowe składane wyrazy.

(dz, dź, ć) *). Do swobód tych należą 2-re, Wszystkie skrócenia śmiałe któreśmy także

*) *Ruskiej* wydawa *Prawdy*, Rakowiecki, sądzi że głoski *dź* i *ć* powstały w jęz. pols. przez niemożność wyrażenia pismem głosek *d'* i *t'*. Zdanie mylne; bo oto 1-ód, Jeśli Polacy 30 nowych mogli wyrazić odcieni, wyraziliby i te dwa podobnie. 2-re, Głoski *dź* i *ć* są w ustach ludu który nie czytał nigdy. 3-cie, Ślady ich znajdujemy nie tylko w pierwszych drukach, lecz nawet w rękopismach które wynalazek druku poprzedziły. Weźmy *np.* pierwszy ustęp s Psałterza (1390 *r.*) (*Błogosławyony mosz (mąż) yen nye szedł po radze nye myłoszczywych, i na drodze grzesznych nye stal* i t.d.; i pierwszy wiersz z rękopismu Monugdinga: *Ach miloszcz czosz my uczynila.* W wyrazie *miloszcz (miłość)* widzimy oczewiście staranie o danie odcienia głosce *c* a nie *t*. Alfabet był wzięty łaciński, a gdziekolwiek litera łacińska odmienne brzmienie miała, ostrzegano to literą *z* jako w piśmie łacińskiém prawie nieznaną; pisząc *czosz (coś)* lękano się aby kto nieczytał *koś* bo *c* przed *o* czytało się po łacinie garłowo, na ostrzeżenie więc wciskano *z* i pisano *czosz*; widzimy zatem, że ostatnia głoska wyrazu *miloszcz* i pierwsza wyrazu *czosz* są podobne, że zatém jedną i drugą za jedną i tę samą, s pewnym tylko odcieniem, miano *(c, ć)*. Podobnie z dwóch wyrazów *radze* i *drodze* widzimy, iż *dze* w ostatnim nie mogło mieć brzmienia *d'*, bo jest na miejscu *g* miękkiego (*drodze* zam. *drogie*) już zaś *dz* w *radzie* podobne jest zupełnie do *dz* w nodze; widzimy zatém że i wtenczas brzmienia te za podobne miano, przynajmniej o tyle o ile są *c* i *ć*, *s* i *ś* i t. p.

widzieli. 3-cie, Nieograniczona prawie wolność przekładni i szyku, która jest własnością języków niemających w mechaniznie przedimków. Francuzi w tym względzie w języku swoim największemu się ze wszystkich związaniu poddali; chcąc *np.* powiedzieć *l'arbe religieux*, mimo całej przykrości zbiegu nie mogą wyrazów przemienić (*obraz znany, znany obraz*); podobne zaś przypadki zbiegu jednej natury spółgłosek lub samogłosek, ledwie nie w każdym trafić się mogą okresie; harmonijnie więc chcący szykować je Francuz, nieraz nie porządek wyrazów ale same wyrazy i myśl samą odmieniać albo wyrzucać musi *). Z drugiej zaś strony swobodna wyrazów przekładania, dozwalając główniejszy wyraz kłaść zaraz na początku, we środku, albo też na końcu, stosownie do wrażenia jakie sprawić pragnie, nową obfitość do wyboru pisarza stawi (*król to kazał*, *kazał to król, król kazał to*, *kazał król to, to król kazał*, *to kazał król*). Szyk wolny zdobi w języku zewnętrzną, bogaci wewnętrzną budowę. 4-te, Nieograniczona prawie wolność w budowaniu

---

*) Czytać liczne wyznania w tym względzie samych francuskich pisarzy.

wyrazów nowych, a co większa w zmienianiu postaci tegoż samego wyrazu. (*Julja*, *Julka*, *Juleczka*, *Julunia*, *Julisia*, *Julcia*). 5-te, Podwójne i potrójne formy któreśmy także widzieli (*anioł*, *aniołowie*, *anioły*, *anieli*; *bogi*, *bogowie*; *panowie*, *pany*; *mędrcy*, *mędrki*, *mędrkowie*; *Tatar*, *Tatarowie*, *Tatary*, *Tatarzyni*, *Tatarzyny*, *Tatarzynowie*, *Tatarzy*; *gałęźmi sańmi*, *gałęziami saniami*; *przyjaciół*, *przyjacieli*; *upatrywać*, *upatrować*; *wynajdywać*, *wynajdować*; *bieży*, *biegnie*; *zawieje*, *zawionie*; *zwołuje*, *zwoływa*; *ulata*, *ulatuje*, *ulatywa*; *czeka*, *oczekuje*, *oczekiwa*; *syt*, *syty*; *odzian*, *odziany*; *natchnion*, *natchniony*, *natchnięty* i t. d. i t. d.). 6-te, Prócz form tych podwójnych i skróceń, oprócz nieograniczonej wolności w szyku i zmienianiu znaczenia i względów słowa, nie ma prawie wyrazu w języku polskim, któryby odpowiednego drugiego, tegoż ściśle znaczenia a innej rosciągłości lub innej harmonii, nie miał; co nowym, nieocenionym, pod piórem umiejętnego pisarza, obu budowom języka jest skarbem. Ledwie nie każdy przysłówek użytym być może z zakończeniem na spółgłoskę lub z zakończeniem na samogłoskę, albo s krótszą budową albo z budową dłuższą; podobnie inne wyrazy (*rządzi*, *włada*; *modlitwy*, *modły*; *pagórek*, *wzgórek*; *pogarda*, *wzgarda*;

podziękowania, *dziękczynienia*, *dzięki*; *uczta biesiada*; *koń*, *rumak*, *wierzchowiec*; *slepy*, *ciemny*, *niewidomy*; *odzież*, *odzienie*; *echo*, *odgłós*; *kara*, *kaźń* *); *kołyska*, *kolebka*; *dziecię*, *dziecko*; *suknie*, *szaty*; *w[illegible]y*, *pęta*, *kajdany* i t. p.

Te tak liczne swobody w wyborze form i wyrazów, ten szyk dowolny, ta budowa poważna i silna, ta rozmaitość tonów i iloczasu jedność, jak z jednej strony oddzielną, tak

---

*) Jest to przymiot właściwy wszystkim językom prawie, iż w mówie swej mają niektóre wyrazy które się tylko w piśmiennym i stylu wyższym używają: *cheval*, *coursier*, *espérance*, *espoir*. W języku który się składa s kilku napłynionych oddzielnych, nieraz słowa jednego napływu trzymają miejsce wyższe od słów napływu drugiego (jęz. ang.); przeciwnie zaś, jeśli rozgałęzia się język na dwa albo więcej innych, nieraz natenczas wyraz powszedni w odnodze jednéj, w drugiej jest rzadszym i wyższym, i wzajemnie; tak *np.* w jęz. ross. słowa *казнь*, *казнить*, *другъ*, są pospolite; w jęz. pol. *kaźń*, *kaźnić*, *druh*, w stylu się tylko wyższym używają; nawzajem jęz. ross. mówi potocznie *лошадь* a w stylu wyższym *конь*; *губы*, *уста*; *груди*, *перси*; *нѣдро*, *лоно* i t. p., które to wyrazy *koń*, *usta*, *piersi*, *łono* są potoczne w jęz. polskim.

z drugiej nader obfitą *) dawać muszą stylowi, tak w wierszu jak w prozie, barwę.

Dosyć jest, zdaniem mojém, wziąść jaką księgę poezij waszych i przypatrzyć się w nich budowie wzorowego wiersza, aby zrozumieć i uczuć, jak te końcowe formy, jak te swobody liczne, moc niezmienną, powagę i wdzięk wierszowi nadają.

Kiedy *np.* czytając Pieśni tłumacza Iliady, w każdym prawie natrafiam wierszu na niepowszednie użycie składni, wyrazu lub formy; kiedy *np.* czytam, jak zamiast powiedzieć: »Przywołuję na świadków nieśmiertelnych bogów« pisze:

Ja *bogi nieśmiertelne* przyzywam na *świadki!*

kiedy słucham jak opuszczona królowa, miotając gniew zapalczywy na boskiego kochanka woła:

»Nie bogini ci matką, ni twój ród z Dardana **)

---

*) W liście o *Szkołach Poezii Polskiej* ujrzymy to jaśniej w przykładach. Przyp. do listu Amer.

**) »Nec tibi diva parens, generis nec Dardanus auctor.« etc.

Zdrajco! srogie Kaukazu wylęgły cię skały,
A hirkańskie tygrzyce piersi ci podały *)
i t. d.

---

*) Przekład *De Lilla*.

Non, cruel, tu n'est pas le sang de Dardanus;
Non, tu n'est point le fils de la belle Venus;
N'impute plus aux Dieux la naissance d'un traître;
Non, du sang des héros un monstre n'a pû naitre;
Non. Le Causase affreux t'engendrant en fureur,
De ses plus durs fit ton barbare cœur;
Et du tigre inhumain la compagne sauvage,
Cruel! avec son lait t'a fait sucer sa rage.

W przekładzie Dmóchowskiego trafiamy pospolicie na wiersze silniejsze niż sam oryginał; przy szczęśliwej naturze języka to się stać łatwo mogło, bo Dmóchowski, każdy wiersz długiego hexametru skracał na pojedyńczy, trzynasto-zgłoskowy; więcej sztuki potrzebował Ossiński tłumasz trajedij Kornela, pragnąc wiersz każdy francuski zamieniać na odpowiedni polski; ledwie nie każdy bowiem mogąc wyrazić połową, stać się mógł łatwo rozwlekłym; niesmacznym. Trudność tę jednak pokonał talentem; wiersz jego zawsze piękny, dostojny, tragiczny, a stosownie do ducha języka, nieraz siłą, a zawsze dumą oryginał przewyższający. Dosyć wziąść którąkolwiek scenę z *Horacijuszów* lub *Cyda*, aby tę prawdę poznać. Tak, w sławnej kłótni dwóch Hiszpańskich wodzów s powodu wyborujednego na przewodnika Księcia, gdy obrany *Dyego*

Lub gdy biorę przypadkiem Felińskiego w rękę, i na te *np.* wiersze s trajedii Wirginija trafiam:

---

na' dany sobie zarzut starości odwołuje się do swych przeszłych czynów, *Gomez* mu od powiada:

»Martwe to są przykłady, nie mają potęgi:
Żaden się rycerz wojny nie nauczył s księgi.
Ale cóżeś dokazał aż w ten wiek zgrzybiały,
S czémby moje w dniu jednym prace nie zrównały?
Jeżeliś ty był kiedyś, jam jest teraz mężny,
Jam podpora królestwa, jam jest mur potężny.
Arragon drży z Grenadą gdy ten oręż błyśnie,
Pod moję się obronę Kastylia ciśnie.
Bezemnie downobyście poszli już w kajdany« i t. d

Oryginał francuski.

Les exemples vivans ont bien plus de pouvoir;
Un prince dans un livre apprend mal son devoir.
Et qu'a fait, après tout ce grand nombre d'années,
Que ne puisse égaler une de mes journées?
Si vous fûtes vaillant, je le suis aujourd'hui,
Et ce bras du royaume est le plus ferme appui.
Grenade et l'Arragon tremblent quand ce fer brille;
Mon nom sert de rempart à toute la Castille;
Sans moi vous passeriez bientôt sous d'autres lois,« etc.

»Wybaw ją ludu Marsa, władnący w tém mieście,
Jest Rzymianka, jest wolna, jak i wy jesteście,
Jest córką Wirginiego, jest ze mnie zrodzona,
Ta którą z matczynego śmią wyrywać łona;
Śmią to czynić potwory, słudzy waszych wrogów,
W obec was, w obec Rzymu, w obec świątyń bogów.« *)

nie mogę się nasycić tym wyrazów składem, które odmianą tylko pojedyńczych głosek tak różnostronnie wahają umysłem; nie mogę nasycić się dosyć powagą i mocą wiersza, i z uniesieniem całuję słowa, które mi tylu nowych stają się źródłem uczuć.

Za główny języka francuskiego przymiot, kładą Grammatycy *jasność*. W języku, który jeden wzór tylko uszykowania wyrazów przypuszcza, jasność ta miejsce mieć może; czyli jednak istotnie jest ona wielkim przymiotem, o tém zawyrokować nie łatwo; bo oto *najprzód*: ten język który ma tylko szyk jeden, jeden też tylko może mieć rodzaj stylu; jakoż istotnie, czyli to w

*) . . . . agli occhi vostri?
A Roma in mezzo? ai sacre templi in faccia?
Alfieri.

języku francuskim wiersz bohaterski, czyli list poufały czytamy, odrzuciwszy myśli na stronę, tok wszędzie wyrazów jeden; *pówtóre*: dbanie wielkie o jasność, pozbawiać musi język sposobów wyrażania się źwięzłych i mocnych *). (*Hej! Janie, dawnoś s Królewca!* Hola? Jean, y a-t-il long tems que tu est de retour de Königsberg? *Co ci się było stało?* Quelle facheuse aventure vous est-il arrivé? *Czyście znajomi?* Vous connaissez-vous l'un l'autre? *Nie nas to obraził*, Ce n'est pas nous qu'il a offensé; *Nas nie obraził*, Pour nous, il ne nous a fait aucune offense).

Nie jestem ja wcale, mój drogi, nieprzyjaciółką Francii, nie mam ja wcale zamiaru poniżać jej pięknego języka, pięknego polorem i piórem geniuszów; ale nie chcę dzielić przesądu tyle tu powszechnego, iż język ten jest prawie miarą doskonałości, iż nie ma wady którąby mu była właściwą, nie ma ozdoby którejby nie posiadał; dodać więc jeszcze muszę, że nawet sama jasność nie jest zawsze jego udziałem; owszem, jeżeli jest prawdą że

---

*) P. *De Vienne* tłumacz bajek Krasickiego na jęz. franc. sam przyznaje polskiemu pierwszeństwo, co do krótkości, źwięzłości i. t p.

dwuznaczność wyrazu wpływać koniecznie musi na zaćmienie zdania, tedy okresy francuskie, zbyt mało być muszą, i są właśnie, od tej wady wolne; nie ma albowiem prawie słowa ani słówka, któreby w owym języku nie tylko dwóch, ale nawet kilku nie miało znaczeń; i wada ta tak mi się widzi silną, że nawet stylu piór najcelniejszych od dwuznaczności i zawikłania nie uwalnia *).

Otóż, Adolfie mój drogi, me główne i pierwsze myśli, które mi się przy poznaniu bliższém języka polskiego nastręczyły; darnj, jeśli nie jasny układ, jeśli wykładu krótkość, będą powodem, iż ci się nie wydadzą porządne i trafne, tą razą jednak na tém zaprzestać muszę, i list ci ten mój posyłam, tak jak się

---

*) Mais s'il est dans l'univers deux êtres qu'un sentiment parfait reunisse, et que le mariage ait liés l'un à l'autre, que tous le jours à genoux ils bénissent l'Ètre suprême, qu'ils voient à leurs pieds l'Univers et ses grandeurs; qu'ils s'étonnent, qu'ils s'inquiètent même d'un bonheur etc. (*Mme Staël de l'influence des passions.*) W przykładzie tym *que* od *tous les jours* znacząc *niech,* a wyżej oznaczając zaimek względny, miesza obrazy, ćmi jasność i psuje ogólne wrażenie tego pięknego okresu.

stworzył pierwotnie. Kiedy zaś raz ostatni przewracam jego stronice i szczegóły w nich rozsiane przebiegam, te mi ogólne uwagi i te przedstawiają się wnioski, iż *najprzód*: Język polski ze wszystkich języków jest jeden w którym nowy spółgłosko - samogłoskowy systemat najdalej jest wyrobiony, najjaśniej odznaczony, i pierwszy, w którym poznany; że *powtóre*: Poznanie to składu jego, nowe rzuca światło na naturę i czynność w budowie głosek; i że wreście *potrzecie*: Rozmaitością dźwięków, powagą, swobodą i mocą, język ten wszystkie celuje.

Kiedy zaś kończę obraz ten, Adolfie, nie mogę tu nic dodać i twej nie obrócić uwagi, iż ten język, tak dziwny w swym składzie, równie jest dziwnym w swych dziejach. Było to skutkiem składu politycznego państwa, iż z najdalszych ziem polskich zbierający się reprezentanci na zjazdy, łączyć się jednym duchem i wspólną musieli mową; język ten więc, który jeszcze przy końcu XIV wieku był tylko własnością Mazowsza, Krakowa, Poznania; który się nie rościągał jak tylko od Niemna do Warty; przy końcu XV już był językiem Litwy, Wołynia, Podola, Rusi Czerwonej i Białej, Żmudzi i Pruss Króle-

skich; rościągając się od morza do morza *). Politycznym rozdziałem kraju, który we trzy wieki nastąpił, i smutnémi dziejami które naród przebył, rozszerzyła się bardziej jeszcze obszerność języka. Pisma polskie drukować się zaczęły w stolicach władnących a ojcoskich mocarstw, w Petersburgu i Moskwie, w Berlinie i Wiedniu; posunęły się dzieje, i drukować zaczęto w miastach francuskich, w Paryżu. Ludzie tym językiem mówiący przepłynęli morza i na nowych osiedli ziemiach. Pośród pustyń Kanady, ja sama, Adolfie, przed laty, wszak polskiem śpiewała pieśni. I dziś, nie ma kraju w Europie, nie ma części świata na ziemi, gdzieby językiem tym nie mówiono i gdzieby nim nie pisano.

*) Równe przyczyny równe tworzą skutki: Anglja, Irlandija i Szkocija jeden podobnie piśmienny przedstawiają język.

LIST XV.

ZBIGNIEW DO WALEREGO.

Elin. Listopad.

Wszystko jasne, Walery, wróciłem, widziałem, pojąłem. Ale cóż czuję dzisiaj? radość li we mnie czy gniew? czy miła roskosz czy żal? Kiedym po owym liście, którym ci z Minogrodu pisał, i sam wkrótce wyleciał z miasta, nie wiele mi wiejskie słońce i malowne pomogły widoki. Jam nie widział słońca ni ziemi. Stały mi w uszach pieśni które spiewał Henryk, a nóta ich nie dawała zasnąć doznawanemu przy nich uczuciu. Jechałem jednak i dojechałem wreście. Chciałem zaraz nazajutrz odwiedzić Dolinę, alem się wpółdrogi skierował i pojechał do PP. Lińskich. Jakże tam miło mi było. Co za dobra Panna Melanija, o jaka miła, anielska. Znalazłem tam kilka osób, mogliśmy mówić wygodniej.

— »Pewnie tam panu w mieście dnie najweselej ubiegały, rzekła, ale nie wszystkim podobnie w jego domowej stronie.«

— O! rzekłem, gdybym wiedział że słowa które słyszę są prawdą, i że znaczyć to mo-

gą co pragnę, nanowobym się na świat narodził.

— »Czyli są prawdą! odpowie z uśmiechem miła ma towarzyszka rozmowy, zaiste, przekonanie zbyt łatwe, powiedzieć to mogą wszyscy. Wczoraj byliśmy w Brańsku, zawczoraj razem w Górlinie; przed kilku dniami we własnym PP. Rajeckich domu, a ona, Anakoanka, zawsze w sukience czarnej i z białą u piersi różą. Jak była ślub uczyniła nosić ten ubior codziennie, tak go dopełniła do końca, a najmilej dopełnić jej było. Ale jutro zapewne białą sukienkę włoży, jutro prosimy przyjeżdżać.«

Jam chciał całować brzeg sukni tej miłej panienki, tej szczérej przyjaciółki, co mi te słowa mówiła; byłem tak wesół jak nigdy. Wesołym był obecnością, wesoły byłem nadzieją, nazajutrz bowiem wypadał dzień Pani Lińskiej imienin.

Zadziwisz się może, Walery, że ci tak często w mych listach o wieczorach i dniach imienin piszę, nie dla tego to jednak wypadają tak często że ja te listy pisuję, ale że każdy list mój jest dnia ważniejszego natchnieniem. Tak dzieje każdego państwa pełne są samych wojen, lat albowiem pokoju

długo nie kreśli dziejopis. Lecz mniejsza o ustępy, ja do imienin wracam.

Chciałbym ci dzień ten opisać, szczegółowie go opowiedzieć, czy jednak potrafię? nie wiem. O! kiedy cios gwałtowny, gdy nieprzeczuty wypadek nagle nas uderzy, i zmiesza nam zupełnie bieg pospolitych myśli, nie jesteśmy go w stanie opowiedzieć drobno, nie wiemy sami skąd, kiedy, i jak się w nas znalazł, i jak nagle wpadł do nas tak nagle udzielić go chcemy. Wieszże Walery (chcę ci tu z góry powiedzieć) czegom się od niej dowiedział? nie wieszże jeszcze,... o, i miałaż mi serce sama to powiedzieć i wyznać? ta, której maleńka rączka tak silnie ścisnęła moją kiedyśmy się witali; która mi nieraz potém wyciągała ją skrycie, bym mógł do woli ją ściskać, która duszę swych oczu do środka mojej wlewała. Mogłaż mi ona to wyznać?... Czy mogła? — ona musiała. Ach, widzę jeszcze te kochane oczy gorzkiemi zalane łzami kiedym jej czynił wymówki; jam na te łzy nie uważał, coraz się dalej posuwał; możem nawet zbyt srogi, natrętny był w ich czynieniu. Cóż miała począć? Długo widziałem walkę, długo starannie odbijać, taić, ukrywać się chciała, ale nareście przymuszoną była, przymuszoną była objaśnić, i sama powiedzieć,

wyznać: że jest . . . że jest narzeczoną Władysława.

Wspominałem ci podobno w mych listach o ścisłej dwóch staruszkow Rajeckiego i Odorskiego przyjaźni. Rajecki przyrzekł słównie przyjacielowi swemu majątek swój po śmierci synowi jego zostawić. Kto jest tym synem zapewne domyślasz się łatwo. Obietnicy tej nie żałował, ale w ubiegłych latach zdarzone wypadki, w nowe i niespodziane strony zwróciły uwagę jego. Dowiedział się P. Rajecki o życiu synowca swego, i nowe przywiązanie do swej nieznanej wnuczki niespodzianie mu serce objęło. Zapragnął silnie ją widzieć, pragnął ją mieć przy sobie, nawet jej oddać majątek, chciał jednak to pogodzić z dawniejszą obietnicą swoją, i podał przyjacielowi układ poślubienia syna i wnuczki.

Układ mile przyjęto, szło tylko o wykonanie. Największa trudność, przyjazd, już usuniętą była; zostawały jednak dwie inne: Anakoana nie znała dobrze języka i obyczajów naszych, i jeszcze zbyt była młoda. Obie te trudności najzręczniej załatwić się dały dwuletnim w Minogrodzie pobytem, i to w domu Pani Odorskiej, wujeczno-rodzonej siostry starego Odorskiego

I cóż sądzisz Walery, co między nami po

takiem nastąpić mogło wyznaniu? Jesteśmy już poufali, poufali zupełnie z sobą . . . zdaje się zgadnąć winieneś.

— »Zbigniewie, rzekła do mnie, ty mnie nie opuścisz? nie opuścisz mnie biednej, w nieznajomą stronę rzuconej. Niczyją w świecie być nie chcę; ja pragnę tylko być twoją. Ach! mam ja matkę Zbigniewie, lecz matka ta nie tyranka a przyjaciółka moja; ja będę płakać przed nią, zaklinać ją i prosić, ja się rzucę jej do nóg, i póty nóg tych nie puszczę, póki mi nie da słowa że już Władysława nie będę.«

Jakież to były słowa! O mój kochany Walery, czyś ty kiedy słyszał podobne, czy możesz wyobrazić połowę przynajmniej roskoszy, jaką podobne dźwięki wlewać do serca mogą. Poślubienie Anakoany było mym zawsze najdroższym lubo ukrytym zamiarem. Zaiste, jestże szczęście większe nad inne w świecie, jak poślubić istotę którą kochamy silnie? Teraz jesteśmy oboje na wolą matki oddani. Nie spodziewam się zgody dziada, ale mniejsza mi o Dolinę.

Czy się kochała pierwej w Władysławie? tego s pewnością nie wiem; tak jednak sądzę iż się musiała kochać. Władysław mało ma zalet umysłu; lecz pierwsza miłość nie jestże

zawsze ślepą? Pierwsza którą kochałem, była pamiętam, nawet bez wdzięków ciała, cóż więc dziwnego że ona w pięknym Władysławie kochać się mogła, i kochać się silnie? Lecz ona mi ciągle przeczy, do łez się nawet obraża; a ja . . . mamże znowu tu wyznać?.. mnie łzy te gniewają i chłodzą, bo większy czućbym mógł tryumf gdyby kochała dawniej.

Co mi przyniosą dnie które nadejdą, nie wiem; tym czasem bądź zdrów Walery; piszę do Henryka o sukience i róży, i proszę go by do mnie przyyjeżdżał.

Ps. Państwo Lińscy wyjeżdżają na miesiąc do Minogrodu dla przypadającej ich sprawy: jam się podjął wygotować dla nich kwaterę; mój ostatni sąsiad miejski, Łowicki, który przychodził do mnie na gawędkę, wiele mi porządnych polecał, proszę więc w liście Henryka, aby się zechciał do niego z listem odemnie potrudzić, i co odpowie donieść; lubo Henryk za wietrzny do podobnych poleceń, spodziewam się jednak że je tą razą spełni, dodałem bowiem że PP. Łowiccy mają młodą córkę, i że sprawa o której w liście jest ważną; posłałem mu też formę prośby, by dał ją komu w mieście do porządnego przepisania.

LIST XVI.

Henryk do Zbigniewa.

Minogród. Grudzień.

Mościwy mi wielce i łaskawy Panie!

Jest to zdanie jednego z rozumniejszych od wielu ludzi, (przysięgam że nie moje) iż ziemia nasza świeci się jak miesiąc; gdyby tak było istotnie, to mój dzisiejszy palec pewnie byłby tą plamą co na miesiącu widzą. Cały ranek pisałem, a to wszystko s twej łaski, i dla kogoż? dla nieznajomych mi wcale oczu jakiejś Panny Melanii. Jeszczeż o dzisiejsze to mniejsza, ale co za wczorajsze . . . uniżony sługa.

Zadziwiłem się bardzo po przeczytaniu twojego listu, co to za Państwo Łowiccy tu mieszkający być mogą, kiedy wszystkie tutejsze Państwa znam dobrze od domu do domu; sądziłem że są to nowi jacy na mieszkanie do miasta przybyli, a wyczytawszy że jest tam i młoda panienka, nie tylko się zaraz wybierać s całém ożywieniem zacząłem, alem się dobrych newet parę godzinek wybierał. Łowicz! myślilem, Łowicz, wszak to miasto? Łowiccy, panowie wielcy, nie książęta to

pewna, jednak panowie! ha, czemuż? . . . półgodziny układałem swe włosy, półgodziny wiązałem chusteczkę, i dalej tym podobnie, aż wreście wyszedłem. Remiza! zawołałem... wnet podskoczyło kilku; wybrałem co najpiękniejszą i pojechałem jak trzeba.

Przyjeżdżam pod dóm wskazany i wyskakuję lekko: Czy tu stoją PP. Łowiccy? pytam, ujrzawszy dwóch siedzących około bramy lokajów.

— »Niema tu nigdzie żadnych« odpowie mi jeden.

— »Kiedy panu trzeba, to zawołam,« odpowie, wstając z drugiego końca, drugi.

— Zawołasz? rzekłem zmieszany, ale już nie miałem co począć, prosiłem by mi pokazał gdzie stoją, i wszedłszy na poddasze znalazłem się u PP. Łowickich. Staruszek w odartej i polapanej kapocie wysunął się naprzód; sama Pani Łowicka w wytartym szlafroku, ze starym w gładko zaczesanych włosach grzebieniem, wstała także, i z zadziwieniem spoglądali na mnie. Rzekliśmy potém kilka słów do siebie; ja uczułem złość niewymówną.

Gdzież tu jest przecie panienka? myślilem.

Obejrzałem się, i koło okna postrzegłem.

Dobre nieba!

Wolałbym talerz zjeść marchwi (którą wiesz jak lubię) niżeli raz drugi obejrzeć się podobnie.

Staruszek zaczął mię przepraszać że przymuszony jest tak źle mnie przyjmować,—»kiedyś, rzekł, było inaczej, ale teraz szeląga człowiek na obaczy.« Odpowiedziałem mu że mnie daremnie przeprasza, bom tu nie jest za swoją ale za cudzą sprawą, i to mówiąc oddałem twój list. Wziął go i zdało się że okularów szukał; ale dobry staruszek nie tylko szeląga w kieszeni, ale nawet nie miał kieszeni! istotnie jednak szukał okularów. »Moc dawnego nałogu, rzecze, kiedyś to czytał człowiek, ale minęły czasy; od czasu jak moich oczu pomoce zmuszony byłem przedać, na nic mi się prawie pozostałe oczy nie zdają. . . Nie narzekam jednakże, dodał, wzięło mi niebo wszystko, ale też dało skądinąd; mam córkę Eleonorkę która za wszystko mi stanie. Czegoż się rumienisz Eleonorko? chodź tu moja kochanko, przeczytaj co do mnie piszą.«—Wdzięczen ci byłem nieźmiernie, kłopociło to mnie najwięcej aby nie sądzono, żem się tak do nich ustroił.

— Muszę śpieszyć, rzekłem, na umówio-

ne miejsce, czy nie mógłbyś mi, Panie Łowicki, na kwaterę przysłać odpowiedź.

— »A toż zaraz, rzecze Pani Łowicka, niechajże Pan siada tymczasem. Franciszek, zydel. Eleonorka czyta, zaraz skończy.«

— Bardzo dziękuję, rzekłem, ale czas mię nagli, odpowiedź może być długa.

— »Eleonorko! a cóż tam?«

Przemogłem się i raz drugi na czytelniczkę spójrzałem.

O mój kochany mopsie!

Gdybym cię tu postawił, mogliby cię wziąść ludzie za piękność.

— »Pan Zbigniew Y... rzekła (na znak tryumfu wciągając nosem powietrze) prosi o kwaterę, żeby nająć, ale żeby piękną; możeby naprzeciwko, dodała, ale nasamprzód że trochę wilgoć, a powtórnie, że nadto droga.«

— »Czego wilgoć, rzekła matka, jak przepalą to i wysechnie. Da i nie bardzoż droga, talar na dzień. Ot i dobrze, dodała, to Pan kiedy chce to już może pójdzie, a my to już doniesiem.«

Pożegnałem wszystkich ukłonem i przeklinając ciebie wyszedłem. Nie wiem za co, ale nigdy takem się jeszcze nie gniewał.

Lecz wreście minęło już wszyśtko, dziś doniesiono mi podług danego słowa, że wspo-

mniona kwatera już zamówiona dla waszych sąsiadow, podług wymienionej ceny, o czém ci nawzajem donoszę.

Władysław tobie się kłania; dziwisz się że ci nie mówił o swém narzeczeniu, że wspominał o Pannie Anakoanie jak o zupełnie obcej. On o tém wcale nie myśli; kiedy mu ojciec powiedział że się powinien żenić, zgodził się z ochotą, zwłaszcza gdy ujrzał swą przyszłą; lecz opowiadać tego nie widział potrzeby, mogąc się chwalić wygodniej. Wczoraj mi jednak się przyznał. Przyjedziemy obydwa do was, ja prosto zajeżdżam do ciebie; zmiłuj się tylko każ zabić jaką świneczkę, bo nie wytrzymam waszych niby uczonych obiadów; dosyć mi już dojedliście z Walerym swojém śpiewaniem ciągłem, że wszelkie tłustoście i mięsa przyśpieszają i krócą życie. Ja na to nie zgadzam się za nic, bo nasamprzód wolę żyć krócej a smaczniej, a powtórnie że tłustoście najwięcej lubię.

Mówcie więc co chcecie,
A ja będę przecie,
Séry jeść i szynki,
Póki mię do skrzynki
Nie włożą.

Bądź zdrowym, wielki Zbigniewie, bądź przynajmniej zdrowym jak ja.

LIST XVII.

Zbigniew do Walerego.

Elin. Styczeń.

Krótko piszę, Walery, lecz zdziwią cię może me słowa; oto nic więcej — przestałem się kochać. Przez te dni wszystkie ubiegłe widywaliśmy się bardzo często; ciągła i zbytnia wzajemność męczyć mię wreście zaczęła; ja prześladuję ją Władysławem by we mnie zawiść obudzić mogła, a ona się zawsze aż do płaczu gniewa. Dała mi wstążeczkę z wyszyciem: *Anakoana i Zbigniew*. Do tego przyłączyła się jeszcze zazdrość; nie mogę się na chwilę oddalić, nie mogę się do nikogo zbliżyć, powiedzieć grzecznego słówka, a nawet się uśmiechnąć, abym nie ściągnał tysiąca uskarżeń się i wymówek. O nieszczęśliwe me serce, jakieżeś to straciło uczucie? jakież bym miał zachwycenie przyciskając wstążeczkę nową.

LIST XVIII.

Zbigniew do Walerego.

Elin Styczeń.

Cóżem to pisał do ciebie? jażbym jej więcej nie kochał! O, raczej nigdy kochać nie przestanę; była to tylko zła chwila; jam sam nie rozumiał dobrze co mi mówiło serce; ja czy ono byliśmy w obłąkaniu. Lećcie prędzej me słowa, odwołujcie poprzedników waszych. . . Idę całować wstążeczkę, do serca mego przyciskać.

Ps.

Ona się ośmieliła wreście, i przed swą matką płakała. Matka zapłakała także, rzekła że nie przeciwi się wcale źwiąkowi naszemu; ale że nie sądzi by dziad jej kiedy się na to zgodził. Dodała: że nie bojaźń utraty majątku nagli ją do słuchania słów jego, ale że mimo wrodzonego który czuje do stryja swego szacunku, mąż jej a Anakoany ojciec dał jej roskaz taki. Dodała jeszcze że szczęście córki nadewszystko ceni, i że będzie pisać do męża o zezwolenie prosząc. Co ma nastąpić nastąpi. Dziej się wolo!

Nie wiem dla czego nie przyjeżdża Henryk, czekam go bardzo i czekam codzień. PP. Lińscy już pojechali, już muszą być na miejscu.

LIST XIX.

Panna Anakoana Rajecka do Panny Melanii Lińskiej.

Dolina. Luty.

Wiem ja że mię nie zdradzisz Melańko, że tych słów moich nikt widzieć nie będzie. Ach, prędzejbym pod ziemię schowała się żywa, niżlibym mogła przenieść gdyby kto ujrzał choć jedno. Jakież to męki, o moja miła, w naszym kobiecym losie! mieć tak bijące serce, mieć je tak czułe, tak wrzące; i s tém się sercem ukrywać, kłamać uczucia swe ludziom; gdy płomień czujemy w sobie, udawać na licu zimę, kiedy łzy biegą do oczu, usta układać i śmiać się. Ale czyż mogę bluźnić? ja się na los mój nie skarżę. O! jedno ręki ściśnienie, jedno maleńkie słowo, jedno spójrzenie mojego Zbigniewa, jakąż roskoszą nie płaci!

Żałujemy mocno Melańko żeście nas odjechały, nie bawcie się proszę długo; Mama moja poleca mi właśnie aby to wam przypomnieć, a razem porucza mi prosić o mały sprawunek *), dla którego właśnie i list ten piszę, i o którym powiem natychmiast, ale nie bawcie się długo. Minogród miły, to prawda; wesołam tam była kiedyś; może być jednak, iż tobie tak się nie wydą; czyż tam być można szczęśliwą? chciałam już przestać, lecz się odzywam znowu: czyliż być można szczęśliwą nigdy nie widząc jego?

O moja droga, cóż to jest serce nasze? ono drży całe kiedy go tylko ujrzę, kiedy sam głós jego posłyszę; trzęsę się cała kiedy klask bicza mnie dójdzie, lub kiedy konie dadzą się słyszeć od bramy; ja poznam zawsze kiedy to konie jego.

Ty wiesz, Melańko, i on mię kocha podobnie; jakaś to luba gwiazda tak nasze splotła istoty, i mnie mu stawi nad inne. Kiedy go nieraz widzę jako się bawi w zebraniu, jak nadskakuje jednej, jak szepce do ucha dru-

*) Jaki to miał być sprawunek? nie wiemy; s całego bowiem listu, ten tylko który umieszczany dostał się nam kawałek.

giej; kiedy patrzę na wszystkie jak go do siebie wabią; o, szczęśliwsza nad inne! sama o sobie myślę: kryj dumę, ciśnij ją w sercu, niechaj go inne łowią, niechaj mu stawią sidła, niech robią mu słodkie oczy, te ich starania daremne; jest w tém zebraniu już jedna dla której jedynie oddycha. O! nie wierzcie słowóm zwodnika, nie wierzcie im, powtarzam, i szczęścia utaić nie mogąc, zalewam się łzami radości.

Daruj mi proszę, Melańko, wnet do sprawunku przystąpię, zbłąkałam się, i nie trafiam do końca; ale tak miło błądzić.

Niedawnom pisała do ojca; mamże ci powiedzieć i wyznać? najmilszą dla mnie myślą w tém pisaniu było: że w ciągu słów mego listu imie *jego* umieszczę; tom się tylko wstydziła, bo mi się raz zdawało że ojciec mój wnet pozna cel napisania imienia, tom się znowu cieszyła że pozna; zdało mi się że on, i każdy który ten list obaczy, będzie mi szczęścia zazdrościć. I napisałam je wreście, i napisawszy zadrżałam. Chciałam ucałować to imie, te lube głoski którem nakreśliła mą ręką. Chciałam ucałować tę rękę, rościsnąć ją w ustach, połknąć. Nieśmiałam długo . . .

ucałowałam wreście . . . ucałowałam to próżne między wierszami miejsce, które nad imieniem Zbigniew bielało.

LIST XX.

Zbigniew do Walerego.

Elin. Kwiecień.

O nie, Walery, jam się nie mylił, już moja miłość minęła. Daremnie wmawiam sobie że błyska mi czasem znowu, serce już nie ma ułudy, już omamienia syte. Jaka odmiana dziwaczna! niedawnom znieść nie mógł zebrania jeżelim jej tam nie widział; dzisiaj się czuję lżejszym, weselszym, kiedy jej w niém nie oglądam. Jej obecność mnie męczy. Cenię ją zawsze wiele, i nie chciałbym za nic by me odstępstwo poznała; ja muszę się wysilać na zwodną wymową, muszę oczyma i całém licem kłamać. Coż to jest miłość? pytam siebie nieraz, i dotykalnie jej niepojętość widzę; coż to jest miłość? pytam spoglądając na nią; wszakże to ona ta sama, wszakżem i ja dziś nie inny?

Żal mi owego uczucia, ponurość mię znowu ogarnia, dzika się obojętność wzmaga, życie męczy. W tym stanie wstręt nawet czułem do pióra, i dla tegom od miesiąca nie mógł do ciebie pisać; lecz oto niespodziewany już Henryka i Władysława przyjazd nie mało mi przyniosł rozrywki, a nowa przygoda w dziejach miłości mojej poruszyła mię także. Słońce zachodzi wesoło, miłe powietrze uczułem płynące w siebie, ujrzałem na podłodze okna koloru słońca; widok ten mi przypomniał lata dzieciństwa mego, te lata przeklinam nieraz, ale mi serce zmiękło . . gotuj cierpliwość Walery, będę list pisać bez końca, lubo nie mam ci pisać jak o niedawnym wieczorze.

O niedawnym wieczorze i o niedawnym ranku.

Henryk i Władysław są tu już więcej tygodnia; s tym ostatnim poznaliśmy się już blisko i niby zaprzyjaźnili. Przeszły cały tydzień bawił Henryk u mnie, ten drugi bawi u Odorskich, skąd znowu razem z Władysławem do Minogrodu pojadą.

Zawczoraj, a było to we wtorek, zjechaliśmy się przypadkiem wszyscy do Doliny. Zjechaliśmy się wszyscy o których ci tylko pisałem kiedy, był tam i Pan B. który posta-

wił karczmę, i Pan S. który utrzymuje zagraniczne gazety. Pan S. istotnie dosyć jest światły człowiek. Ale prawdziwie rozsądny i pożądany w rozmowie, był przybyły z miasta Pana B. przyjaciel.

Kiedym przyjechał do PP. Rajeckich, nikogom prawie nie znalazł. Wkrótce przyjechali PP. Malwieccy, PP. Orlińscy, a tuż prawie za nimi Władysław z Henrykiem.

P. Władysław zaledwie do pokoju wstąpił, zawołał zaraz że świeży miał list z Minogrodu, i że w nim o nowo tam wydarzonym i wcale zajmującym ma doniesienie wypadku.

— »Gdzież i w jakim domu?« zapytała Pani Rajecka.

— »Stało się to w teatrze, odpowie Władysław; wypadek to jednak drobny, ale jak dla nas zajmujący, bo znamy osoby. Jeden wymówny jegomość, siedząc na ścieśnionym parterze, zaprowadził rozmowę z drugim. W rozmowie dowodzić zaczął, Panie Dobr., że cierpieć nie może tych co szkła na nosie noszą. Panowie ci nie uważali że był przy nich trzeci, który właśnie, Panie Dobr., miał cóś podobnego na oczach; pan jednak okularowy bardzo dobrze słyszał co koło niego mówiono, i obracając się do mówiącego, obelżywym powiedział głosem: »Jeżeli Pan cierpieć nie

możesz szkła tego które na nosach noszą, to ja z mej strony cierpieć nie mogę nosów s pod których głupie dają się słyszeć słowa; czy nie podoba się zatém służyć na chwilkę za teatr, jeden z nas zostać tam musi bo niecierpimy się wzajem«. Wezwany udał że nie rozumie i zarumieniwszy się zamilkł, ale okularowy dobył s pod płaszcza rękę i uderzył nią po milczących ustach. A wtedy zerwał się obrażony, chciał natychmiast wybiedz s teatru i na zuchwalca wołał. Zrobił się szelest, ale skończyło się na tém że obu policija zabrała.«

— »Następuje teraz pytanie, odezwał się któś z zebrania, kto winien a kto niewinien?«

— »Nie chciałabym być okularowym, powie Pani Orlińska, i słuchać grubjaństwa o sobie.«

— »Nie chciałbym tym bardziej być mówcą i wziąść publicznie w policzek« powiedział Henryk.

— »A jabym chciała być policiją, powie żwawo Panna Leonilda, bo co to w teatrze.»..

— »Mówcy żal mi prawdziwy, powie Pani Rajecka, nie miał on zapewne najmniejszego celu sąsiada swego obrażać, wyznawał tylko swe zdanie które mu zdało się dobrém. Nie

wiem czy kto nie cierpi tyle jak ja tych szukających sporu ichmościów; brak wychowania, brak dobrego serca, brak mianowicie rozsądku jasno w nich widzieć się daje. Istotnie, obraźliwi zadarte główki do bliskiej im klassy należą.

»Ja bardzo lubię cichych, dodała Pani Rajecka, miła nam jest rozmowa i obcowanie z nimi; nie lękam się wtedy skutków mniej rozważnego słowa, obejścia się mniej bacznego. Dwojacy są ludzie świata ze strony pychy serca, mówiła dalej, jedni w każdym człowieku widzą istotę niższych od siebie zdolności, drudzy przeciwnie wyższych; ta ostatnia jakkolwiek zbyt posunięta skromność, jest jednak, jak powiadają, pospolicie wrodzona wyższym umysłom, geniuszom; pochodzić się ona zdaje z uczucia własnej niedoskonałości ludzkiej, bystrém okiem jaśniej widzianej. Ta to wrodzona skromność zdaje mi się być zasadą postępowania cichych. Wyrozumiałym jest cichy na ułomności ludzkie, nie zapala się gniewem na przypadkowe słowa; cichy się nie obraża ubliżeniem ludzkiem, znając wartość i zmienność człowieczego sądu. Błogosławieni są cisi i spokojnego serca, mówią Chrześcijańskie księgi, czeka ich bowiem nagroda.«

Te wymawiała szanowna Amerykanka słowa, gdy otworzyły się drzwi i wszedł Pan B. a za nim jego przyjaciel.

— »Do nóżek, do nóżek« kłaniając się w około mówili, a poproszeni zajęli miejsca. Przyjaciel Pana B. zrobił się tuż przy mnie; widziałem go poraz pierwszy, ale z wielu ust o nim słyszałem.

Czyli to bywa skutkiem zbytniej niektórych nauki, czy wrodzonej objęcia wady, czyli też może jaśniejszego lubo innego tegoż objęcia oka, spotykamy nieraz umysły które s przeciwnej strony dane pytanie biorą, powszedniej nie rozumieją rzeczy, i niespodzianą dają nam odpowiedź, lub po namyśle bardziej niespodziewane pytanie. Pamiętasz Wacława Z. i Hilarego M., naszych przyjaciół szkolnych, przykładem będą ich słowa. Stali oni w jednej kwaterze, o jednej kładli się świecy. Wieczoru jednego, kiedy Wacław położył się pierwej, idący potém ś trzeciego pokoju Hilary, nie wiedząc czy ma brać światło: »Wacławie, woła, czy jest u ciebie świeca?« »Jest« odpowiada Wacław. Hilary wchodzi ale ogląda ciemność. »Gdzież ona jest« zapytuje. »Tu przy mnie na stoliku« odpowiada Wacław. Nazajutrz o tejże porze i w tymże przypadku, Hilary poprawił pytanie: »Wa-

cławie, wołał, czy zgasiłeś świecę?« »Nie« odpowiada Wacław. Hilary wchodzi, ale ciemno znowu. »I gdzież jest świeca?« pyta niecierpliwie. »Nie było tu żadnej» odpowie Wacław.

W innem poufałem zebraniu, Pani K. siedząc u stołu, użalała się na stan niezdrowia, na utratę smaku: »nic go nie czuję, rzekła, nie umiem przynajmniej rozróżnić; ciasto, dodała, wydaje mi się jak trawa.« Pan Pryzma zastanowił się mocno. »I czyż to, spyta poważnie, smak ciasta taki jest jak trawy, czyli też trawy jak ciasta?«

Owoż owym Pana B. przyjacielem, którego z sobą przywiózł, był właśnie ten sam Pan Pryzma.

Usiadł on jakem już powiedział przy mnie; starałem się natychmiast wspólną z nim zawiązać rozmowę; przez ciąg jednak całej, jakkolwiek długiej, nic wcale w nim dziwacznego ni zbyt oryginalnego, jak uprzedzali ludzie, postrzedz istotnie nie mogłem.

— Pan Dobrodziej, rzekłem po niejakim poprzednim słów ciągu i zapoznaniu się wzajemnem, układa podobno atlas?

— »Żarciki, Panie, odpowie mi Pan Pryzma z radością na twarzy, nie małej to cier-

pliwości i nie moich zdolności do podobnego trzeba zamiaru.«

Żyjąc trochę śród ludzi, łatwo nauczyć się można, że niekoniecznie zawsze ich słowa słownikowe znaczenie mają; nieraz i najczęściej brać je wypada przeciwnie.

Kiedy *np.* chcących wyjeżdżać gości zatrzymuje gospodyni rada, mówiąc: »czy nie lepiej jest przenocować, wszak takie ciemne noce;« nieraz to można tłumaczyć: »wyjeżdżaj prędzej i nie siedź tu do wieczoru.«

Kiedy panienka patrząc na przechodzące wojsko: »przecie już przeszło« powie; to znaczy: »kiedyż to drugie będzie przechodzić znowu!«

Kiedy podobnie inna wspomina z uniesieniem o nastąpić mającej zabawie, i »jakże wesoło bawić się będziemy« powtarza; to znaczy: »sprawiłam sobie nowe sukienki, obaczycie jak będzie mi ładnie.«

Owoż kiedy Pan Pryzma powyższe mi odpowiedział słowa, zrozumiałem iż nie znaczyło to wcale że nie układa atlasu, ale: »tak jest, i widzicie ile tu trzeba talentu.«

— To pewna, rzekłem, że układać atlas, wykreślać, odznaczać kraje, jest to praca niemałej wymagająca męki, sądzę jednakże, że jak każda inna, musi mieć i swój powab; nie ma-

ło zaiste musi mieć ten rozrywki, który na jedném miejscu w swoim pokoju siedząc, najodleglejsze ziemie z ich szczegółami ogląda.

— »Owszem, odpowie Pan Pryzma, jeśliby w podobnych pracach co utrzymywać mogło, to chyba nadzieja stania się użytecznym; owe szczegóły ziemi zbyt mało nas rozerwą, niewidzimy tam wcale ani nowych roślin, ani nowych ludzi, są to tylko litery i linijki, które równie Afrykę, Aziją, jak Amerykę i Europę znaczą.«

— »O! rzekła Pani Rajecka, gdyby to te karty mogły nam stawić i ludzi!«

— Zapewneby Pani, rzekłem, Amerykę północną wybrała.

— «Któż wątpi? i któżby się dziwił? Wzięłabym tę część świata; w tej części wybrała kraj jeden i dopótybym nań patrzała, dopókiby zgasłe światła władzy mi nie odjęły wzroku. O gdyby była moc jaka tak samej przenieść się lekko, jak przenosimy przed siebie obraz dalekiej ziemi, dziwnabym była w swym sądzie, alebym się nagle przeniosła w pewne tam dzikie, śród dzikich ludzi, lasy; i ściskałabym je radośnie, silniej niż Rzymskie pałace. I ciebie Anakoanko bym wzięła, czyliż nie byłabyś rada?«

»Lecz tobie łacniej, mówiła daléj po

przerwie, twe serce nie zbyt jeszcze do własnego nieba przywykłe, łatwiej oswoi się z innėm. Wybaczą mi moi słuchacze, ale mnie, która to wszystko co najgwałtowniej kochałam, to wszystko co na najmilszy wiek mego życia patrzyło, dziś tak dalekom rzuciła, i pośród lubych może lecz obcych się twarzy, obcych zwyczajów znalazła, mnie dziwić się nie można że nieraz gorzko zapłaczę, i wołam o cud do nieba, by mię w me strony przeniosło!«

Nikt nie przerywał milczenia, Amerykanka mówiła dalej.

— »Lubię ja moich ziomków; lubo wpółdzicy jeszcze, lubo śród lasów i po pustyniach żyją, lubię ich i kocham jak siebie; jednakże nieraz, gdy patrzę do jak dalekiego szczęśliwości kresu nauki i przemysł ludzi doprowadzić mogą, nieraz się wstrzymać nie mogę bym nad ich, nad moich ziomków, nie zapłakała stanem! Nie wiem dla czego wola Rządzącego światem żadnemu s przodków naszych nie dała tego popędu, któryby ziemie i ludzi nowego świata zmienił na takie jakie widzimy na starym. Ledwiebym nie wierzyła że przekleństwo jakieś nad naszym rodem zawisło!«

— Nie zbywa i między nami, uśmiechając

się rzekłem, na takich, którzyby radzi tak sądzić; jest to podobno zdanie jednego z Angielskich pisarzy, że mieszkańce Ameryki są przeklętém od Lamecha idącém potomstwem.

— »Rozumowanie zabawne, odpowie Pan Pryzma, jeżeli się nie mylę jest ono Whistona, i trafnie mu na nie odpowiedziano.«

— Nie przykładam ja wcale, dodałem, takowemu twierdzeniu wiary, s tém wszystkiém jeżeli nie tę, innej jakiejś ukrytej w woli Opatrzności szukać musimy przyczyny, bo co się tycze wpływów widomych, klimat nie może być powodem ciągłej mieszkańców jego dzikości.

— »Wytłumaczyliśmy się jak młodzi, powie z uśmiechem Pan Pryzma, klimat owszem bardzo dotykalnie na rozwinięcie władz umysłowych wpływa«

— Lubo jesteśmy młodzi, odpowiedziałem, świat jednak na którym żyjemy jest stary. Każde dzisiejsze oko ogląda przed sobą dzieje blisko 60-ciu wieków, i każde dzisiejsze pióro dokładniej rzecz widzieć może, jak owe którém przed laty stuletni rosprawiał filozof.

— »Na ten raz jednak, Panie, odpowie mi Pan Pryzma, nie wiem czy w ręku jego widziałoby dokładnie; o przedmiocie bowiem o

którym mówimy, doświadczenie inaczej nas uczy.«

Tu nastąpiła długa o doświadczeniu sprzeczka.

— Doświadczenie, rzekłem, jest to podobno wyraz który zapewne dalej ze słownikowych kolumn wymazanym będzie; dzieje narodów i pojedyńczych ludzi, wszelkie przedmioty ziemskie i dostępne oku niebieskie, tak są odmienne, tak niewybadane, tak ze swych stron wielostronnych wielostronnie uważane być mogą, że doświadczenie jest to marne słowo, błąkać nas raczej a nie uczyć zdolne. Cóż to jest zdanie ludzkie o jakim szczególe danym? Co jest naprzykład zdanie o jakiemkolwiek dziele? Czyliż to samo jest dziecka, młodzieńca, męża i starca? jestże takie same prawnika, żołnierza lub innego człowieka stanu? jestże takie same melancholika, poważnego, trzpiota? co mówię? jestże dwóch ludzi na świecie, których o jedném piśmie jednoby zdanie było? Osoba do licznego, nieznanego jej, wprowadzona zebrania, choćby najdoskonalszą być mogła, wszystkich zdania ku sobie pociągnąć nie może; o upodobaniach, skłonnościach, sądzi lub według siebie, lub według znanych jej ludzi, nieraz więc i jednego przyznania nie zyszcze; trzeba tu

bowiem tego co doświadczeniem zowiemy, ale tego mieć nie możemy. Sławny Charakterysta Greków w 90-m roku życia wydający pismo, powiada: że dopiero teraz *zaczął* poznawać świat; gdyby uczony ów Greczyn jeszcze przez kilkanaście świat tenże poznawał wieków, wątpić należy czyliby dodał że skończył. Temu co w doświadczenie wierzy, dośćby ukazać na systemata które w umiejętnościach powstają; coraz je odmieniają ludzie, a w każdym danym czasie doświadczonymi się mienią. Ci zjawiskom natury dają za powód parcie, ci ciąg wzajemny, ci światło, ciepło, ci magnes. Nienazbyt dawny astronom z miną dumną śmiał się s pospolitego oka, któreby mogło sądzić że niebo nad nami stoi, uczyło go *doświadczenie* że jedna ziemia stoi a wszystko koło niej się kręci; dzisiejszy śmieje się znowu i z d*oświadczenia* mówi że kręci się tylko ziemia. A oto podobno wkrótce wierzyć będziemy wszyscy, że równie słońce jak ziemia lecą w nieznane gdzieś strony; *doświadczenia* już wiodą do tego. Systemata nauk pośrednio dotykających ludzi mogą nas mało obchodzić, lecz jakże płakać musimy gdy wspomnimy na inne, w których wiarę w to słowo doświadczenie nieraz życiem przypłacić musimy; mowię tu dla przykła-

du o nauce lekarskiej; doświadczenia w niej nagłym postępują krokiem, nowi mężowie zmieniają systemata i zdania, my doświadczonym wierzymy i nie zaufalibyśmy zanic lekarzowi żyjącemu przed wiekiem; wspomnijmy jednak, że po ubiegłym nowym nikt równie nie zaufa naszemu.

— »W tej samej nauce, odpowie mi dosyć rozsądnie Pan Pryzma, ileż to jest doświadczeń które za takie przyznać musimy na wieki, wszystkie te prawie które mają związek s poznaniem składu człowieka czyli anatomiją, z nauką chirurgii, i niektórych pospolitszych chorób leczeniem. Ale pocóż, doda natychmiast, mówić mamy o rzeczach o których nie nam rosprawiać, wieleż to innych zdań i uczuć w około siebie znajdziemy, którym słowa doświadczenia za nic odmówić nie można; gdybyś *np.* Panie, miał znajomego sobie, któryby się powiadał przyjacielem twoim, pozwalam że mógłbyś mu nie wierzyć, lecz gdyby ten znajomy ratował cię w położeniu zgubném, gdybyś go *doświadczył*, czyliżbyś nie mógł mu ufać na tém doświadczeniu oparty?«

— Ufność podobna, rzekłem, nierazby nas zgubiła; nieraz bowiem czyn jakiś przyjacielskim nam się wydaje, a on wypłynął s powodów które nam wcale nieznane; ale pozwólmy

nawet że był przyjacielskim istotnie; możemyż sprawcy jego zawierzyć i nadal? nie, odpowiadam śmiało, bo oto 1-ód, ciąg dnia jednego może odmienić serce; bo oto 2-re, przyjaźń owa do pewnego tylko mogła rościągać się stopnia *).

— »Na to się zgodzić nie mogę, odpowie mi Pan Pryzma, nie tylko przez doświadczenie poznajemy naturę człowieka, ale nawet w to poznawanie tak się możemy wprawić, iż jedno rzucenie oka może nas z nią zapoznać; że bowiem rodzaj skłonności i stopień wewnętrznych władz rozwinienia, wybija się na rysach lica, temu podobnie zaprzeczyć nie można: w tém to ja widzę, a nie w czém innném, przyczynę podobieństwa tylu żon do mężów; następuje ono mianowicie po kilku latach wspólnego zgodnego pożycia, a zatém ze zbliżenia wyobrażeń, uczuć i myśli. Twierdzę więc i utrzymuję, że gniewliwca i spokojnego, złego i dobrego, s pierwszego rzutu oka możemy przez doświadczenie poznać; w dalszém z nim obcowaniu odkryjemy zapewne właściwe każdemu przymioty i wady, ale te

*) Ładnie nam podobny przypadek opowiada *Część III Tukaja.*

przymioty i wady będą nas tylko uwodzić, sąd pierwszy jest najtrafniejszy.«

— Temu nie przeczę wcale, rzekłem, ale proszęż mi jedno ukazać lice, któreby od każdego podobnie i s tejże samej sądzone było strony. Jako w dwóch rozmaitych przybliżonych do siebie źwierciadłach, tę samą twarz naszą widzimy w jedném świeżą i białą, w drugiem ponurą i żółtą, tak taż sama twarz nasza, rozmaitym oczu ludzkich obwódkom i ich pojęcia stopniowi, nie jednakowo się przedstawia.

— »Stopień tego pojęcia, odpowie mi znowu Pan Pryzma, że nie jest w każdym równie rozwinięty, to pewna; ale że wielu ludzi rozwijaniem długiem wielki umysłowi swojemu mogą nadać postęp, temu podobnie zaprzeczyć nie można, a zdania ich, którym możemy ufać, są nowym ceny doświadczenia dowodem.«

— Mówię i utrzymuję, odpowiedziałem raz jeszcze, że słowo to doświadczenie jest tylko próżném brzmieniem. Czémże bowiem są owe na niem oparte zdania? One chwilowym są skutkiem uniesienia, przygody lub złego humoru pisarza, a my je za nieomylne po wszystkie czasy bierzemy. Przytaczają *np.* nam słowa wielu wielkich ludzi, którémi za-

zdroszczą oni bytu ludzi prostych; te słowa czyliż nam są dowodem? Bonaparte zapytał chłopczyka który mu wnosił kawę: »Jak masz bogatych rodziców?« — »Mają tylko domek i kilka dziesięcin ziemi,« odpowiedział.—»Oto prawdziwe szczęście!« zawoła Napoleon. Uważmy jednak iż to się działo po ostatniej nieszczęsnej bitwie, na kilka godzin przed drugą abdykaciją Cesarza; ale ciekawi jesteśmy, czy po bitwach pod Jena albo pod Marengo, zazdrościł podobnie szczęśliwości ludzi, którzy się cieszą podrostem żytka lub urodzeniem cielątka. A jak owym o szczęściu słowom, tak równie nie możemy wierzyć nie jednemu pośród nas krążącemu zdaniu, któreśmy za powszednie uważać przywykli. Oczy nasze tak nieraz są już nałogiem ślepe, że za dziwacznych uważamy tych którzy je trochę przetrą, lub mając nietknięte zasłoną, jaśniej niżeli my patrzą.

— »Przyznam się odpowie Pan Pryzma, że tego rozumieć nie mogę.«

— Wyjaśnię to przykładem jeśli się podoba, odpowiedziałem. Pan Dobr. pozwoli mi wyznać, iż kiedym o pewném własném jego zapytaniu słyszał (podobno o cieście i trawie), nie sądziłem wcale aby osoba która je zadała mogła być równą tej którą mam za-

szczyt poznawać; czy niewolno mi więc teraz zapytać, jakim sposobem tak znajome zdanie, mogło być wzięte tak dziko?

— »Wziąłem je tak, odpowie rumieniąc się trochę P. Pryzma, żem nigdy podobnego nie słyszał przysłowia.«

— Innêm słowem, że oko Pańskie, jaśniej widziało jak inni. Pełni nałogowego ucha ludzie, nie śmieli się ze słów niedorzecznych, a zaśmieli się z naturalnego pytania. Jedno i to samo wyobrażenie nie od każdego w jednym widziane jest stopniu. Daję tu jeszcze przykład: na jednej ulicy miejskiej młody kawaler sam leciał saneczkami z góry, i krzyczał na konika: »zwolna, zwolna.« Obok leciał chłopczyk na kawałku lodu i krzyczał nań: »równo, równo!«— «Co za głupi chłopiec, pomyślił kawaler, krzyczy na lód jakby go rozumiał.« —»Co za głupi kawaler, mówiły idące dzieci, krzyczy na konia jakby go mógł pojąć.« Oko kawalera, widzimy, było do pewnego stopnia przyćmione nałogiem. Owoż niemało jest, utrzymuję, zdań, które za jasne i nieomylne mamy, a mamy jedynie dla tego że są powszednie.

— »O! to jest pewna, odpowie Pani Rajecka, ale jeśli te zdania mogą nam być obojętne skoro do obojętnych ściągają się rzeczy, jakże niebespieczne są wtedy jeśli z obcho-

dzącemi nas blisko łączą się prawdami. Gdybym ja miała być kiedy, o Religii naprzykład mówiącej księgi autorką (mówiła Pani Rajecka do ludzi nieczytających jej listów), jakżebym je natenczas usuwała starannie. Nie powinnibyśmy nic utrzymywać o czém nie wiemy dobrze i czego nie uczy nas Wiara, bo podajemy broń przez to jej nieprzyjaciołom. Niechaj mię chroni Niebo bym miała to mówić ogólnie. Ale dalekośmy zaszli, dodała, prawie zapominamy początkowego sporu; moi to podobno ziomkowie są jego pierwszym przedmiotem.«

— »Tak jest, odpowie Pan Przyzma, i cośmykolwiek w tym sporze o doświadczeniu powiedzieć mogli, nie przestaje ono być jawném w tém, że na rodzaje ludzi wpływ klimatu jest widoczny; dla czegóż innego byłby Europejczyk białym, zachodni Indijanin miedzianym, a mieszkaniec Afryki czarnym? Czylibyśmy odmiennych naznaczać im przodków chcieli.«

— Tego, rzekłem, dowodzić nie myslę, i owszem wierzyć musimy, że jak na ciało tak i na dowcip człówieka klimat wywierać wpływ musi, dowodzę tylko, że nie na stopień ale na rodzaj wpływa; i oto nowy jest dowód jka jedną i też samę uwagę brać ilorako mo-

żemy. Przez długie lata i wieki ludzie jednego kraju zostają w dzikości stanie, nagle odmienia się obraz lubo nie zmienia się klimat. Za czasów dawnego Rzymu, Galija, Germanija, Brytanija, były to zapewne barbarzyńskie ludy, któż więc zaręczy że i te które są niemi dzisiaj, nie zmienią się w ciągu wieków? Co większa, oto wiek jeszcze nie mija jak klimat dzisiejszych Niemiec do natchnienia geniuszem za niesposobny był miany, a oto tegoż wieku umysłowe dzieje jak świetnie odparły potwarz. Co do wpływów fizycznych zatém to tylko tu dodać możemy: że rodzaj klimatu, rodzaj tego powietrza które nad nami krąży, w siłę żywotną się wpaja, wpływa w odcieniu swojém na rodzaj natchnionych geniuszów; stąd mamy ów najpierwszy i najwyraźniejszy (przynajmniej w niepopsutych początkach natchnienia) podział poezii świata: na południową której cechą imaginacija wesoła, i na północną której melancholija matką. To zaś wszystko co mówię, dodałem, nie nazwę doświadczeniem zapewne; doświadczenie albowiem bierzemy za rzecz skończoną i dowiedzioną, tu zaś zostaje pole do dalszych postrzeżeń, warunków i wniosków; a utrzymuję i twierdzę, że nie wadą to klimatu było, iż pierwiastkowe półno-

cnej Ameryki ludy tak długo w zupełnym dzikości zostawały, i jeszcze zostają, bycie.

— »Mocno przeprosić muszę, odpowie mi P. Pryzma, ale co mię s tego wszystkiego zadziwia najmocniej, to w ustach zimnej rozwagi słyszane słowo *natchnienie*, i gdyby zaczęto ze słowników mniej potrzebne wykreślać słowa, to zaprawdę, o biedne natchnienie mocnobym się trwożył. Cóż bowiem jest to natchnienie które tak świetném nazywać lubią imieniem. Jestże to ów wykrzyknik który się wyciska miłém albo boleśném wrażeniem? jestże to jaka nowa serca albo umysłu władza, nowego znaczeniu swemu wymagająca dźwięku? i nie jestże to raczej nadanie świetnego brzmienia temu pospolitemu słowu, które po prostu zwykło się mówić uczucie?«

— Natchnienie, rzekłem, jest to uczucie, to pewna, jednak między natchnieniem a uczuciem prostém różnica jeśt nader wielka; wszakże i brylant jest kamieniem tylko, a przecie odmiennego wymaga nazwiska. Za najlepszy tu dowód różnicy natchnienia od innych codziennych uczuć położyćby można to, iż osoby które go nie doznały pojąć go nawet nie mogą. Natchnienie jest to ogień obejmujący umysł, stawiący mu nowe ludy i

nieznane światy; natchnienie jest to siła niezatrzymana niczém, budząca do wcielania ludzkich uczuć w słowa; rodzaje jego są liczne jak liczne mogą być zródła; jedno unosi, drugie rozrzewnia; jedno nas dręczy, drugie mile bawi. Są natchnienia tak silne udzielane Twórcą, że posuwają umysł do widzenia przyszłości nawet, jak to widzimy w poezijach hebrajskiego ludu. Owe źródła natchnienia, dodałem, są niewyliczone; może nas natchnąć natura, może piękne oko, może wielkość Boga i Niebo. Jaka zaś tegoż natchnienia jest rzadkość i nad inne uczucia wyższość, czują najlepiej to ci których jest ono udziałem, czują to wieszcze. Poeta nie pisze wtedy kiedy pragnie, ale kiedy mu natchnienie przybywa; im ono silniej uderza, tym potém naglej opuszcza. Miłość pozostała własna, chęć udzielenia natchnień, każe rozumem dotaczać przerwy utworu, i tak go potém objawić; i stąd to w płódach geniuszu te nagłe spadki i zmiany. Spokojne natchnienie talentu może go utrzymywać ciągle w przyjemnej równości; geniusz podnosi się wyżej, lecz też i niżej upada. Wszystko to jest dowodem bytności natchnienia. I nie jest to, wreście dodałem, gwałtowne wrażeń uczucie, owszem, przybywa

ono gdy uspakaja się umysł i gwałtowność uczucia przemija.

Te powiedziawszy słowa, znudzony przydłuższą rozmową, nie czekając odpowiedzi wstałem, i do milszego przesunąłem się grona; ujrzałem wolne miejsce przy Anakoanie i tam usiadłem. Moja rola kochanka uczynić mi to kazała.

Ona się uśmiechnęła kiedym się do niej przybliżał.

— »Dziękuję ci, rzekła, Zbigniewie za twe uczone rozmowy; kiedy się niemi zapalisz mocno, pamiętać musisz o tém co cię otacza, mocno czuć musisz serca co koło ciebie biją; gdyś mówił o przekleństwie naszej ziemi ludów, każdyby sądził że one ci obce zupełnie.«

— Jakżeś niesłuszna, rzekłem, o Anakoano, mamyż się zdradzać przy świecie; ale jeśli to wszystko com o natchnieniu mówił, może mieć jaką zaletę, spójrzyj mi w oczy choć na jedną chwilkę, niechaj dziękuję tym co pierwsze poznać je dały.

— »Pierwsze ci dały poznać, rzekła, ściskając mi skrycie rękę, po co ta obłuda Zbigniewie; czyliżeś nie widział przedemną natury, która jak powiadasz równie natchnąc może.« I jakby zazdroszcząc skrycie: »co do

mnie jednak, dodała, przyznam się że nie mogę pojąć, jakim sposobem to na co patrzymy z dzieciństwa, niepowszedniem wrażeniem natchnąćby nas mogło.«

Jam już nie kochał, ale Anakoana tak była piękną dnia tego, że myśl szatańska w tej chwili nagle mię objęła.

— Natchnienie jedno, rzekłem, nie jest równe drugiemu, dla tego Anakoano natchnienie twojego oka nazywam najpierwszém mojém; ale byćże to może aby twe czułe serce nie mogło pojąć natchnienia pięknej natury; patrzymy na naturę z dzieciństwa, to pewna, lecz nie zawsze ona jest jedna; o gdybyś o wschodzie słońca mogła tę widzieć dolinę, po której strumyk szeleści i którą odcienia gaik, tę naprzykład dolinę co leży za drzewy tamtémi; wody wtedy strumyka czyściejsze, rzeźwiejsze i żwawsze, gaika cichość bardziej uroczysta, piękność jego nowsza i pogodniejsza; gdybyś Anakoano mogła tam być o tej porze, poznałabyś wtedy co to jest moc natchnienia.

— »Sprobuję jutro,« odpowie, czulej wzrok topiąc w mych oczach, a ręka jak głós jej drżały; »jutro tam będę by poznać, czyli istotną są prawdą twoje Zbigniewie słowa.«

Kobieta która kocha żadnej prośbie nie da odmowy, byleby niewystępnym był pozór.

— Jutro tam będziesz o wschodzie słońca, rzekłem, o, jakąż roskoszą będę się poił ukryty, jeśli twe oczy odwołujące ujrzę, zadane kłamstwo mym ustom!

Mówiliśmy jeszcze chwil kilka, Anakoana była szczęśliwa, i o jutrzejszym tylko wspominała ranku.

Tymczasem powołany, zmuszony byłem powstać i przybliżyć się znowu do kończących spór o natchnieniu; z natchnienia poszło do szczegółów poezii, i o niej teraz mówiono. P. Pryzma oburzał się na poezije gminu, będące utworem prostego nieokrzesanego dowcipu, i stąd na poemata z owych poezij tworzone, na w nich zawarte dziwactwa.

— »Dziwactwa w nich są wielkie« powie Henryk, który się niemiłosiernie poważną rozmową nudząc, pragnął jakkolwiek ją zmienić, a może i inny powód miał jaki, w którym go podejrzewam mocno; blisko bowiem nas siedział gdyśmy z Anakoaną poufałą wiedli rozmowę, a głós jego którym się odzywał, nie był głosem szczerego właściwego mu zawsze wesela — »dziwactwa w nich są wielkie, mówił, tak jest; jest jednak zawsze razem i pewna nauka; teraz *np*. słyszałem już

o balladzie żydoskiej, umiem ją nawet na pamięć; ballada ta, wyjąwszy że jest żydoska, z wielu mi się względów podoba.« Zaczęto prosić aby ją powiedział; zdaje się że Henrykowi szło o to właśnie, z radością się zgodził, i gdy się wszyscy uciszyli, tak głosem złośliwym zaczął:

L I J A.

(Ballada żydoska.)

Słuchajcie pieśni dziewice młode,
Pięknej wam Lii śpiewam przygodę,
Czułej jak miesiąc, jasnej jak zorze,
Powabnej myśli w każdej dnia porze.

Efraim z Sarą miał córkę Liję,
Zrobił ją mądrą po długim trudzie;
Kochał ją, ściskał, i dałby szyję
Iż nie jest taką jak inni ludzie.

»Proś ją do gości — ona się chowa,
Mów jej o mężu — ona jak skała.
Cud nie istota na moje słowa!«
A Lijka na to skrycie się śmiała.

— »Odwiedź żołnierzu! odwiedź nasz kątek,
Wezmij mię z sobą, ja mam ochotę,
Ale żołnierzu nie przychodź w piątek,
Nie w piątek tylko, ale w sobotę.

W sobotę rano przyjdź tamtą grzędą,
Jak tylko zacznie świt się rumienić;
Rodzice w szkole modlić się będą,
A my żołnierzu będziem się żenić.

Przywiedź trzy konie ale z wózkami,
Na jeden włożym kufer bogaty,
Na drugi wózek suknie, piernaty,
Na trzecim wózku pojedziem sami.«

W sobotę rano przybywa żołnierz,
Na piękną Lijkę mruga z oddali;
Ona drży, leci, chwyta za kołnierz,
Na wózek skacze — i pojechali.

A żołnierz zaraz — w miłość się odziać!
Cieszył się z Lijką, bawił się, kłócił;
Gdy się nacieszył, nie miał gdzie podziać,
Powiózł do rzeki — i w rzekę wrzucił.

— »O ja nieszczęsna!.. o ty zwodniku!..
Już woda we mnie, jam w wodzie cała;
Pośród zgryzoty ginę ja krzyku,
Ojcam ni matki nie pożegnała.

O Niebo!.. daruj!.. jakżeś skarało.
Ach, moje nogi, szarpie gad srogi,
Ach, moje ręce, u ryby w szczęce,
Ach, moje ciało, jak śliskie ciało!«

Taką to Lii śpiewam przygodę,
Słuchajcież pieśni dziewice młode,
Czułe jak miesiąc, jasne jak zorze,
Pieśń tę śpiewajcie o każdej porze.

— Co za przeklęta ballada, myśliłem, i długo nie śmiałem zmieszany spójrzeć na Anakoanę; gdym się jednak ośmielił, ujrzałem ją śmiejącą się, wesołą i najspokojniejszą; kobiety nieraz więcej daleko mocy i przytomności mają, i nas odważnych i śmiałych ratują i wiodą jak dzieci. Sam jednak lękając się wydać z mojem zmieszaniem, starałem się czynnie oddać nowozaczętej rozmowie.

— »Ciekawy jestem, powie P. Pryzma wysłuchawszy cierpliwie ballady, co znaczy wyrażenie *czułej jak miesiąc.*«

Henryk który z rodzaju miłości własnej czuł powód uniewinniania ballady:

— »Zapewne, powie, pieśni tej twórca uważał miesiąc czułym, że lice jego bywa nieraz czułych obrazów świadkiem; albo też może dla tego, że lice jego jest zadumania pełne; i wreście może dla tego, że od kochanka — słońca jest wzięte.«

— »Treścią ballady tej, rzekłem, zda mi się być pieśń gminna w niektórych gubernijach Litwy śpiewana.«

Tu znowu P. Pryzma na pieśni gminne powstał, na gust tych którzy je wyszukują: »Jeżeli już tak poeci nasi polubili bliskość natury, rzecze, czemuż już lepiej nie smakują w sielankach, nie jest że to właśnie pieśń gminna piórem wykształconego smaku oddana?«

Miałem potrzebę mówienia, chwyciłem się podanego przedmiotu:

— Lubo wyrazy *gmin* i *sioło*, rzekłem, tak są znaczeniem bliskie, poezija jednak gminna różni się wiele od sielskiej; poezija sielska jest ta, która ma lud wiejski za przedmiot, poezija gminna jest ta, którą sam lud ów tworzy; pierwsza mając na celu kreślenie rozmów lub obyczajów ludu, zawsze musi być płodem spokojnego ducha, wyobraźni sztuką popsutej, naśladowniczej; druga przeciwnie, samego natchnienia jest dzieckiem, stąd zawsze życia i wdzięku pełna, w myśli i wyrażenia nowa, mocą natchnienia błyszcząca. Wypracowaniem więc tylko może sielanka od pieśni gminnej być wyższą, s każdej zaś innej strony pierwszeństwa ustąpić jej musi. Dzisiaj Teokryt i Giesner mało zajmuje kogo, przeciwnie w Europie całej wyszukują się gminu natchnienia. Statystyk i Historyk, filozof i poeta, z równą chciwością je zbiera,

równe owoce z nich ciągnie. Nie skąpe to zapewne dla miłośnika moralnych badań, dla filozofa źródło, gdzie widzi, jak niepopsuta natura ludzka z otaczających przedmiotów wrażenia odbiera, jak je drugim udziela, jak i jakim kształtem; jak harmoniją duszy z harmoniją mowy połącza.

Obficiej zasili się jeszcze ów dziejów ludzkich badacz, który s piosenek dawnych poznaje narodowego w każdym czasie ducha, uczy się obyczajów i zwyczajów ludu, z uwagą je rostrząsa, natrafia na podobne w oddalonych krajach, stąd wgląda bliżej w ich dzieje, słucha ich języka, dochodzi dawnych ich ze swoim związków, ich wzajemnych stosunków; nowe mu błyska swiatło w zbyt ciemnej nauce o przesiedlaniu się ludów, ich początkowych dziejach; a i do poźniejszych czasów historii i prawodastwa, uczony komentarz pisze. Możebyśmy, mówi jeden s pisarzy, doszli s piosenek naszych że z nad Gangesu idziemy. Nieraz jedna myśl pieśni, nieraz i jeden wyraz, jej przeniesienie się zdradzi; w śpiewach *np.* ludu, s których wzięta ballada którąśmy dopiero słyszeli, nieraz natrafia się wzmianka o kryciu kitajką zmarłego, kiedy tymczasem lud ów nie tylko obrządku podobnego nie zna, ale nawet nie wie co to jest

kitajka; trafia się nieraz wzmianka o cisowém drzewie, o którém nie wie nawet czy jest gdzie na świecie; s pomiędzy tychże spiewów są jedne podobne całkiem do pieśni wielko-rossyjskich, inne znów do śpiewanych litewskim językiem, do serbskich i nowogreckich.

Jeżeli jednak filozof i historycznych prawd badacz tak wieloliczne owoce ze śpiewów gminnych wyciąga, ileż ich ciągnie poeta, ile poezija, która właśnie głównym ich celem a raczej źródłem była. Oryginalność myśli, wyrażeń i zwórótw, duch i kształt tworów owej poezii gminu, podaje geniuszowi poety nowe zasady, do utworzenia nowej, odrębnym duchem błyszczącej. Dziś mianowicie, przy usuniętém tyle od miejscowej domowej natury, a tak podobném do siebie wszystkich europejskich ludów wychowaniu, samo tylko zajrzenie do natchnień prostego ludu oświecić drogę nam może. Słabą jest sama przez się wyobraźnia siłą. Królowa władz umysłowych, zewnętrznych wrażeń jest sługą *). Jest ona czystém źwierciadłem, jest jasném morzem

*) Mimo tak jawne zdanie, nie sądzimy aby Zbigniew miał być *sensualistą;* inna jest rzec: lubię Alpy, a inna lubię Szwajcarją.

bez głębi, otaczające przedmioty bez końca odbijającém, ale wymaga przedmiotów które odbijaćby mogło. Ludy pośród płaszczyzny i pustyń żyjące, w silne widoki ubogie, więcej wrażenia ciągną s czytania opisów obcych niż s tego co ich otacza; ich natchnienie bywa pośrednie, poezija ich naśladowną; lecz jeśliby te ludy zapragnęły wiedzieć, jakie to silne władze po ich ziemi krążą? co po niej rozsiane serca, nietknięte złamanym smakiem może poruszyć, unosić? — niech zajrzą do pieśni ludu, on niezna cudzego nieba, on obcych natchnień nie czytał; te jego pieśni będą odpowiedzią.

Jakoż każdego kraju narodowa poezija ze śpiewów ludu wzrastała. Z pieśni Eumolpa, Orfeusza i owych Skolijów, powstała poezija grecka; z bretońskich bardów, minstrelów i skaldów, wzrosła Anglików i Szkotów; s trubadurów teutońskich niemiecka; s przedstawień prostego ludu wzrosł hiszpański dramat. Poeci Rzymscy naśladowali Greków, Włosi i Francuzi jednych i drugich; dla tego też ani Francija, ani Rzym stary i nowy, narodową poezliją chlubić się nie mogą. W Polsce, jej nawet dawni poeci nie pogardzali pieśnią gminu. Jan Kochanowski w opisaniu Swięta Sobudek, w śpiewach w niem przytaczanych

tak jest prostotą, naturalnością myśli i wiersza, bliskim poezii ludu, iż nie możemy niewierzyć aby lub wprost jej przekładaczem nie był, lub arcybliskim naśladowcą; Zimorowicz wyraźniej jeszcze w sielankach i Roxolankach swoich, ze znacznej liczby pieśni czerwonoruskich korzystał. Mimo to jednak, (mówiłem dalej, zbierając i przytaczając wspomnienia, dla poparcia potrzeby wpatrywania się w pieśni ludu) mimo to jednak, ani Jan Kochanowski, ani Symeon Zimorowicz naśladowani nie byli; i poezija polska w ogóle swoim nie była narodową; owszem, kształciła się długo na wzór starożytnej i włoskiej, a w końcu, tak co do toku myśli, jak co do powierzchownego poematów składu, naśladowcami się stano naśladowniczej Francuzów szkoły. Przeniesienie do poezii polskiej smaku tak odległego narodu, naśladowanie poetycznych form, tak niepoetycznego jak francuski języka, nie dziw że nie utworzyło tyle lubionej od narodu i mocno nań działającej poezii, jaką tylko własna być może. Upadał smak poetyczny, zmniejszała się liczba piszących, i ledwie w niedawnych czasach, obeznając się bliżej z sąsiednią literaturą Niemiec i dziwiąc się jej nagłemu wzrostowi, przekonać się wreście musiano,

że tylko s piosenek gminnych, własnego kraju dziejami i własném niebem natchniętych, poezii narodowej gmach budować można. Mnóstwo nowych utworów w które w niedługim czasie poezija odziała się polska, mocniej jeszcze dowiodły tej prawdy. Wprawdzie znaydują się ludzie którzy ją odtąd naśladowną poezii niemieckiej mianują, ale krzywe ich oko bierze w obrócie swoim przyczyny za skutki, sposób za samą istotę. Podobnie możnaby twierdzić, że *np.* francuski Lafontaine był naśladowcą Szekspira, równie bowiem jeden jak drugi brali przedmioty utworów ze znanych skądinąd powieści. Inna jest naśladować duch obcy oryginalny, inna zaś naśladować drogę do odkrycia nowego ducha.

— »Ciekawiż jesteśmy bardzo, przerwie mi tu P. Pryzma, co to za narodowa powstała u nas poezija? Mamyż się pysznić i chlubić, że dzikie powieści o Nebabie i Szwaczce, albo też o liteskich upiorach i potępieńcach, stanowią narodowość poematów naszych? Zaprawdę, dla tego jedynie pragnąłbym usunąć wiarę w zalety poezii wyrabianej z gminnej, a wolę powtarzać i wierzyć, jak też to jest istotnie, że narodowej poezii polskiej szukać raczej mamy w pełnych tkliwości Jana Kochanowskiego trenach, w Kazimierza Bro-

dzinskiego Wiesławie i Franciszka Kniaźnina Sielankach «

— To zdanie, odpowiedziałem, może być w części i słuszne; zbyt mało a przynajmniej nie nazbyt trafnie trudniono się u nas dotąd rozbiorem poezii naszej, dla tego więc żadnym poważnym niepoparty głosem, nie śmiem własnego wyjawiać; zdaje mi się jednak, iż krytycy polscy w rozbiorze krajowej poezii nazbyt na cudze patrzają. Chcieliby ją widzieć ordrębną i narodową, a wzoru narodowości szukają po wszystkich krajach! Sielanki Brodzińskiego, Kniaźnina, są narodowe istotnie, powieści o Nebabie i Szwaczce są narodowe równie, poemata treści Liteskiej są narodowe także; duch jednak i sam pozór tych wszystkich poezij nieźmiernie są różne od siebie; jedni więc załamując ręce tracą nadzieję wszelką abyśmy mogli mieć kiedyś jedną narodową istotnie, drudzy znów w jednej jej części zamiłowani tylko, na inne spoglądać nie chcą, zowiąc je przypadkowémi, wyrodnémi; a nie znalazł się dotąd głós żaden któryby zdania te złączył, wyobrażenia zbliżył, i niepodległém spójrzawszy okiem, jedno ogólne wyciągnął.

— »O co s tej strony, powie Pani Rajecka, istotnie poezija polska bardziej jest

nieszczęśliwą niż wszystkie; przy tém nieporównaném bogactwie wewnętrzném, jest za ubogą mianą; przy najsilniejszych narodowosci cechach, za dziwaczną lub naśladowną. Jak niegdyś grammatycy Polscy, pisząc prawa języka swego, nie w tym ich języku szukali, ale we wzorach łacińskich, tak i rozbierający poeziją polską, nie patrzą na jej odrębną w jakiej wyrasta szatę, ale szukają zdań angielskich, francuskich, niemieckich, któreby do niej zastosować mogli; chcą koniecznie widzieć tę jedność, tę wspólną wyłączną barwę, jaką każdy widzi we swojej, niepomnąc że rozmaitość, że wielostronne tej barwy lice, właśnie nowy, oryginalny budować nam musi obraz. Istotnie, narodowa poezija polska ten nowy i zajmujący przedstawia nam widok, iż zbiorem jest kilku innych, narodowych, odrębnych. Dawne Królestwo Halickie, Litwa, Ukraina, Poznań, Mazowsze i Kraków, w jednym języku polskim natchnienia swoje piszące, są to odzielne w pierwiastkach swych ludy. Każdy z nich ma oddzielne historyczne pamiątki, własne miejscowe wspomnienia, klassyczne miejsca, zabawy, zwyczaje; każdy z nich ma oddzielny charakter, obrót, ledwie nie mowę; a ten zbiór wspomnień i ten duch miejscowy, od-

dzielném piętnem na swoich tworach wyciska. Te charakterów, zwyczajów, mówiła dalej Amerykanka, w odległych prowincijach różnice, i innym znane są krajom; ale w nich wspólną modą, lub wychowaniem wspólném, tłumią się, w jeden zlewają; tu w Polsce czy przypadkiem, czy wychowania roskładem, czy też może silniejszą, bo nie prowincijonalną ale istotnie różnoplemienną w pierwiastkach swoich róznicą, te odrębne duchy miejscowe wybiły się w odrębnych poetycznych szkołach, a recenzenci polscy to nieznane gdzieindziej bogactwo, ten nowy i szczególny poezii polskiej charakter, ubóstwem nieszczęśliwém i nieszczęśliwym brakiem charakteru mienią. Co za róznica w duchu i stylu tych poezii polskiej gałęzi!... Jaka *np.* różnica w poetycznych utworach Litwy i Ukrainy!«

— Uwagi te nader są trafne i słuszne, rzekłem, żałować tylko musimy że nie przywykliśmy do nich.

— »Ha! już też przyznać należy, odpowie P. Pryzma, że na rozumowaniu nigdy u nas nie zbywa, ale proszęż mi powiedzieć, przez litość, jakie to skutki s postępu tych rozumowań widzimy? Oto romanse dzisiejsze zamienione na historyczne, stały się wreście

tak suche, iż w nich ani historycznej prawdy ani też powieściowej nie mamy rozrywki. W utworach zaś poetycznych zamiast malowania natury, przebija się wszędzie słabość malowania siebie. Homer nie był rycerzem, ani Wirgiliusz wędrownikiem, weźmyż dzisiejszy jaki zagorzały utwor, Korynnę, Larę, Harolda; cóż w nich ujrzymy jeśli nie autora samego siebie na plac wystawującego?«

— Wielu dziś siebie samych robi bohaterami swych tworów, ale to wcale, rzekłem, nie jest słabości skutkiem, pochodzi to raczej z doznania zbyt mocnych gwałtownych uczuć, które się w nasze serca wpoiły i naszém kierują piórem. Pojąć niektórzy nie mogą, dla czego kréślenie siebie tak przykre w mowie potocznej, w mowie piśmiennej tyle ma pociągu; przyczyna tu jednak jasna: autor za bohatera sztuki nie kładzie siebie wyraźnie, za szczegóły, przesadę w obrazie, odpowiedzialnym nie jest; a domysł, że przedstawiony charakter, że liczne kréślone uczucia, są właściwe i dobrze temu który je kréśli znane, więcej uderza nas prawdą, większą przejmuje ufnością, silniej porusza, unosi. Malowanie też siebie nie jest naszych czasów nowością. Sofokles krzywdzony od synów, przedstawił siebie w Edypie; Seneka w trajedii *Oktawija* prosto

siebie na scenę wprowadził; sam Homer i Wirgili, jeśli nie w swych naczelnych poematach, to w innych drobniejszych, stan swój, swe zajęcia opiewali. Pieśni Ossiana i innych północnych bardów, chociażby pierwiastkowie nie były prosto takiemi jakie nam dziś wypisują, zawsze jednak widzimy iż są nader często własnych czynów młodości kreśleniem (*Evir-Allen*, *Oina Moral*, *Croma* i t. p.); i wreście, że pomijając wielu przystąpimy bliżej, sławny Genewenski filozof i krasomówca, opisał wyraźnie siebie w Nowej Heloizy kochanku. Jednak o tym ostatnim wspominam dla tego tylko, abym me zdanie poparł, bo z innej strony (dodałem) ten tak sławiony Nowej Heloizy romans nie podoba mi się wcale.

— »Może dla tego, przerwał mi P. Pryzma, że jest zbyt prosty.«

— Tego powiedzieć nie mogę, i zarzut taki nie mógłby być zarzutem; więcej owszem zalety, większej potrzeba sztuki, zająć naturalnym ludzkich wypadków biegiem, niżeli ostrzącémi ciekawość węzłami; lecz aby nastąpić to mogło, nie powinniśmy najprzód widzieć owej przesady....

— »Przesada, przerwie mi P. Pryzma, w malowaniu uczuć, jak w malowaniu na płótnie,

powinna być koniecznie, nazbyt albowiem sztuka jest od natury niższą, aby uderzyć nas mogła prostém jej podobieństwa zdjęciem.«

— Temu nie przeczę, rzekłem, lekka przesada natury jest nieodbitą nawet, aby sprawiła wrażenie, ale nie lubimy przesady nienaturalności. Autor Nowej Heloizy obarcza nas mnóstwem rozumowań i filozoficznych uwag; czuję wrodzoną odrazę do tych rosprawiań i twierdzeń hipotezijnych, dowolnych; nic łatwiejszego jak rozumować długo, kłaść wyraz po wyrazie jak go przyniesie pióro, mówić słowo po słowie co nam przyniesie ślina; jabym chciał uwag filozoficznych mocnych, na pewnej, widocznej, dotykalnej zasadzie wspartych, w działaniu innych osób i w naturze własnej postrzeganych; te tylko prawdziwy użytek w postępowaniu naszém przynieść zaiste mogą. Miłość Nowej Heloizy jest także w nienaturalności swojej przesadna i w wyrażaniach się ckliwa. Pierwsze listy najgorętszej miłości pełne, już dzisiaj w swym stylu i składzie zbyt zdają się pospolite, słabe. Możeśmy się popsuli, jednak to naturalnie skądinąd, że więcej dziś gwałtowności pragniemy w obrazie, i dzisiejszy pisarz romansu bez poetycznej siły poruszyć już nas nie może.

— »Podobają się więc Panu zapewne, odpowie mi P. Pryzma, owe ciągłe karykatury lub zbrodnie, które wyłącznym prawie przedmiotem dzisiejszych się stały romansów; szacuję nowość jeśli pełna zalet, tej jednak kłaniam się nisko, każdego bowiem kraju czytelnik powieści, lubi się stawać kopją kréślonych w nich bohaterów.«

— Nie sądzę, odpowiedziałem, by to co sprawia odrazę, stać sie nam mogło wzorem; z drugiej zaś strony trochę cierpliwości nam trzeba. Zapewne ową skłonnoscią do samych gwałtów i zbrodni pochwalić się nie możemy, zdaje się jednak że to zjawisko smaku, natchnione we Francii zwłaszcza, krwawémi jej ostatniego wieku scenami, będzie, jak owa burza która je natchnęła, krwawić, wytępiać, niszczyć, aż s pośród niepospolitych tych dziejów powstanie umysłowy, jako był powstał polityczny, olbrzym, który się wzniesie geniuszem i całe lądy podbije. Chybabyśmy nie mieli *Boratyńskiego*, dodałem po krótkiej przerwie, gdybyśmy mogli narzekać na historyczne romanse; co za wspaniały widok żyjących w XVI wieku charakterów; jak zajmujące obrazy. Romanse towarzyskie które się u nas

tworzą, a nawet Administracyjne *), zbyt wiele mają jasnych i dotykalnych zalet, byśmy potrzebowali dłużej dowodzić skutków, jakie s postępów rozumowania w naszych czasach widzimy.

— »S pomiędzy romansów towarzyskich i narodowych polskich, powie Pani Rajecka, żaden mię nie zachwycił tyle jak *Pierwsza Młodość*, *Pierwsze Uczucie* **). Gustaw w milczeniu tylko żałujący Augusty, nieznaczne przejście Karoliny z miłości Henryka do miłości Gustawa, jej niewinność i niegwałtowność uczucia, skreślenie towarzystw naszych i sąsiedzkich zabaw, wszystko jest nowe, wierne i poruszające. Styl i uwagi autorki tak s każdej strony śmiałe są i pewne, iż

*) *Pan Podstolic*, pod prosta forma romansu, jest zbiorem tylu niepospolitych i nieraz wielkich (zwłaszcza w ostatnich 3-ch tomach) myśli, że słusznie do rzędu arcydzieł europejskich, z lat ostatnich, policzyć się może; co zaś w nim szczególnie uderza, to owa pewność zasad, systematyczność pióra, gruntowność uwagi każdej i jasne jej rozwinienie, przymioty, tak dalekie od wszystkich prawie dzisiejszych, jakiegobądź kraju pisarzy.

**) *Pierwsza Młodość Pierwsze Uczucie* powieść narodowa we 4-ch Tomach, przez autorkę *Wieczoru Adwentowego* tudzież *Zofii* i *Emilii*.

mocno przypominają nam tę, ktora na czele niewiast autorek stanęła.« *)

— Zadziwia też nas autorka, dodałem, nowością i poetycznością porównań. Co jednak do prowadzenia rozmowy towarzyskiej, rzekłem, więcej zajmują nas jeszcze Hr. Skarbka powieści; nie wspominam tu o prawdziwie narodowym *Ruszczycu* i innych historycznych tegoż autora romansach, ale jego obrazy dzisiejszych towarzystw, a mianowicie Pan Starosta, są w swym rodzaju jedyne. **)

*) Zapewne tu mowa o autorce Korynny i Niemiec.

**) W Kreśleniu towarzyskiej rozmowy i szczególnych towarzystwa obrazów, niedorównanym jest dzisiay autor *Czterech Wesel* i *P. Karola*. Niektórzy w P. Kraszewskim nic więcej nie widzą jak *Paul de Kocka* polskiego; krzywda pierwszego widoczna. Wprawdzie pióro autora ma skłonność do śmiechu i pełnych trzpiotostwa obrazów, jak pióro francuskiego pisarza, ale do siły komicznej tego ostatniego łączy i siłę traiczną; obrazy pełne okropności i mocy plotące się razem z śmiesznémi, i nagłe niespodziane z jednych do drugich przejście, są główną sztuką i piętnem P. Kraszew. utworów. Styl komiczny autora nieporównany w ucinkach i toku, w miejscach traicznych nie raz jest pełnym poezii (*Cztery Wesela*, *Raj* i *Piekło*, *Improwizacije*; dawniejsze: *Pan Karol*, *Wielki Swiat małego miasteczka* i t. d. i t. d.)

— »Mało czytuję romansów, powie P. Pryzma, ważniejszą jednak zdaje mi się być *Pojata.*«

— S poetycznych utworów P. Bernatowicza, rzekłem, najwięcej podoba mi się *Nałęcz;* ładnym stylem pisane *Nierozsądne Sluby* są niczem więcej jak *Heloizą Nową*, z jednej strony zmienioną dodaniem powikłań, z drugiej ujęciem filozoficznych rospraw. Pojata, naciskiem tylko dziwnych romansowych wypadków, ich powiązaniem sztucznėm i uromantycznieniem historycznych pamiątek Litwy zalecać się może. Co się zaś tycze historycznych Franciszka Wężyka romansów, ponieważ już tu wspominamy celniejszych tego rodzaju pisarzy, te . . .

Wtém, właśnie kiedym to mówił, drzwi się otworzyły i weszła niespodzianie Pani Lińska s córką i mężem; wracali z Minogrodu i zajechali po drodze. Przerwały się nasze rozmowy, i pomieszało się w różne kształty nasze towarzystwo. Panna Melanija mię zachwyciła; tak była ładna, tak miła, ciągle siedziałem przy niej; Anakoana nieraz na mnie wyrzucającém spoglądała okiem, mogłem jednak siedzieć bespiecznie, bo ciągle jedna tuż przy drugiej była. Mile spędziliśmy wieczór, musieliśmy się wreście roz-

jechać; ja powracając myslilem o umówionej schadzce.

Lecz już mi oczy kleją się Walery, patrzę na zegar już trzecia. — Dokończę jutro.

Miałem dokończyć wczoraj, ale nie mogłem, odpadła mi była ochota, chciałem nawet list podrzeć; ale dziś znowu przybyła, siadam więc i kończę.

Po owym dniu i po owej nocy przebudziłem się z nowém uczuciem. Blisko już było wschodu, cieniów nie było nocy, i rozlana w pokoju szarość coraz się widniejszą stawała.

Zaraz i samo słońce ukaże się nam, myśliłem, i godzina schadzki nadejdzie. Kilka miesięcy nazad jakieżbym czuł uniesienie, dzisiaj zaledwie lekki dobywał mi się uśmiech. Zbyt mały miałem pociąg iść na umówione miejsce. Wolałbym zjeść pomarańczę!

Nadeszła jednak chwila, ubrałem się i wyszedłem. Szedłem samotnie lasem, poiłem się pięknem słońcem, wesołą naturą; myśl się unosiła wysoko, na rozmaite świata mio-

tała się strony; szedłem wesół, to zamyślony, lubo wcale nie o przedmiocie tej którą odbywałem przechadzki; im bliżej zaś byłem strumyka tym więcej ziębiło się serce; Anakoana tak dalece zapominająca na płeć jej i wiekowi przynależną skromność, Anakoana, nad którą zwycięstwo tak mi było lekkie, żadnego mi nie stawiła powabu. Wolałbym w tym momencie każdą s tych dziewcząt uścisnąć które spotykałem po drodze.

Ale jakżem dziwaczny, przybliżając się pomyśliłem znowu, skądże to mi ta pewność że na dolinę wyjdzie; czyliż nie mogła tej poradzonej schadzki wziąść pierwej w niewinnej myśli, ale po rozwadze późniejszej odtrącić zamiar s pogardą? Tak jest, powtórzyłem to sobie, dla tego to i Henryka powieść wrażenia na niej nie miała. Lub może ta sama powieść oświeciła ją potém wspomnieniem. Tem właśnie domawiał słowa, gdy rzuciwszy przypadkiem okiem, ujrzałem tej myśli przedmiot, ją samą, Anakoanę, idącą po dolinie ku drzewom; szła drżąca, zamyślona, z rospuszczonémi włosy, z jaśniejącémi oczy; jeśliby nie to serce zmienne, nieszczęśliwe, mógłbym być w zachwyceniu.

Przybliżyłem się do niej, zmuszony odegrać rolę, i chciałem u nóg jej ukląc, lecz ona mię

pochwyciła w objęcia i po tysiąc razy ścisnęła. Mamże i to ci powiedzieć? te silne, gwałtowne uściski żadnego mi nie wlewały uczucia. Sąż to ręce kobiety? myśliłem, i spoglądałem na nie, jak na gałęzie suche, lub jak na ręce męskie. Musiałem jednakże kończyć; ściśnieniu odpowiadałem ściśnieniem; nie mówiliśmy nic do siebie, brakowało nam słów na ustach, lubo może z odmiennych powodów. Nie wiem coby nastąpić mogło, gdy oto nie minęło chwil kilka a nagły szelest dał się za drzewem słyszeć. Nie tak się prędko urwany łańcuszek na dzwoneczku w zegarku zwinie, nie tak prędko mignie się strzała, jak odskoczyła z objęć zlękniona dziewica, i po dolinie pobiegła. Obróciłem się ku drzewu i ujrzałem pieska Henryka przedzierającego się przez gałęzie i skaczącego do mnie. Dzięki ci dobry piesku, głaszcząc go zwolna rzekłem, z myślą swobodną do domu powrócę. Sądzę że prędka i żywa amerykańskiego nieba dziewica, rannych nauk natchnienia brać więcej nie przyjdzie.

Wróciłem prosto do siebie, i jak sądzisz, Walery, com po obiedzie uczynił? tego nie zgadniesz zapewne, — pojechałem do PP. Rajeckich; wiodła mię przez połowę cieka-

wość, przez połowę ten rodzaj dumy aby się nie wydawać zmieszanym.

P. Anakoana najlepiej swą rolę zgrała; niktby patrzając na nas nie mógł nigdy pomyśleć o rannym wypadku. Co do mnie jednak bardzo mi było łatwo, a nawet i dosyć miło grać rolę obojętnego, nie zbywało mi na przedmiocie do zupełnie nam obcej rozmowy, i całkiem uradowany z siebie wróciłem dnia tego do domu.

Przy herbacie, mówiąc o zdrowiu, wpadliśmy na rosprawę o rankach, o miłém ranném wstawaniu i zaletach rannej przechadzki.

— »Moja Anakoanka, rzekła Pani Rajecka, bardzoby dzisiaj być powinna zdrową, bo widziałam że równo ze wschodem wstała i wychodziła. Nie prawdaż Anakoanko, dodała, dziś bardzo zdrową być musisz?«

— Wolne są Pani żarty, nic niby nie wiedząc rzekłem, to jednak pewna, że kilka podobnych przechadzek byłyby lepszém lekarstwem niż najsztuczniejsze przyprawy; świeże powietrze którém oddychamy i świeża rozmowa s towarzyszką drogi, są nader pomocną rozrywką.

Nie sądzę aby Pani Rajecka domyślała się celu przechadzki swej córki, sądzę tylko, że widząc ją wychodzącą samą, chciała dać małą przestrogę. Jakkolwiek bądź jednak,

to pewna, żem udał lepiej niezmieszanego, niż gdybym się był przygotował.

Bądź zdrów Walery, biorę ten list mój zszywać albo znaczyć, będzie on pewnie dłuższym ze wszystkich pisanych na ziemi. Bądź zdrów Walery, daruj długości listu, był on może ostatnią tego który go pisał rozrywką.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.